

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. REUTERS/YARA NARDI

**Inauguracja
Leona XIV**
Jak przekonać
zetki
► 3

**Trzy leki na
młodość**
Sprawdził je
noblista
► 30



WYSOKIE OBCASY
Dr Gizela Jagielska
Nie zamierzam
niczego ukrywać

MAGAZYN **wyborcza** wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

PIOTR
ADAMCZYK

**Bądź skromny,
a cię docenią?
Walczę z tym na terapii**
► 24

GAZETA

wyborcza

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 349398

ISSN 0860-908X

20>

9 770860 908167

Sobota-czwartek, 17-22 maja 2025 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 113.10910 | Nakład 81 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

PLEBISCYT

**Zagłosuj na
szczęśliwe sąsiedztwa!**

Wyborcza.pl/zaprojektowanepoludsku

ZAPROJEKTOWANE
POLUDZKU

SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

SPONSOR STRATEGICZNY

otodam

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

PATRONAT MEDIALNY

radio ZET

eprasa.pl e6e67c88f3

Agnieszka
KublikZbyt często
nie robimy nic

Ocean nieszczęścia. W maju do szpitala w Koszalinie trafiła dwumiesięczna dziewczynka. Miała ciężki uraz głowy, pękniętą czaszkę i wylewy podskórne.

W tym samym czasie do szpitala w Olsztynie trafił 9-miesięczny chłopczyk z obrażeniami ciała.

Nie żyje Kamilek z Częstochowy. Przez lata okrutnie znęcało się nad nim czworo dorosłych.

Nie żyje 6-letni Maksymilian ze Zduńskiej Woli, był bity w domu.

Nie żyje kobieta, w której auto, pod Wołominem, wjechał pijany mężczyzna. Miał około 2,5 promila alkoholu, nie miał prawa jazdy.

Nie żyje pieszy, którego w Piekach potrafił pijany kierowca. Miał 2 promile alkoholu, nie jechał sam, w aucie była też pijana kobieta.

Teoretycznie, jak pokazują badania, jesteśmy przeciwko biciu dzieci. Teoretycznie. Wedle szacunków organizacji zajmujących się przemocą w rodzinie, rocznie w Polsce traci życie 30 dzieci, bo dorośli stosowali ją wobec nich. Co roku aż 12 tys. dzieci pada ofiarami przemocy.

Teoretycznie, co pokazują badania, potępiamy pijanych kierowców.

W 2024 r. policjanci zatrzymali 91300 pijanych za kierownicą. Spowodowali 1201 wypadków, 151 osób straciło życie, 1428 zostało rannych.

Teoretycznie jesteśmy wrażliwi na przemoc, na przestępstwa. Potępiamy. Ale

nie reagujemy, gdy widzimy, że dzieje się coś dziwnego, niepokojącego, niebezpiecznego. Gdy dorosły karze dziecko – krzykiem albo pięścią. Gdy zza ścianą słyszymy płacz.

Bo nie nasza sprawa? Bo nie chcemy się w to mieszać? Bo dostaniemy za to bluzgi albo i cios?

Bo obcując z przemocą i nienawiścią w świecie wirtualnym, ta w świecie rzeczywistym już nas nie przeraża? Straciliśmy fundamentalną wrażliwość i instynkt, by stawać po stronie ofiar?

W tych tragicznych sytuacjach nie było tej jednej osoby, która by to powstrzymała. Rodzina, przyjaciele, znajomi, sąsiedzi, koledzy ze szkoły, pracy, nauczyciele, pomoc społeczna – my wszyscy możemy w takich sytuacjach coś zrobić.

Zbyt często nie robimy nic.

A przecież, kiedy widzimy kogoś, kto szarpie, bije, agresywnie wyzywa dziecko i nie reagujemy, jesteśmy świadkiem przestępstwa, to znaczy, że świadomie na to przestępstwo przyzwalamy.

Też kiedy widzimy pijanego siadającego za kierownicą.

Kiedy widzimy słyszymy, że ktoś może być niebezpieczny, grozi innym, wyzywa ich i tego nikomu nie zgłaszamy, bierzemy odpowiedzialność za to zło, do którego może dojść

Nie bądźmy odwracalni. ●

Andrzej rysuje

Zmiany klimatu
Gęganie o deszcz

Rodzina gęsi snuje się po częściowo wyschniętym zbiorniku Woodhead, sztucznym jeziorze w pobliżu Tintwistle w Wielkiej Brytanii. Deszcz nie padał od tygodni.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

509

TYSIĘCY
Polaków mieszkających
za granicą zarejestrowało
się do głosowania w wyborach
prezydenckich.

Najwięcej w Wielkiej Brytanii – ponad 135 tys. W Niemczech – prawie 85 tys., w USA – tylko 43 tys.

Żegnamy reżysera
Intymnych opowieści

Zmarł Robert Benton, wybitny amerykański reżyser i scenarzysta, trzykrotny laureat Oscara, miał 92 lata. Twórca słynnej „Sprawy Kramerów” przez większość kariery tworzył intymne opowieści o zwyczajnych ludziach.

Urodził się 29 września 1932 r. w miasteczku Waxahachie w Teksasie. Zmagał się z dysleksją, co – jak podkreślał – ukształtowało jego wrażliwość i nauczyło słuchać ludzi. Film stał się dla niego sposobem komunikacji ze światem.

Zanim trafił do Hollywood, pracował jako dyrektor artystyczny magazynu „Esquire”. Tam poznał Davida Newmana, wspólnie napisali scenariusz do filmu „Bonnie i Clyde” (1967), który nie tylko zapoczątkował nową falę amerykańskiego kina, ale też otworzył Bentonowi drzwi do wielkiej kariery.

Choć w jego filmografii znalazły się produkcje tak różnorodne jak komedia „No i co, doktor?” Petera Bogdanovicha (1972) czy adaptacja powieści Philipa Rotha „Piętno” (2003), to Benton jest kojarzony z dramatem rodzinnym i psychologicznym. Jego „Sprawa Kramerów” (1979) z Meryl Streep i Dustinem Hoffmanem – jeden z najpiękniejszych filmów o rozsta-



niu, opowieść o trudnym rozwodzie i walce o dziecko – zdobyła aż pięć Oscarów, w tym dwa dla Bentina: za reżyserię i scenariusz adaptowany.

W jego kinie nie było miejsca na krzykliwość czy efekciarstwo. Jego bohaterowie często mierzyli się z kryzysem tożsamości, stratą, rodziną i samymi sobą. Nawet „Superman” (1978) Richarda Donnera, do którego współtworzył scenariusz, był jak na komiksową superprodukcję zadziwiająco intymny, oparty głównie na relacji Supermana i jego alter ego Klarka Centa (Christopher Reeve) z dziennikarką Lois Lane (Margot Kidder).

Po śmierci żony, w 2023 roku, Benton coraz rzadziej pokazywał się publicznie. Zakończył karierę w 2007 roku filmem „Smaki miłości”. ●

Radosław Czyż

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Duszpasterz
młodzieży chce całusa

Gdy zaczęła dociekać, dlaczego ksiądz chodzi z młodą dziewczyną do lasu, nagle z jego zaufanej współpracownicy stała się „pustakiem”.

Reportaż Pawła Piotra Reszki



Inauguracja nowego papieża

Kościół musi pogadać z AI

Cieszą się i katolicy konserwatywni, i progresywni. Leon XIV zapali Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek

Skowrońska

Konserwatywni katolicy są zachwyceni. Mówią, że Leon XIV jest mniej postępowy niż Franciszek w sprawach moralnych. Dla nich to sygnał, że rewolucji w Kościele za tego pontyfikatu nie będzie. Koniec z dyskusjami nad zniesieniem celibatu, wyświęcaniem kobiet, złagodzeniem podejścia do antykoncepcji i aborcji, otwarciem się na związki osób LGBT.

Ale progresywni katolicy też się cieszą. Dla nich wybór Prevosta oznacza, że Kościół nie cofnie zmian, jakie zapoczątkował Bergoglio. Franciszek był jedynym papieżem, na którego Leon XIV powołał się w pierwszym wystąpieniu, pomijając Jana Pawła II i Benedykta XVI – trudno o dobitniejszy sygnał, że pójdzie drogą poprzednika.

Potwierdzeniem, że nowy papież ma dużo większe poparcie w kolegium kardynalskim, a co za tym idzie, większą możliwość wprowadzenia zmian, jest szybkość, z jaką kardynałowie dokonali wyboru. W tym gronie większość to nominaci Franciszka, a około stu ze 133-osobowego grona głosujących wybrało właśnie augustianina z podwójnym obywatelstwem: amerykańskim i peruwiańskim.

Dla świeckiej części świata nowy papież na razie ma twarz wzywającego do pokoju dyplomaty.

– Pokój zaczyna się od każdego z nas: od sposobu, w jaki patrzymy na innych, słuchamy innych, mówimy o innych. I w tym sensie sposób, w jaki się komunikujemy, ma fundamentalne znaczenie: musimy powiedzieć „nie” wojnie słów i obrazów, musimy odrzucić paradygmat wojny – mówił podczas spotkania z dziennikarzami 12 maja.

Już podczas pierwszego wystąpienia, zaraz po wyborze, mówił o pokoju. W kolejnych ponawiał pokojowe apele, aż do środowowej deklaracji, że doloży „wszelkich wysiłków” na rzecz pokoju. „tolica Apostolska jest do dyspozycji, aby strony konfliktu mogły się spotkać i spojrzeć sobie w oczy, by narodom przywrócić nadzieję oraz godność, do której mają prawo – godność pokoju. Ludy pragną pokoju a ja, w szczerości serca, zwracam się do przywódców: spotkajmy się, rozmawiajmy, negocjujmy! Wojna nigdy nie jest nieunikniona, broń musi zamilczeć, bo nie rozwiązuje problemów”.

W tej kwestii jego głos jest silniejszy niż Franciszka. Zławsza że Leon XIV już rozmawiał telefonicznie z Wołodymyrem Zelenskim, który zaprosił papieża na pielgrzymkę do Ukrainy. Gdyby tak się stało, byłby to mocny sygnał dla świata, którego od dawna od Watykanu oczekiwano. Zławsza świata spoza globalnego Zachodu, choćby Afryki czy Ameryki Łacińskiej, gdzie wielu uważa wojnę w Ukrainie za konflikt, w którym imperialistyczna Ameryka rozgrywa swoje interesy, a w Rosji upatruje kontynuatorek działań ZSRR, wyzwoleniczych z perspektywy tzw. Globalnego Południa.

Na razie jednak Stolica Apostolska żadnych konkretów podawać nie chce, sygnalizując jedynie, że papież chce być mediatorem we wszystkich globalnych konfliktach.

W 2023 roku liczba chrześcijan na świecie wzrosła i po raz pierwszy przekroczyła



FOT. REUTERS/FRANCESCO SFORZA

• **Papież Leon XIV, kardynał Robert Prevost, po raz pierwszy pozdrawia wiernych z „balkonu błogosławieństw” bazyliki Św. Piotra (8.05.2025)**

2,6 miliarda. Badacze mówią, że chrześcijaństwo rośnie obecnie w tempie 1,18 procent rocznie. To byłby powód do radości dla nowego papieża, gdyby nie procesy sekularyzacyjne i wyrwa, jaka zaczyna się od pokolenia Z.

Zetki – na co wskazują badania – Kościoła nie potrzebują, nie szukają w wierze usprawiedliwienia cierpienia czy lekarstwa na lęk przed śmiercią, w religii nie widzą źródła sprawiedliwości, drogowskazów moralnych ani wskazówek, jak dobrze żyć. A do tej pory były to główne motywacje osób deklarujących przynależność religijną, zwłaszcza chrześcijańską.

Jak Leon XIV diagnozuje współczesne problemy świata i odchodzenie od religii? Odnosił się do tych kwestii już podczas pierwszego kazania, które wygłosił do kardynałów 9 maja. Stwierdził wówczas, że wiara dziś uważana jest za coś absurdalnego, „przeznaczonego dla osób słabych i mało inteligentnych”. A dla współczesnego człowieka liczą się: technologia, pieniądze, sukces, władza, przyjemności. Właśnie w nich nowy papież widzi zagrożenie nie tylko dla religii, ale dla samej egzystencji człowieka. – Brak wiary często pociąga za sobą dramaty, takie jak utrata sensu życia, zapomnienie o miłosierdziu, naruszanie godności osoby ludzkiej w jej najbardziej dramatycznych formach, kryzys rodziny i wiele innych ran, przez które cierpi nasze społeczeństwo, i to nie mało – stwierdził.

Zagrożeniem, zdaniem papieża, jest też sztuczna inteligencja, dla której człowiek nie jest ostateczną instancją. Jak stwierdził, Kościół musi się nauczyć tej nowej technologii, by wiedzieć, jak na nią reagować. To ważne, bo są już pierwsze badania, które pokazują, że z automatyzacją (sztuczna inte-

ligencja, roboty) religia nie radzi sobie tak dobrze, jak z wcześniejszymi rewolucjami technologicznymi XX wieku.

Naukowcy na łamach „Proceedings of the National Academy of Sciences” postawili nawet hipotezę, że sztuczna inteligencja przyspieszy laicyzację. A na jej poparcie pokazali dane – okazało się, że pracownicy, którzy mieli codzienne kontakty z AI, byli o 45 procent mniej skłonni do wiary w Boga niż ci, którzy nie korzystali z nowoczesnych technologii.

Katolickie media – te uważane za progresywne – wśród problemów, z którymi papież musi się szybko uporać, wymieniają przede wszystkim:

- finanse Kościoła, zwłaszcza nieprzejrzyste inwestycje i skandale, w tym – dosłownie – mafijne, wywołane przez Bank Watykański;
- sprawy kadrowe, bo Watykan, o czym przekonał się papież Franciszek, to państwo w państwie;
- włączenie kobiet w światowe gremia kościelne. W tej kwestii Leon XIV idzie śladami Franciszka, który powierzył im kilka ważnych watykańskich instytucji, w tym jedno z ministerstw – ale już pytany o wyświęcanie kobiet, mówi, że „taka klerykalizacja niczemu nie służy”;
- reakcje na problemy uchodźcze i kryzys klimatyczny.

O dziwo, na plan pierwszy nie wysuwa się dalsza walka z ujawnianiem tuszowanych przez lata przestępstw seksualnych, których sprawcami byli duchowni. Zapoczątkował ją Benedykt XVI, a ścianę, z którą się zderzył, zaczął rozbijać Franciszek. Choć Watykan i Kościoły lokalne już ustaliły ścieżkę postępowania w takich sprawach,

to wciąż nie uporano się z dramatycznymi historiami ofiar czekających na symboliczne przeprosiny i zadośćuczynienie. Widzimy to na przykładzie spraw polskich, które trafiają na wokandy albo są ujawniane w mediach.

Leon XIV jeszcze jako przełożony augustianów w Stanach Zjednoczonych musiał podjąć decyzję o wypłacie 2 milionów dolarów odszkodowań ofiarom duchownych oskarżonych o pedofilię. Wytknięto mu jednak, że nie wszystkie nazwiska sprawców znalazły się na jawnej liście, za którą odpowiadał. Z kolei w czasach, gdy był wiceprzewodniczącym peruwiańskiego episkopatu, nadzorował uchwalenie kościelnych wytycznych co do postępowania wobec księży – drapieżców seksualnych. I choć był wówczas chwalony w Watykanie, też nie obeszło się bez skandalu.

Gdy zwołano konklawe i ruszyła giełda *papabile*, kandydatów na papieża, Riccardo Cascioli, naczelny katolickiego portalu Newdailycompass.com, przypomniał peruwiańskie protesty w 2023 roku, gdy Stolica Apostolska ogłosiła, że kardynał Prevost obejmie w Watykanie funkcję prefekta odpowiedzialnego na nominacje biskupie. Cascioli łączy awans ze skandalem, jaki wybuchł w Chiclayo, gdzie biskupem był Prevost. Sprawa dotyczyła molestowania trzech dziewczynek w latach 2006-10. Sprawcami mieli być dwaj duchowni – Eleuterio Vásquez-Gonzales, znany jako ojciec Lutei, i ksiądz Ricardo Yesquen. Młode kobiety, które złożyły skargę, były molestowane, gdy miały od 10 do 14 lat. Jak twierdzi jedna z nich, mimo osobistych zapewnień biskup nie nadał sprawie biegu, więc przestępstwo się przedawniło, a w Watykanie nie ma śladu zgłoszenia.

Naczelny katolickiego portalu pisał o „nieprzejrzystych” zachowaniach Prevosta jako biskupa na kilka dni przed konklawe. Ale gdy okazało się, że Amerykanin został papieżem, zarzutów już nie ponowil.

W wystąpieniach Leona XIV nie pojawiają się drażliwe kwestie społeczne. Nie wiemy, czy zmienił lub złagodził poglądy w kwestiach, które wielu katolików świeckich wierają w nauczaniu Kościoła. Jeszcze jako biskup negował edukację seksualną w szkołach – twierdził, że to niepotrzebna i groźna seksualizacja dzieci. Pryncypialnie trzymał oficjalną linię też wtedy, gdy mówił o antykoncepcji i aborcji. Dręczyła go otwartość papieża Franciszka na ludzi nieheteronormatywnych. Dawał tego dowód w wystąpieniach, gdy był peruwiańskim biskupem. Gdy został prefektem kongregacji do spraw biskupów, publicznych wystąpień na te tematy unikał, jak mógł.

Na razie Prevost stara się pokazać jako papież otwarty na dialog i człowiek niepozbowiony poczucia humoru. Gdy dziennikarze zaproponowali, by zorganizował charytatywny turniej tenisowy – jest fanem tego sportu – odpowiedział, że chętnie, ale może bez Sinnera, bo z nim by przegrał.

Po angielsku *sinner* to grzesznik. A z Jannikiem Sinnerem, liderem rankingu ATP, spotkał się 14 maja. Sparingu nie było. Głowa Kościoła i pierwszy tenista świata zadowolili się wymianą prezentów. ●

Małgorzata Skowrońska

Pokolenie Z

JUŻ NIE MARZY O HERMÈSIE



**Idę kupować
chińskie podróbki
luksusowych
produktów.
Właśnie zalewają
Polskę.**

FOT. PAPIN LAB/SHUTTERSTOCK, CHRISTIAN VIERIG/GETTY IMAGES

Piotr Miączyński

Do Fashion Outlets of Chicago, przyznam szczerze, trafiłem z dwóch powodów. Pierwszy, dość praktyczny – naprzeciwko amerykańskiego centrum luksusu (końcówki kolekcji, wyprzedaże) znajdował się mój hotel, a w centrum handlowym najłatwiej było zjeść jakiś obiad. Drugi – wstyd przyznać, to zawodo-we upośledzenie, zwyczajnie lubię oglądać sklepy. Zarządca obiektu chwali się, że w centrum jest ponad 130 designerskich marek: od Brunella Cucinello, przez Burberry, Gucciego, Armaniego, Lululemon po Alexandra McQueena, Burberry, Versace, Jimmy’ego Choo i Karla Lagerfelda. W sumie wypas pełną gębą.

Do tego jest sklep Bossa, Calvina Kleina i trochę popularnych sieciówek z Banana Republic Factory Store na czele, potężnym salonem Nike oraz Forever 21. Tę ostatnią sieciówkę można porównać do czegoś między polskim Sinsayem a szwedzkim H&M, kilka lat temu byli zresztą w Polsce.

Wchodzę do środka, a mina nieco mi rzędzie. Samo centrum to kolejna świątynia z karton-gipsu, ośmieliłbym się stwierdzić i nie będzie to przesada, że stołeczne Złote Tarasy czy Arkadia wyglądają przy nim ciut lepiej. Biorąc pod uwagę warunki amerykańskie, to zadupie albo, jak kto woli: galeria jest na uboczu.

Z centrum miasta – gdzie na Magnificent Mile znajdują się prawdziwie luksusowe i pieruńsko drogie domy towarowe Neiman Marcus oraz Saks, a także flagowe sklepy Burberry, Ralpha Laurena czy Chanel – jeśli nie ma korków można tu dojechać w 20 minut. Kolejką CTA Blue Line to już ponad godzinę.

W takich miejscach jak Fashion Outlets of Chicago bije jednak serce amerykańskiego aspirującego luksusu. Czyli coś dla tych, którzy chcą pokazać, że mają, ale nie zamierzają płacić za to krocie.

Gucci jak z piosenki

Wchodzę do sklepu Burberry. Jest taniej niż na Magnificent Mile, co nie oznacza, że tanio. Szalik: 350 dolarów po przecenie z 490. Kurtka za 990 dolarów, to już po 30-proc. niższe.

Klientów trochę jest, ale bez przesady. Większość raczej ogląda, obsługa patrzy z urzędowym amerykańskim uśmiechem.

Właściwie naprzeciwko sklepu Burberry jest Gucci, jak to bombastycznie określono: „The House has redefined luxury for the 21st century”, czyli że dom mody przekształcił pojęcie luksusu na miarę XXI wieku.

Cóż, podchodzący z Florencji Gucci na pewno jest w USA popularny, w czym mocno pomogła amerykańska scena hip-hop, R&B i pop.

O swojej obsesji na punkcie tej marki rapował Lil Pump w numerze „Gucci Gang”, wspominali ją Kanye West oraz Cardi B, no i oczywiście Gucci Mane, który markę wplótł nawet w swój sceniczny pseudonim.

Te piosenki wykreowały – jak chcą jedni – symbol luksusu, statusu i bogactwa. Albo jak wolą inni – symbol nuworyszowskiej tandety.

Wchodzę do sklepu. Biało-pomarańczowa kurtka Gucciego kosztuje 1099 dolarów, marynarka, wyglądająca jak na postać z kreskówki 1500 dolarów, bluza przypominająca obicie kanapy 1150, wszystko, proszę wybaczyć, przypomina styl bazarowo-dresowowy. Jak ktoś był na stadionie 10-lecia w czasach świetności, to wie, o czym piszę.

Oglądam ceny, ochroniarz patrzy

• Uczestniczka imprezy New York Fashion Week z podróbką luksusowej Birkin firmy Hermès – o czym informuje napis na torbie (15.02 2022). Cena torby zależy od materiałów i waha się od 10 do 500 tys. dol. na aukcjach. Jest robiona ręcznie i trzeba na nią długo czekać. Podóbkę można kupić za maks. 1000 dol. a nawet mniej



Szpilki Louboutina są na Kakobuy jako: „Ch * istian Lo * boutin rivet shoe high-end series collection”

mi na ręce, czy przypadkiem jednego z tych arcydzieli w niecny sposób nie mam zamiaru wynieść bez płacenia.

Kiedy opuszczam sklep, widzę wielką kolejkę, która czeka na możliwość wejścia. W niej przeważają młodzi ludzie, widać sporo Azjatów. Ze skruczą przyznają, że kolejkę ominąłem całkowicie nieświadomie, w życiu mi nie przyszło do głowy, że trzeba czekać, aby wejść do outletu. Nikt z obsługi nie zwrócił mi uwagi, że powinienem w niej stanąć.

Od czasu mojej wizyty w Chicago sporo się jednak zmieniło.

Luksusowe towary w amerykańskich sklepach mogą mocno podrożeć

Przed wszystkim było to jeszcze przed wygraną Donalda Trumpa, przed szaleństwem z clami i złożeniem wniosku o bankructwo Forever 21. Marka 30 kwietnia zamknęła ostatnie 354 sklepy stacjonarne w USA.

Tym samym stała się kolejną ofiarą chińskiego najeźdźcy Shein oraz Temu na USA.

Trump poruszający się z rozkoszną lekkością słonia w składzie porcelany zapowiedział, że amerykańskie cła na import z UE wyniosą 20 proc. Stan na dziś jest taki, że ta stawka jest zawieszona i obowiązuje 10 proc. Jak długo? Nie wiadomo.

Ale od 9 kwietnia 2025 roku USA nałożyły 145 proc. cło na import z Chin, co doprowadziło do niemal całkowitego zatrzymania handlu między tymi krajami.

A spora część luksusu ma na sobie znaczek „made in China”. Jak duża część? A to już zależy, kogo się pyta.

Chińscy użytkownicy TikToka kpią z amerykańskich planów celnych – jeden z viralowych filmów stworzonych przez sztuczną inteligencję pokazuje otyłych Amerykanów pracujących w fabrykach z podpisem „Make America great again”.

Wojna handlowa na TikToku

Współczesne wojny handlowe wyglądają nieco inaczej, niż się do tej pory przyzwyczailiśmy. Przed wszystkim toczą się w internecie.

Konto w serwisie X podpisane jako Zoya_ai: „Chiny właśnie zniszczyły globalny rynek wielkich luksusowych marek warty 400 miliardów dolarów – w zaledwie tydzień. Sprzedaż spada gwałtownie dla LV, Gucciego, Hermès’a i Chanel. Chińscy twórcy ujawniają prawdę...”

Ten clickbajt musi zadziałać i oczywiście działa. W wątku załączone są filmiki z TikToka, oczywiście pochodzącego z Chin, które w ostatnich tygodniach były wyświetlane miliony razy na całym świecie. Większość z nich z hashtagem #ChinaManufacturer.

Jak ten, gdzie uśmiechnięty młody Chińczyk w koszuli w kratę siedzi na stołku w fabryce w Kan-

tonie i pokazuje coś, co wygląda jak szara skórzana torebka Hermès’a Birkin.

Za nim przy świetle jarzeńówek kilka młodych kobiet składa kolejne. „Ta torebka Birkin w butik Hermès’a będzie cię kosztować 38 000 dolarów. Ale jaki jest jej rzeczywisty koszt prosto z fabryki? Dziś rozłożę to dla ciebie krok po kroku” – mówi mężczyzna, który na TikToku prezentuje się jako Senbags2.

Nazwa nawiązuje do klocków Lego, gdzie odsyła się uszkodzony/niewłaściwy element, aby dostać w pełni sprawny.

Senbags2 wylicza: Przede wszystkim Hermès korzysta tylko ze skór od trzech dostawców najwyższej klasy.

Pierwszy to Nuti z Włoch. Drugi – Weinheimer z Niemiec. Trzeci – Haas z Francji.

Senbags2 nawija: jedna sztuka skóry tego, dokładnie taka jak ta – pokazuje – kosztuje 420 dolarów. I jedna sztuka skóry wystarcza tylko na jedną torebkę Birkin, okej? Następnie – nić. Oczywiście, w przypadku torebki Hermès’a Birkin również używa się nici najwyższej klasy. Nazywa się fil au chinois i pochodzi z Francji. To dosłownie rolls-royce wśród nici. Koszt nici na jedną torebkę to 25 dolarów.

Teraz okucia. Najlepsza stal nierdzewna wytrzymująca działanie wody morskiej tzw. 316 to koszt 150 dolarów.

– Ten olej do wykończeń importowany jest z Włoch. Nazywa się heat seal edge oil (olej do zgrzewania krawędzi). Koszt na jedną torebkę – 50 dolarów. Podszycie wewnętrzne. Używa się jagnięcej skóry z Francji. Koszt na torebkę – 100 dolarów itp. itd.

„Ta sama jakość, ten sam materiał” – mówi Chińczyk do kamery, klepiąc podóbkę Birkin stojącą obok. Całkowity koszt, wliczając robociznę? Około 1400 dolarów – czyli o 36 600 dolarów taniej.

Francuscy rzemieślnicy są znacznie drożsi niż ci w Chinach. Koszt robocizny przy wykonaniu jednej torebki to 600 dolarów.

– Jeśli nie zależy ci na logo, tylko chcesz tę samą jakość i te same materiały – możesz kupić od nas. Ta torebka z naszej fabryki kosztuje cię tylko 1000 dolarów. A ma nawet lepszą jakość i wykonanie – przekonuje autor filmiku.

I co istotne, nie trzeba czekać lat i wykupować połowy sklepu, aby dostać szansę na kupno takiej torebki w sklepie Hermès’a.

Chińscy tiktokerzy radzą, jak zamawiać bezpośrednio z fabryk, z pominięciem pośredników i cel. Zachęcają amerykańskich konsumentów, by kupowali bezpośrednio z Chin.

Kolejny viralowy filmik i znowu Senbags2 uśmiecha się uprzejmie, tłumacząc, że owszem: „Niektórzy twierdzą, że jeśli na metce widnieje »Made in China«, to torebka nigdy nie mo-



że być luksusowa. Tymczasem ponad 80 procent luksusowych torebek na świecie produkowanych jest w Chinach” jako OEM (Original Equipment Manufacturer), czyli marka zleca, chińska fabryka produkuje.

I wbija szpilę:

„Ale te luksusowe marki nigdy się do tego nie przyznają”.

Senbags2 to tak naprawdę niejaki Wang Sen, twórca marki Sen Bags, która produkuje torby. Swoją drogą w przeszłości Wang Sen przedstawiał się jako ekspert w dziedzinie... eksportu pojazdów elektrycznych. Oczywiście chińskich.

Czy luksusowe marki produkują w Chinach?

To, że 80 proc. luksusowych torebek powstaje w Chinach, to jednak taka sama prawda jak to, że politycy mówią zawsze prawdę, a zestawik z McDonald's jest zdrowy i dietetyczny. Handlowa wojna na TikToku wywołała jednak zapotrzebowanie na spowiedź w wykonaniu sprzedawców luksusu.

Zaniepokojona o los głównych eksporterów kraju telewizja France24 w programie „Prawda czy fałsz” badała, gdzie faktycznie powstają takie produkty – choć uczciwie przyznam, że sposób tego „badania” jest daleki od głębokich analiz.

Wnioski? „Jeśli chodzi o największych graczy w branży luksusowej, takich jak Hermès, można się spodziewać, że informacje o kraju produkcji będą zgodne z prawdą”.

Dalej reporterka Catalina Marchant De Abreu przywoływała, że zgodnie z ich stroną internetową Hermès produkuje swoje wyroby głównie we Francji, w około 60 zakładach. Mają też dodatkowych 12 producentów: w Szwajcarii, we Włoszech, Wielkiej Brytanii, USA, Portugalii i Australii, ale nie w Chinach.

Louis Vuitton również twierdzi, że ich wyroby skórzane są produkowane wyłącznie w warsztatach zlokalizowanych we Francji, Hiszpanii, Włoszech i USA.

Zresztą Unia Europejska ma surowe regulacje odnośnie do etykietowania produktu. Aby oznaczyć coś na przykład jako „made in France” czy „made in Italy”, ostatni istotny etap produkcji musi mieć miejsce we Francji/Włoszech, a 45-50 proc. jego kosztu jednostkowego musi pochodzić z tego kraju.

To wszystko jednak nie do końca prawda. Owszem, część marek luksusowych, jak wspomniane Hermès, Louis Vuitton czy Chanel, Azji unika.

Ale spora część marek uchodzących za luksusowe faktycznie tam szyje bądź korzysta z tamtejszych łańcuchów dostaw. Zwłaszcza jeśli chodzi o tanie linie skierowane do szerszego – co tu kryć – mniej zamożnego konsumenta.

Tak bywa z: Hugo Bossem, Burberry (trecze powstają jednak w Wielkiej Brytanii), Michaelem Korsem, marką Coach, Armanim (Emporio / EA7) czy Pradą (w Chinach powstaje jednak tylko mała część jej produkcji).

Poza tym do deklaracji producentów też należy podchodzić z pewną rezerwą. Dlaczego?

Jak produkuje się luksus

Początek lipca 2024. Media piszą o serii nalożonych karabinierów na warsztaty produkujące torebki i inne wyroby skórzane dla Diora i Armaniego.

Wizyty służb porządku ujawniły kontrast pomiędzy blichtrzem mediolańskich wybiegów a rzeczywistością produkcji towarów luksusowych. Według dochodzenia prowadzonego przez prokuratorów w Mediolanie przy produkcji luksusowych wyrobów zatrudniano osoby na czarno, a także zagranicznych pracowników, z których wielu to Chińczycy.

Z maszyn usunięto zabezpieczenia po to, aby pracować szybciej. Pracownicy mieszkali, jedli i spali w warsztacie, pra-



• Francuscy celnicy z Nantes układają skonfiskowane podróbki luksusowych marek

cowali od świtu do późnych godzin wieczornych, w tym w weekendy i święta.

„Dior płacił dostawcy 53 euro za każdą torebkę, którą następnie sprzedawał w sklepach za 2600 euro, wynika z dokumentów zebranych w ramach śledztwa. Torebki Armaniego były natomiast sprzedawane odbiorcy za 93 euro, który następnie sprzedawał je Armaniemu za 250 euro, a ostatecznie torebki te kosztowały w sklepach ok. 1800 euro. Ceny te nie obejmują kosztów skór ani innych surowców. Firmy pokrywają oddzielnie koszty projektowania, dystrybucji i marketingu” – pisał „Wall Street Journal”.

Dior w reakcji na te doniesienia ogłosił, że zerwał współpracę z dostawcami, których dotyczyła ta sytuacja. Poza tym mieli się zajmować jedynie częściowym montażem produktów skórzanych, a doniesienia o „skandalicznie niskich” kosztach produkcji były „całkowicie fałszywe”. No i „marże Diora są zupełnie inne i standardowe dla branży luksusowej”.

Mimo to inwestorzy LVMH domagają się podjęcia bardziej zdecydowanych działań w celu monitorowania warunków pracy u swoich dostawców oraz poprawy polityki płacowej.

Jak powstaje torebka za 38 tysięcy dolarów?

Ale dlaczego Hermès żąda 38 tysięcy dolarów za jedną torebkę? Bo może.

Marka ma warsztaty m.in. w: Pantin na obrzeżach Paryża, Ardenach, Lyonie i Normandii. Szkolony nawet przez pięć lat rzemieślnik – to w przypadku modeli Birkin, Kelly czy Constance – nad jedną torebką spędza od 15 do 40 godzin.

Każda ma unikalny kod, który wskazuje na rok produkcji, oraz warsztat, w którym torebka została wykonana.

Zadam obrazoburcze pytanie: czy Chińczycy są w stanie technicznie wykonać torebki w jakości Hermès? Odpowiedź

brzmi... tak. Skoro Chińczycy potrafią już robić elektryczne auta, które bywają lepsze od europejskiej konkurencji z tradycjami, to dlaczego mają być gorsi w produkcji luksusu?

Tylko że to ciągle nie będzie Hermès, nie będzie to obiekt marzeń milionów kobiet – i mężczyzn – na całym świecie i z całą pewnością nie da się tutaj wcisnąć gigantycznej marży, którą nabywcy chcą zapłacić, aby pokazać, że ich stać.

Made in China to już nie jest tylko tani bądzie

Cała sytuacja jest komiczna, bo zachodni świat wpierw w ramach zbijania kosztów produkcji ekspediował produkcję do Chin, a teraz faktycznie nie chce się do tego często przyznawać.

Z czego Chińczycy zaczynają się bezwstydnie nabijać.

Młoda Chinka w okularach pyta na filmie na TikToku: kim są dostawcy, którzy kryją się za markami takimi jak Salomon, Timberland, New Balance, Adidas, Nike i la, la, la, w sensie: dużo więcej?

Tu zagadka jest prosta, choć zdecydowanej większości Europejczyków chodzących w tych butach nazwa producenta nic nie powie.

To Pou Chen Group, która w obuwiu jest jak Foxconn w elektronice. Jej spółka zależna Yue Yuen Industrial Holdings zarejestrowana w Hongkongu jest największym na świecie producentem obuwia sportowego na zlecenie. Tylko w jednej fabryce zatrudnia ponad 100 tysięcy osób.

Obuwie dla marek modowych jak Gucci czy Calvin Klein robi z kolei Huajian Group. Oprócz tego produkuje dla firm: Nine West, Coach, Guess, Marco Polo i Zara.

O ironio, zachodni producenci sami się skazali na produkcję w Chinach. Powód jest prosty: Chińczycy potrafią robić towar każdej jakości, od taniego barachla, z którym ciągle są kojarzeni, po produkty ultrapremium.

Przy czym ich technologia produkcji nie ma sobie – przynajmniej na razie – równych na świecie. Zarówno jeśli chodzi o łańcuchy dostaw, ceny produkcji czy kontrolę jakości. Choć początkujące firmy traktuje się tu często jak jelenie. Żeby zamawiać w Chinach, najlepiej być w Chinach i trzymać tam rękę na pulsie.

„Teraz, gdy USA i ich »młodszy europejski bracia« próbują odrzucać chińskie towary, myślisz, że luksusowe marki nie próbowały przenieść produkcji poza Chiny? Tak, próbowały, ale poniosły porażkę” – mówi dumnie Senbags2 i jeśli jest w tym nawet przesada, to wcale nie tak wielka. Przy okazji wytyka, że zachodni producenci mają zbyt drogie pracowników albo zwyczajnie zbyt leniwych.

„I dlatego zawsze będziemy najlepszą fabryką OEM dla luksusowych marek” – konkluduje Chińczyk.

Komentarz dziennika „The Independent”: jedno jest pewne – emocje buzuja po obu stronach barykady. Niektórzy komentatorzy określają odpowiedź chińskich fabryk jako „wielkie f... you” wobec zachodniego kapitalizmu.

Luksus zaczyna kuleć

Od początku roku kurs imperium LVMH którego właścicielem jest jeden z najbogatszych ludzi świata, Bernard Arnault, spadł o ponad 13 proc. Arnault to nie jest przykład kariery od zera do bohatera, od pucybuta do milionera. Pochodzi z bardzo zamożnej rodziny francuskich przedsiębiorców.

To jednak on sam zwierzył okazję, która w tamtym okresie wcale nie była pewniakiem.

W 1984 r. za otrzymane od rodziny 15 milionów dolarów kupił przedsiębiorstwo odzieżowe Christian Dior.

Dziś LVMH posiada około 80 różnych marek: Louis Vuitton, Moët & Chandon, Givenchy, Fendi, Bulgari, Celine, Sephora czy Tiffany & Co.

Arnault trzyma żelazną ręką ster. W marcu 2025 r. LVMH zaproponowało przedłużenie maksymalnego wieku emerytalnego dla prezesa i dyrektora generalnego z 80 do 85 lat, co pozwoliłoby Arnaultowi na dalsze kierowanie koncernem.

Wielomiesięczny spadek kursu odebrał jego firmie palmę największej spółki UE według kapitalizacji rynkowej.

To, że luksusowy konglomerat wyprzedziła niemiecka firma SAP produkująca oprogramowanie biznesowe, jest bolesne.

Ale Arnault musiał uznać wyższość Hermès. Firmy, którą chciał tajemnie

Słuchajcie, na Vinted nie ma ani jednej oryginalnej marynarki z Alexandra McQueena.

To wszystko są fejury!

przejąć w 2010 r. Rodzina Hermèsów odrzuciła jednak jego konkury.

I mimo że to właściwie firma jednobranżowa, analitycy patrzą na nią dużo przychylniej. Hermès kieruje swoją ofertę do znacznie zamożniejszego klienta niż dwie największe marki LVMH, czyli Vuitton, który generuje połowę zysków, i Dior.

Kłopoty ma jednak nie tylko Arnault. Akcje grupy Kering – francuska firma rodzinna kontrolowana przez rodzinę Pinaultów, czyli m.in.: Gucci, Yves Saint Laurent, Balenciaga, Bottega Veneta, Alexander McQueen – od początku roku spadły o 20 proc. Burberry o 25 proc.

Walory Capri Holdings Limited, amerykańskiej grupy modowej – Michael Kors, Jimmy Choo i do niedawna Versace sprzedana właśnie Pradzie – spadły o 20 proc.

To przynajmniej dane na czas pisania tego tekstu. Bo 12 maja Chińczycy i Amerykanie uzgodnili zawieszenie celnego konfliktu na 90 dni. Giełdy nieco odbiły, problemy zostały.

„The old luxury is dying

To tłumaczy w podcaście redaktorka mody z prestiżowego „Financial Timesa” Lauren Indvik. Jej zdaniem branża spodziewała się, że pandemia wywoła katastrofę w sektorze produktów luksusowych.

Bo żeby je kupić, trzeba wyjść z domu. Bo się je często kupuje, aby pokazać się w nich innym. Tak aby zazdrościli.

Tymczasem ledwo COVID wykreśliło z listy zagrożeń, konsumenci za zgromadzone pieniądze tłumnie ruszyli się rozpieszczać.

„Najpierw mieliśmy odbicie w USA, potem w Chinach – tam lockdowny znoszono dwukrotnie i za każdym razem rynek odbijał dość mocno. Luksus przeżył wtedy świetny okres – właśnie dzięki temu efektowi postcovidowemu” – wspomina Lauren Indvik.

A kiedy efekt szampana po pandemii się wyczerpał, pojawiła się wysoka inflacja. Wzrost sprzedaży od tego momentu był napędzany wysokimi cenami.

– Teraz mamy do czynienia z sytuacją, że torebka Chanel kosztuje dwa razy więcej niż przed pandemią. Produkty same w sobie się nie poprawiły. I po tym okresie nagrody za przetrwanie wiele osób zaczęło myśleć: „czy luksus nie przesadza?”. Ludzie mówią: „Nie widzę sensu, by płacić tyle za takie rzeczy” – twierdzi redaktorka „Financial Timesa”.

A potem pojawił się Trump.

– Miesiąc temu rozmawiałam z Bruno Pavlovskym, prezesem Chanel, i powiedział mi, że potrafią niemal przewidzieć liczbę klientów w butikach w USA na podstawie tego, jak danego tygodnia radzi sobie giełda. A ostatnio nie radzi sobie dobrze – konkluduje Indvik.

Analitycy przekonują, że znajdujemy się dziś w punkcie przełomowym, jeśli chodzi o dobra luksusowe i z wyższej półki. Młodzi ludzie zarówno w USA, jak i Europie coraz częściej szukają innych, bardziej niszowych symboli statusu.

Sami Chińczycy przekonują: „the old luxury is dying” oraz „gen Z in China no longer dreams of Hermès”. Czyli: „stary luksus umiera”, a „pokolenie Z w Chinach już nie marzy o Hermèsie”.

Chińczycy promują teraz swoje marki luksusowe, takie jak: Duanmu, Shang Xia czy Dissona. Ta ostatnia zatrudniła byłego rzemieślnika Hermèsa Thomasa Maurice’a, co pozwoliło jej jako pierwszej chińskiej marce galanterii skórzonej wystąpić na Milan Fashion Weeku w 2017 r.

Christine Cui, ekspertka mody z Szanghaju w China Daily: „Konsumenci przestali gonić za logo, a coraz bardziej skupiają się na stosunku jakości do ceny. Nasze krajowe marki torebek dorównują międzynarodowym markom typu light luxury pod względem estetyki i materiałów. Jeśli luksusowe marki nie zaczną wprowadzać innowacji w designie i nadal będą się skupiać wyłącznie na logotypie, czekają je poważne wyzwania”.

Do promocji Chińczycy wykorzystują swoich lokalnych celebrytów, ale również np. Kelly Rutherford znaną z „Plotkary”, której wizerunek old money wzmocnił wizerunek chińskiej marki Songmont.

Cale zamieszanie na TikToku ma jednak jeszcze jedna przyczynę.

„Mój ziomo miał Supreme, mój ziomo miał Bape’a”

Nie jest to specjalnie skomplikowane. O ile ma się TikToka. I Discorda – serwis społecznościowy dla tych, dla których Facebook jest dinozaurem. I zasadniczo ma się poniżej 30. roku życia.

Trzymając się obowiązującej w tej branży stylistyki, królem fejurów – od angielskiego *fake* „falszywy, podrobiony” – podjeb i repów (to od *repliki*, jak delikatnie niektórzy oznaczają podróbki) jest Kakobuy.com.

To internetowy pośrednik zakupowy, który umożliwia klientom z całego świata nabywanie produktów z chińskich platform e-commerce.

Po pierwszym wejściu na tę stronę przeżywa się srogie rozczarowanie. To nie Allegro, gdzie wyszukuje się bez problemu potrzebne produkty. Albo jak kto woli, nie wy-

Mój ziomo na uro dostał te kluczyki od Merca

Na czarno Ukry sprzątały mu penthouse”.

To bluza „Supreme” kosztuje tu 25 dolarów, „Bape Shark” 58,28 dolara.

I jeszcze Young Leosia w utwórze Szklanki:

„Noce nie bywają spokojne, będzie trzeba, to pójdę na wojnę

Na ulicy w szeleszczącej kurtce Moncler będę walczyć o zwrot moich wspomnień”.

Kurtka „Moncler Maya” – 70 dolarów.

Wszystkie te rzeczy, tyle że oryginalne, kosztują po kilka tysięcy złotych.

Sprzedawcy często unikają bezpośredniego używania chronionych nazw marek, zamieniając je na eufemizmy lub kody literowo-cyfrowe. Na przykład zamiast „Gucci” mogą pisać „Guc*”. Albo „Louis Vuitton”.

I tak szpilki Christian Louboutina są opisane na Kakobuy jako: „Ch * istian Lo * botin rivet shoe high-end series collection”.

Ułatwia to ominięcie filtrów automatycznych.

Jakość podróbek? Jest bardzo różna.

Kupić można zarówno najgorszy chłam,

jak i produkty, które jakościowo nie od-



• W Wenecji w biały w dzień pod nosem władz. Handel podróbkami na Ponte degli Scalzi - jednym z czterech kamiennych mostów na Canale Grande

Dlaczego Hermès żąda 38 tysięcy dolarów za jedną torebkę?

starczy wpisać tutaj w wyszukiwarce Gucci, aby dostać fejura Gucciego.

Trzeba mieć link do konkretnego przedmiotu.

Jak go zdobyć? Od naganiaczy na TikToku, którzy w ramach reklamy prezentują w krótkich filmach, co akurat ściągnęli z Chin.

Część z nich pokazuje twarze, część występuje w kominiarkach.

To Polacy, którzy za prowizję od Chińczyków udostępniają pliki excellowskie – spreadsheetsy z cenami, zdjęciami i oczywiście linkami do podrób.

Przeglądam oferty dwóch najpotężniejszych graczy w tej branży, których filmiki mają największe zasięgi.

Szalik „Burberry” – ten sam, który ogłądałem w sklepie w USA – tu kosztuje 14 dolarów. Kurtka „Balenciagi” 126,02 dolarów. Buty „Christian Louboutin” – 46,57 dolarów. Sportowe buty „Diora B30” za 37 dolarów.

Mokasyny „Loro Piana” – za 53 dolary

Ktoś pamięta, jak Mata rapował w kawalku „Patointeligencja”:

„Mój ziomo miał Supreme, mój ziomo miał Bape’a

stają od tych sprzedawanych w polskich sieciówkach. Rzadko kiedy mają jednak jakość oryginału.

Co na to producenci?

Na Kakobuy znalazłem bluzę dla wielu szokująco drogiej polskiej marki modowej MISBHV, czytane jako misbehave, założonej przez Natalię Maczek i Tomasz Wirskiego.

Ubrania MISBHV są dostępne w blisko 90 sklepach na całym świecie, firma prowadzi też sprzedaż online.

Czarna bluza z nadrukiem w firmowym sklepie kosztuje 990 zł. U Chińczyków trochę ponad 33 dolary.

– To jeden z naszych najpopularniejszych wzorów – mówi Piotr Pisarz, CEO MISBHV. – Niestety, jest to olbrzymi problem. Naszą bolączką jest to, że nawet gdy widzimy podrobione produkty online, nie ma łatwego sposobu usuwania ich ze stron. Ich obecność na ulicach obniża ekskluzywność brandu i tym samym może powoli prowadzić do dewaluacji marki. I jest utraconym zyskiem w przypadku klientów, którzy – wprowa-

dzeni w błąd – myślą, że nabywają oryginał.

Czy produkują państwo cokolwiek w Chinach?

– Tak, produkujemy w kilkudziesięciu krajach, w tym Chinach. W ostatnich latach Chiny stały się najlepszym jakościowo producentem wyrobów w niektórych segmentach – mówi Pisarz. – Natomiast ta bluza była i jest wciąż produkowana w Polsce.

Nie ma większej „wiochy” niż obnoszenie się z podróbkami

Chińczycy od lat beczelnie zrzucają, podrabiają, a potem unowocześniają i wypuszczają pod swoim szyldem zachodnie produkty. Uważają to za dowód biznesowego sprytu.

To coś, czego europejska kultura kompletnie nie rozumie. W rezultacie Chiny od lat mają największy na świecie rynek podróbek. W zależności od politycznego nastawienia raz go luzują, raz są bardziej restrykcyjne. Napięcia na linii z USA sprawiają, że aktualnie Chiny szerzej otwierają wrota, traktując fejury jako broń ekonomiczną. Podobnie postąpiła Rosja w odpowiedzi na wsparcie USA dla Ukrainy, pozwalając na dystrybucję podróbek luksusowych produktów na własnym rynku.

W tym kontekście tiktokowe olśnienie na temat „gigantycznych marż” zachodnich firm to jednak pic na wodę.

– Celem właścicieli fabryk chińskich jest przyciągnięcie uwagi zachodnich „wieśniaków” skłonnych zapłacić 300 dolarów za podróbkę, która warta jest może 10 proc. tej kwoty – twierdzi Leszek Ślżyk, autor bloga Chiny24, który więcej czasu spędza za Wielkim Murem niż nad Wisłą.

Podróbki z: Kakobuy.com, Taobao należącego do Alibaba Group Holding, Pinduoduo z PDD Holdings (należy do nich również Temu) oraz hurtowni internetowej Dhgate, kupują Europejczycy, Afrykanie, Amerykanie, którzy chcą udawać, że ich stać.

– Torebka Diora, która w butikach kosztuje 6 tysięcy dolarów, kosztuje go na TikToku zaledwie 300 dolarów – prowokuję.

– Torebkę według wzoru Diora może pan kupić w Szanghaju nawet za 50 dolarów. Ale to nie będzie torebka Diora, tylko podróbka. Torebkę Diora bowiem kupuje się u Diora. Dziś w Chinach nie ma większej „wiochy” niż obnoszenie się z podróbkami marek luksusowych. Albo cię stać, albo nie – tłumaczy mi Ślżyk.

I dodaje: – Nigdy nie miało znaczenia, ile kosztuje wyprodukowanie torebki Hermesa czy Louis Vuitton, ważne było, jak postrzegana jest osoba, którą stać na tak ekstrawagancki zakup. Delikatnie rzecz ujmując: odbiorcy tego typu sensacji nie są zbyt wyrafinowani intelektualnie. Stąd też natychmiastowa lawina wszelkich teorii spiskowych. Jak ta, że osobiście Xi Jinping chce „dowalić” Chanel albo Helenie Rubinstein. To zwyczajnie żenujące.

Tu pojawia się kolejny problem.

Dlaczego Vinted stało się światem fejura?

– Te fałszywe produkty sprzedawane są nie tylko na chińskich stronach, gdzie klient raczej wie, że kupuje fejki, ale również – przykładowo – na Vinted, gdzie kupujący myślą, że dostaną oryginalny produkt – rozkłada ręce szef MISBHV.

Podróbki mają niby-oryginalne metki. Mamy więc zatrzęsienie w serwisach zakupowych, grupach sprzedażowych niby-oryginalnych produktów, które w rzeczywistości są podróbkami.

I tak majtki Victoria Secret, które później są sprzedawane jako oryginały za np. 140 złotych, kosztują w chińskich serwisach 4 dolary.

Zrezygnowana Polka opowiada w filmie na TikToku: „Ja w tym momencie już boję się kupować na Vinted. Dlaczego Vinted stało się światem fejura? Postanowiłam sobie, że chcę kupić marynarkę z Alexandra McQueen. I słuchajcie, na Vinted nie ma ani jednej oryginalnej marynarki z Alexandra McQueen. To wszystko są fejury!”.

Co z człowieka robi *mordercę*

Mamy nadzieję,
że zdołamy wykryć tę prawidłowość.

Z FILOZOFEM
TOMASZEM STAWISZYŃSKIM
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Uległeś pokusie zbyt częstego, może nagminnego sprawdzania newsów dotyczących morderstwa na Uniwersytecie?

– Nie wiem, jaka częstotliwość to już „zbyt często”, ale w ciągu kilku godzin po tym, jak dotarła do mnie ta informacja, wielokrotnie zaglądałem do telefonu, żeby dowiedzieć się, co się właściwie stało. Byłem, podobnie jak wszyscy, wstrząśnięty potwornością tej zbrodni.

Co interesowało cię najbardziej?

– Los ofiar, to, czy ujęto sprawcę, czy znane są jakieś motywy, czy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Takie zupełnie podstawowe sprawy.

Pojawiły się też filmy nagrane przez świadków. Widać ciało, krew, sprawcę pastwiącego się nad martwym ciałem. Widziałeś je? Czy te filmy to też forma newsa?

– Przemknęły mi przed oczami również te materiały, o których wspominasz, ale świadomie nie chciałem ich oglądać.

Niestety, parokrotnie, zanim zdążyłem je przewinąć, jakieś fragmenty stanęły mi przed oczami. Czy to jest forma newsa? Jeśli tak, to patologiczna, będąca wynikiem braku jakichkolwiek ograniczeń w polityce informacyjnej niektórych mediów społecznościowych.

Oczywiście tabloidy – także w Polsce – nigdy nie miały specjalnych oporów i często publikowały zdjęcia zwłok ofiar zabójstw, zamachów czy samobójstw. Nie mniej jednak detaliczny obraz okaleczonego ciała w filmie, który znienacka pojawia ci się na ekranie telefonu, to jakościowo coś innego niż rzut oka, czasami z oddali, na gazetę, której przecież możesz nie kupić.

Co w żadnym razie nie usprawiedliwia oczywiście redaktorów tych gazet. Nawiasem mówiąc, akurat w przypadku, o którym rozmawiamy, polskie tabloidy zachowały na szczęście jakąś powściągliwość. W przeciwieństwie do osób, które bezmyślnie udostępniały w sieci te nagrania.

Wyrażnie oddzieliłbym jednak potrzebę wiedzy o tym, co się wydarzyło, od potrzeby oglądania tego typu materiałów. Sprawdzanie wiadomości, nawet zbyt częste, jest naturalne. Oczywiście, że wobec takiej tragedii – o której dowiadujemy się w zasadzie w czasie rzeczywistym – próbujemy uzyskać jak najwięcej informacji.

Ich obieg, również w mediach społecznościowych, nie budzi kontrowersji, to niewątpliwa korzyść – choć obosieczna – dzisiejszych technologii: wiadomości docierają do nas błyskawicznie, cały świat jest transmitowany na żywo w naszym smartfonie.

Ale wpuszczanie do tego obiegu nagrań przedstawiających zwłoki czy drastyczne akty przemocy nie ma nic wspólnego z powiększaniem zasobu naszej wiedzy



• **Dzień po tragedii na Uniwersytecie Warszawskim (8.05. 2025).**

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

czy też prawem do informacji. Są po prostu rzeczy, które widzieć i o których wiedzieć powinni – i mają prawo – tylko nie liczni. Nam się często niesłusznie wydaje, że mamy prawo wiedzieć i widzieć wszystko, a rękojmą tego prawa jest sama intensywność naszej ciekawości.

Nie mogę przypomnieć sobie, który z wielkich filozofów mówił, że nie możemy odwrócić wzroku od śmierci, od martwego ciała, chcemy się w nie wpatrywać. Może oglądanie tego typu filmów, wpatrywanie się w zło jest częścią naszej natury. Czuję się niepewnie, mówiąc to teraz, ale te filmy uspokoiły mnie.

– Rozumiem jakieś odruchowe ludzkie zainteresowanie tego rodzaju, przypuszczam, że jest to zjawisko niezadkne. Gdyby było inaczej, materiały przedstawiające wypadki, śmierć, krwawe bójki czy inne drastyczne rzeczy nie osiągałyby tak gigantycznej klikalności m.in. na platformie X.

W latach 80. i 90. krążyły na kasetach VHS filmy z cyklu „Oblicza śmierci”, które składały się częściowo z zainscenizowanych, a częściowo autentycznych nagrań wypadków, wybuchów czy strzelanin. Był na to wielki popyt, choć w porównaniu z tym, do czego dziś w zasadzie każdy z nas ma momentalny dostęp, „Oblicza śmierci” nie robią już większego wrażenia.

Wracając do odruchowości – nie każdy odruch, choćby nawet najgłębiej zaprogramowany w nas przez ewolucję, należy w sobie pielęgnować. Są odruchy, za którymi nie wolno i nie powinno się podążać. Tego właśnie uczy nas kultura. System prawny, obyczajowość, przystosowanie do życia w społeczeństwie opierają się na przekonaniu, że człowiek jest istotą odruchową, ale w procesie socjalizacji nabywa umiejętności kontroli odruchów.

Czy chcesz powiedzieć, że to oglądanie tych filmów jest barbarzyńskie?

– Chcę powiedzieć, że jest coś drastycznego i złego w tym, że okaleczone ciało zamordowanej kobiety staje się publiczną własnością, że jego wizerunek staje się momentalnie dostępny z każdego miejsca na świecie.

Że ludzie nabijają sobie w ten sposób klikalność czy zaspokajają jakieś swoje deficyty. Albo że na podstawie takich zdjęć powstają memy, które w zamierzeniu mają być zabawne, co też jest powszechnym zjawiskiem.

W przypadku morderstwa na UW nie widziałem memów, ale kilka lat temu, kiedy w Poznaniu pewien mężczyzna zastrzelił najpierw nowego partnera swojej byłej narzeczonej, a zaraz potem siebie – na jej oczach – zaroilo się od „przezabawnych” reakcji na tę tragedię. Przerabiano zdjęcia i nagrania – zdarzenie zostało zarejestrowane kamerą przemysłową – tworzone kompilacje, opatrywano wszystko komentarzami i puszczano na sieć.

Dodatkowym elementem były tutaj przekonania polityczne mordercy, które także natychmiast stały się przedmiotem a to domorosłych analiz, a to kpin. Widziałem, jak tego typu memy entuzjastycznie witali także niektórzy intelektualisci, na co dzień wrażliwi na rozmaite formy przemocy, także symbolicznej. Nie mieli jednak żadnych oporów przed aplauzem wobec takich rzeczy.

Wydaje mi się to wszystko radykalnym przekroczeniem. Mówię to bez paniki moralnej, nie chcę wpadać w ton oburzenia, ale jest w tym jakiś brak wrażliwości i świadomości na temat tego, co się tak naprawdę robi. Przecież udostępnianie zdjęć i nagrań zawierających przemoc i okrucieństwo, dokonywanie na nich jakichś przeróbek czy manipulacji to skrajne na-

ruszenie zarówno wobec ofiar, jak i ich rodzin. Wdzieranie się w ich już i tak zdewastowane przez tragedię życia z butami, wyłącznie w imię jakichś własnych przyjemności czy odreagowań.

Zgadzam się z tobą, ale jednocześnie przychodzą mi do głowy różne rzeczy. Moja przyjaciółka Hanna Dobrowolska napisała niedawno książkę o Kajetanie Poznańskim „Taki dobry chłopak”. Książka jest bardzo dobra, z wielu powodów, ale jednym nich jest ujawnienie, można powiedzieć „odtajnienie”, tak ja to odbieram – mogę się dowiedzieć, co się stało, co zrobił Kajetan Poznański, kim był. Czy kierowała mną tylko ciekawość? Nie, chcę wiedzieć, bo szukam w ten sposób sprawiedliwości, potrzebuję informacji, aby odzyskać poczucie bezpieczeństwa i wspólnoty. Zanim Hania napisała książkę, sprawa przycichła, nie powstała żadna narracja. Morderca był i zniknął.

– Mam wrażenie, że media bardzo szeroko opisywały tę sprawę, choć na pewno nie tak dokładnie, jak robi to książka, również z uwagi na czas potrzebny do zebrania i uporządkowania wszystkich informacji. To jest oczywiście zadanie dla reporterów, dziennikarzy, pisarzy – opowiadać nam takie historie, odsłaniać ich drugie, trzecie i czwarte dno. Ale to się nie może – i nie powinno – dziać od razu.

Norweska reporterka Asne Seierstad, która napisała książkę o sprawie Andersa Breivika, potrzebowała dwóch lat. Bardzo wnikliwie odmalowała podłoże społeczne, psychologiczne, cały rozległy kontekst sprawy. Truman Capote przez sześć lat pisał „Z zimną krwią” – literackie studium zbrodni, w którym, jak podkreślał, każde zdanie jest prawdziwe.

Zbieranie dowodów, badania poczytalności, przesłuchania, proces sądowy – to też musi trwać, bo trzeba oddzielić szum od faktów, ustalić maksymalnie przybliżony opis sekwencji zdarzeń. W tym jest przecież sens – w strukturze procesu karnego, konieczności udowodnienia winy, prawie do obrony, mechanizmach kontroli społecznej, ograniczaniu naszej wiedzy o tożsamości sprawcy, w zakrywaniu wizerunku jego twarzy. To się nie bierze znikąd – podobnie jak ograniczanie naszej wiedzy o różnych aspektach sprawy.

W dobrze działającym państwie i społeczeństwie istnieją podział ról i kompetencji, rozmaite hierarchie i instytucje. Ludzie – wzburzeni i przerażeni – chcieliby się jak najszybciej nasycić i uspokoić, sięgają więc po dowolne środki.

Dla jednych są to drastyczne filmy, dla innych memy, dla innych jeszcze wytwarzanie jakichś pseudoteorii na temat zależności pomiędzy zbrodnią a poglądami politycznymi sprawcy. Przy czym tę zależność identyfikują i ogłaszają triumfalnie tylko wówczas, kiedy chodzi o poglą-

dy, których nie dzielają. Wszystko to ma jednak oplakane skutki.

Mogę się dowiedzieć, co sprawca kupował w Żabce, co myśli o nim złapany na schodach sąsiad. Dociera do nas mnóstwo niepotrzebnych informacji. Jednocześnie sama mam wrażenie, że nie dowiem się tego, czego potrzebuję. Może dlatego wpatruję się w film, w martwe ciało. Chcę poznać prawdę, przerzucam z irytacją masę wywiadów, komentarzy profilerów, czuję nadmiar, a szukam.

– W tym, co mówisz, tkwi pewne niewypowiedziane założenie, a mianowicie – że pełny dostęp do informacji pozwoli ci zrozumieć, co się stało. Nie uważam wcale, że tak jest. Dostęp do całości informacji – abstrahując od tego, że i tak tej „całości” nigdy nie osiągniemy – nie sprawi automatycznie, że dowiemy się, dlaczego ten człowiek popełnił zbrodnię, co nim kierowało, skąd w nim takie skłonności.

To jest trochę współczesny mit, bez mała religijna wiara, że nauka – czy szerzej: ekspercka wiedza – rozjaśni nam wszystkie mroki i rozwiąże największe zagadki. A tym samym da poczucie porządku, bezpieczeństwa i sensu przenikającego świat.

Bezsens, chaos oznacza nieprzewidywalność, a nieprzewidywalność jest podstawowym źródłem lęku. Szukamy więc takich opowieści, które pokazują, że tak naprawdę wszystko jest pod spodem poukładane – a więc, dysponując odpowiednimi środkami, da się to przewidzieć. Ergo – zapobiec nieszczęściom, oddalić zagrożenie.

Stąd właśnie między innymi rosnąca popularność teorii spiskowych. Tymczasem nie da się tego zrobić, a w każdym razie nie całkowicie. Świat ludzkich motywacji, skłonność do zła, zbrodnicze czyny – owszem, mamy na ten temat wiele koncepcji, mniej lub bardziej naukowo uzasadnionych.

Badamy to od lat, z każdej strony, ale tak naprawdę nie jesteśmy przecież w stanie wskazać żadnej jednoznacznej prawidłowości, żadnego oczywistego, pojedynczego czynnika, który z człowieka robi mordercę.

Pokazuje to świetnie serial „Dojrzewanie”. Jest tam mnóstwo okoliczności sprzyjających, ale nie ma algorytmu na radykalizację i agresję. Rodzina tego chłopca jest generalnie zwyczajna, jego rówieśnicy żyją w podobnych, a często gorszych domach, stykają się z równie toksycznymi ideologiami, w internecie siedzą wszyscy i ma to na nich negatywny wpływ, ale... to tylko on zabija. Dlaczego? No właśnie, nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

Paradoksalnie, uznając obszar niewiedzy, powiększamy naszą wiedzę o takich sprawach. Dlatego absolutnie się z tobą zgadzam, że potrzebujemy odpowiedzialnej, przemyślanej, opartej na faktach opowieści o takich zdarzeniach, o takich ludziach.

To jest, powtórzę, zadanie dla reporterów, pisarzy, psychologów, psychiatrów, filozofów, dla tych, którzy mają narzędzia umożliwiające lepsze rozumienie takich zjawisk. Tylko, znowu, na to trzeba czasu. Dystansu od szumu medialnego, zakrzywień poznawczych i emocji. Potrzeba nam więc jak najwięcej cierpliwości, ostrożności i uważności.

Przylapałeś mnie na założeniu, które rzeczywiście mam, im bliżej będę stać, im więcej zobaczę, tym większe są szanse, że zrozumiem, co się stało. I będę mogła przywrócić na swój własny użytek ład.

– To jest akurat zdecydowanie odruchowa skłonność.

Może sama chcę zobaczyć, aby pozbyć się nadmiaru ekspertów, którzy ko-rzystalają z szybkich wywiadów, tworzą szybkie opinie. Nie mogę im już ufać, więc chcę zobaczyć na własne oczy.

– Dochodzi tutaj do specyficznego za-pętlenia. Kiedy dzieje się coś strasznego, rozbijającego nasze poczucie bezpieczeństwa, natychmiast zaczynamy szukać jakiegoś wyjaśnienia. Opowieści, która z chaosu wyłoni sensowny porządek i przywróci nam w ten sposób śladowe choćby wrażenie sprawstwa.

Media i platformy społecznościowe odpowiadają oczywiście na tę potrzebę, zyskując w ten sposób oglądalność, po-czytność i klikalność. Zarazem sama architektura sfery informacyjnej – jej per-manentna wszechobecność w każdym smartfonie – wymusza nadprodukcję takich treści.

Po prostu na portalach, w naszych fe-edach, w telewizji nadającej całą dobę nie może być nigdy zbyt długich pustych przebiegów. Algorytmy wybierają te tre-sci, które najmocniej na nas oddziałują i najdłużej zakotwiczą naszą uwagę.

Stajemy się więc coraz bardziej zlak-nieni takich bodźców i dostajemy ich co-raz więcej, popadamy w rosnące roze-drganie i rozproszenie, emocje zaczynają totalnie dominować, wyłącza się krytycz-ne myślenie.

A jednocześnie obojętniejemy pod wpływem tego zalewu, trzeba nam za-tem coraz intensywniejszych, coraz bar-dziej emocjonujących treści, żeby się po-budzić. Generalnie jest to proces bardzo niebezpieczny, zarówno jednostkowo, jak i społecznie.

Zazwyczaj twarze morderców są zupełnie zwyczajne, nie da się z nich nic wyczytać

Demoralizujący.

– Na wielu poziomach. W sprawie, o której rozmawiamy, poza okropieństwem zbrod-ni, najstraszniejsze wydaje mi się rozsie-wanie tych materiałów pokazujących oka-leczone zwłoki. Czy ludzie udostępniają-cy coś takiego pomyśleli w ogóle, jak mogą poczuć się bliscy, dzieci ofiary, jeśli na coś takiego się natkną?

Jak można się nad tym nie zastanowić? Widzę właśnie, że na prośbę rodziny pro-kuratura utajniła treść protokołu sekcji zwłok, rodzina prosi także, żeby media nie uczestniczyły w pogrzebie. Myślę, że wszy-scy powinniśmy uszanować ich prywat-ność. Rozmawiać o tym, co się stało, ow-szem. Ale tak, żeby wynikało z tego coś konstruktywnego, nie zaś w wyłącznym celu zaspokojenia jakichś swoich psycho-logicznych potrzeb.

Jak sądzisz, kto powinien się zająć tworzeniem narracji, która ujawniałaby to, co jest społecznie potrzebne, i wzięła odpowiedzialność? Jakaś instytucja czy media?

– To rola odpowiedzialnych i podmioto-wych mediów, które kierują się etosem i misją, a nie wyłącznie zyskiem. Widać dziś bardzo wyraźnie, jak oplakane konse-kwencje miało zniszczenie, a w każdym ra-zie poważne osłabienie profesjonalnych mediów – niezależnych finansowo, auto-nomicznych, z kompetentnymi zespołami, podziałem zadań, możliwością długotrwa-łej pracy nad tematami, które tego wyma-gają.

Tak jak powiedziałem wcześniej – opo-wiadaniem o takich zdarzeniach muszą zajmować się ludzie, którzy mają do tego kompetencje i czas. Z pewnością jest to za-danie dla reporterów. Na świecie ukazu-je się mnóstwo ważnych książek o rozma-itych tragediach czy aferach – i mają one

wielką wartość edukacyjną. Czytałaś „Im-perium bólu” Patricka Radena Keefe’a?

Nie czytałam.

– To jest znakomita, świetnie udokumento-wana i przemyślana książka, która opisuje historię i mechanizmy kryzysu opioidowe-go w USA. Podobnych książek – o zbrod-niarzach, wojnach, złu w najrozmaitszej postaci – ukazało się mnóstwo. Mnóstwo jest również prac naukowych, tekstów fi-lozoficznych, psychoanalitycznych, teolo-gicznych i innych. Warto po nie sięgać. Po-dobnie – po literaturę piękną.

Wielkie powieści – zwłaszcza klasy-ka – to przecież jest wybitna psychologia i metafizyka. Literatura piękna to w ogó-le chyba jedyna znana metoda wnikania w umysł innego, pozyskiwania dostępu do tego, jak ktoś inny myśli, jakie w nim za-chodzą procesy mentalne, co go kształtuje, motywuje, jak przeżywa rzeczywistość.

Poza tym na pewno potrzebujemy wie-lu systemowych zmian, związanych z po-lityką bezpieczeństwa i nie tylko. Rów-nież – edukacji do zachowania w sytu-acjach kryzysowych.

Zastanawiam się, dlaczego ludzie nagrywali film z miejsca zbrodni, a nie dzwonili na policję? Może to karkołomne porównanie, ale kiedyś byłam świadkiem wypadku na Dwor-cu Centralnym, jeden człowiek robił drugiemu masaż serca, wystraszyłam

się, że muszę zadzwonić na pogotowie. Ale nie umiałam przypomnieć sobie numeru alarmowego, pomyślałam, że nie umiem wytłumaczyć, w którym miejscu dworca jestem.

Okazało się, że już ktoś zadzwonił, więc mogłam odejść. Ale wracałam, krążyłam. Pamiętam uczucie, że jako świadek nie mogę odejść, nie mogę opuścić miejsca ani człowieka. Może nagrywający czuli coś podobnego?

– Być może. Nie mam zresztą jasności, jak to wszystko właściwie wyglądało, krąży wiele różnych wersji, a w portalach spo-lecznościowych tradycyjnie trwa przerzu-canie się odpowiedzialnością. Generalnie jednak, powtórzę, potrzebna nam jest – już na poziomie szkoły podstawowej – solid-na, obowiązkowa edukacja dotycząca roz-maitych sytuacji kryzysowych. Objęmują-ca także naukę rozumienia własnych reak-cji i zakrzywień poznawczych.

Ale potrzebna jest nam także – myślę – edukacja moralna. Odwołująca się do takich na przykład pojęć, jak odpowiedzial-ność czy obowiązek. Mam obowiązek re-agować w takich sytuacjach, to jest moja odpowiedzialność. Oczywiście reakcja mu-si być adekwatna do tego, co się dzieje, do moich możliwości, mojego własnego bez-pieczeństwa i tak dalej.

Gdybyś miał na chwilę wejść w buty świadka, który nagrywa....

– Może uznasz to za wymknienie się od od-powiedzi, ale uważam, że to nie ma zna-czenia. Musimy przestać myśleć jedynie w psychologicznych kategoriach. Jeśli ktoś nagrywa, zamiast wzywać policję, a na-stępnie wrzuca to nagranie do sieci – po prostu postępuje nagannie.

I nie ma żadnego znaczenia, jak się przy tym czuje. Oczywiście jeśli wezwie policję,

a dopiero potem zacznie dokumentować to, co się dzieje, następnie zaś przekaże te nagrania odpowiednim instytucjom, nie zaś rzuci je na żer w internecie – wszystko jest jak najbardziej w porządku.

Panikujemy, stając w obliczu zła. Na samą myśl, że to wydarzyło się blisko domu. O 18.40 smażyłam córce naleśniki, tymczasem dwie dzielnice dalej ktoś przekraczał granice człowieczeństwa. Może więc wpatruję się w zło, aby obniżyć jego realność.

– Na pewno. Zamieniamy grozę zbrodni, na podstawie której wyobraźnia natych-miast podpowiada nam najstraszniejsze scenariusze, na konkret: film, mem, mo-mentalne wytłumaczenie, napiętnowanie politycznych przeciwników. I w ten spo-sób jakoś odzyskujemy poczucie spraw-stwa.

Tymczasem takie wydarzenia konfron-tują nas ze światem, który wymyka się ro-zumieniu. To jest doprawdy trudne do zniesienia, że na jakimś poziomie ludzie i świat są dla nas nieprzeniknieni, a z tego nieprzeniknienia często rodzi się przemoc czy tragedia.

Potrzeby, o których mówisz, są, znowu, naturalne. Ale myślę, że trzeba do nich podchodzić z dużą ostrożnością. W takich przypadkach powinniśmy raczej dążyć do uspokojenia niż nakręcania paniki, ra-czej do rozmowy z bliskimi, udzielenia po-mocy tym, którzy jej potrzebują – czasami zwrócenia się o pomoc – wsparcia od bli-skich i dla nich, niż do nasycania się kolej-nymi, kleconymi na poczekaniu teoriami i gorącymi newsami.

Gdzie ty się zwracasz, kiedy obcujesz ze złem. Czego używasz, aby to przetrwać?

– Sięgam tam, gdzie przed chwilą powie-działem. Oczywiście także do filozofii czy literatury.

Też sięgnęłam po literaturę. Wymieni-my się tytułami?

– Jasne. „Zbrodnia i kara”, „Bracia Kara-mazow”, „Notatki z podziemia” Dostojew-skiego; „Obcy” Camusa; „Jądro ciemno-ści” Conrada”; „Frankenstein” Mary Shel-ley; „Doktor Faustus” Manna; „Na pastwę płomieni” i „Wybór Zofii” Williama Styro-na; „Utalentowany pan Ripley” Patricii Hi-ghsmith. To pierwsze z brzegu, które przy-chodzą mi do głowy.

Ja sięgnęłam po Jamesa Baldwina „Następnym razem pożar”, zbiór esejów, który jest bardzo precyzyjny w opisywa-niu zła wyrzadanego przez ludzi innym ludziom. Ale pojawia się równie jaskra-we antidotum w możliwości pokocha-nia drugiego człowieka.

– Podzielał admirację dla tego autora.

Trochę wstydzę się do tego przyznać, ale przychodzi mi do głowy myśl, że na-leży mi się zobaczenie twarzy morder-cy. Aby dostrzec absolutnie wszystko, co jest do dostrzeżenia.

– Ja z kolei zupełnie nie mam takiej po-trzeby. Zresztą zdjęcia krążą przecież po sieci. Dla mnie w tej twarzy nie ma nic szczególnego, niczym nie różni się ona od innych twarzy. Zazwyczaj zresztą twa-rze morderców są zupełnie zwyczajne, nie da się z nich nic wyczytać. Bardzo byśmy oczywiście chcieli, żeby istniały tu jakieś znaki, jakieś niezwykłości.

Claude Lanzmann, reżyser „Shoah”, dziewięciogodzinnego dokumental-nego filmu o Holocauście, nie zgadzał się z Arendt, uważał z kolei, że w Eich-mannie nie ma nic banalnego i nic przeciętnego. Uważał, że był demonem, skorumpowanym gangsterem, a nie przeciętnym urzędnikiem. W pewnym dialektycznym sensie i jedno drugie wydaje się prawdą.

– Zgoda. Ale wzór na zło i tak nie istnieje. Musimy więc być uważni i czujni nawet na drobne, z pozoru nieznaczące sygnały. ●

REJESTR PACJENTÓW AGRESYWNYCH



FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Doktor Anna Hołownia z Olsztyna mówi, że często pacjenci oczekują innej diagnozy niż postawiona. Kiedy sobie z nią nie radzą, to lekarz staje obiektem słownej agresji

Pacjent oczekujący na pomoc to jest najmniej empatyczne stworzenie na świecie.

Iwona Görke

Anna Hołownia, specjalistka chorób wewnętrznych i hematolożka, nie owija w bawelnę. – Agresja wśród pacjentów? To raczej reguła niż wyjątek – mówi lekarka z 12-letnim stażem. Pracuje w dwóch olsztyńskich przychodniach – publicznej oraz prywatnej. Z pracy w szpitalu zrezygnowała. Zdażyło jej się wziąć dyżur na szpitalnym oddziale ratunkowym czy w nocnej pomocy lekarskiej, ale nie czuła się tam bezpiecznie. Za każdym razem czuła zagrożenie, bo trafiają tam często osoby pod wpływem substancji psychotropowych, mocno pobudzone, zaburzone psychicznie.

Podczas rezydentury, gdy pracowała w nocnej pomocy, często się zdarzało, że do jej gabinetu wpadał inny pacjent rozwścieczony czekaniem. – Badałam pacjenta, nierzadko były to osoby rozebrane, a ktoś otwiera drzwi i krzyczy na mnie niezadowolony, bo musi czekać. I na tę roze-

braną osobę patrzę on i cała poczekalnia – wspomina.

Złość czy rozczarowanie okazują nie tylko pacjenci, ale i ich rodziny. Zwłaszcza gdy postawiona diagnoza nie jest tą, której oczekiwali. Tak jest, gdy usłyszą, że chorują na nowotwór, którego leczenie będzie długie i bardzo obciążające. A rokowania są słabe.

– Nie radzą sobie wtedy – tłumaczy lekarka, ale zaraz się poprawia: – Albo inaczej: ich sposobem na poradzenie sobie z sytuacją jest słowna agresja wymierzona w lekarza – precyzuje.

– Najgorsza jest agresja wynikająca z niespełnienia oczekiwań pacjenta. Bo on przyszedł z oczekiwaniami wobec lekarza, wyobraził sobie, że od razu, już na pierwszej wizycie, zlecę mu cały panel badań, tymczasem ja po badaniu lekarskim postawiłam diagnozę. Wiem, jak mu pomóc, ale nie trafilam w jego wyobrażenia. Taki pacjent nie da sobie nic wytłumaczyć. Unosi się, wyzywa. Używa koronnego argumentu: płacę składki na panią – opowiada lekarka.

Przepracowane lata i doświadczenie nie stępiły emocji Anny Hołowni. Każda z takich potyczek z pacjentami kończy się podobnie: lekarka ma ochotę zrezygnować z pracy w ochronie zdrowia. – Jaki sens ma poświęcanie się dla ludzi, którzy wyladują się na nas, nie szanują nas i naszej pracy? – pyta.

Lekarz jak nauczyciel – bez szacunku

Zmianę stosunku pacjentów do lekarzy łączy z utratą zaufania, które nastąpiło w ciągu ostatnich kilkunastu lat. – Tak jak i w przypadku nauczycieli – dodaje. – Polscy politycy, gdy z jakąś grupą zawodową mają problem, napuszczają na nią społeczeństwo. Przekonują, że ona, co w ostatnich latach dotknęło na przykład zarówno lekarzy, jak i nauczycieli, wcale nie jest przepracowana, niedoinwestowana, wcale nie ma za dużych klas, za mało nauczycieli czy lekarzy. Mówią ludziom, jak bardzo ta tak problematyczna dla nich grupa jest zła, pokazują, jak ona dużo ma, a jaka jest niewdzięczna. A ludzie baranami pędem idą z taką retoryką – mówi.

Hołownia zwraca też uwagę na zwiększenie się świadomości wśród pacjentów dotyczącej ich praw oraz obowiązków lekarza. Chodzi o oczekiwania chorych i ich rodzin. One często wynikają z tego, co ludzie przeczytają w internecie.

– Ale wiedza, którą w ten sposób zdobywają, często jest bardzo powierzchowna, a zdarza się, że ma niewiele wspólnego z nauką, rzetelnymi badaniami. Świetnym przykładem jest ruch antyszczepionkowców. Ludzie wierzą tym, którzy potrafią swoje argumenty i wizję rzeczywistości dobrze sprzedać. A o nas, lekarzach, myślą, że chcemy ich oszukać, zarobić na nich jakieś pieniądze, wepchnąć leki, bo

współpracujemy z firmami farmaceutycznymi – mówi Anna.

Jej pacjenci czasami przyznają się do nieprzyjmowania przepisanych przez nią leków. Dlaczego? – Bo przeczytali o działaniach niepożądanych lub jakieś anonimowe wpisy w internecie o szkodliwym działaniu danego leku. Zamiast tego lykali suplementy zachwalane przez internetowych znachorów – opowiada lekarka.

Bywało, że pacjenci hematologiczni, stanowiący przecież grupę najwyższego ryzyka, przypomina Anna, nie chcieli się szczepić na COVID-19. Zmusić nikogo nie mogła. Sama się szczepiła. W trosce o pacjentów.

Nie lubi dawać pacjentom leków. Stara się im tłumaczyć, że większość chorób można wyleczyć stylem życia. – Jak tak mówię, że w życiu potrzebna jest konkretna zmiana, i mówię o tym, jak do niej podejść krok po kroku, to słyszę od pacjenta: wolę leki. Bo on chce natychmiastowych efektów, nie chce się starać, włożyć pracę w to, by zmienić swoje życie – ubolewa Hołownia.

Zmiana stylu życia najczęściej obejmuje wprowadzenie odpowiedniej diety, rezygnację z palenia papierosów i picia alkoholu.

– Pacjenci są mistrzami w wynajdywaniu wymówek, by zrationalizować swoją niechęć do zmiany stylu życia. Opowiadają o palącym 99-letnim sąsiedzie

i o tym, w jakim dobrym on jest zdrowiu. Wyjątki traktują jak regułę. I nadal mimo kolejnego zawału czy udaru nie rzucają palenia.

Wspomina o ankiecie, na której wyniki kiedyś trafiła. Dla respondentów najważniejsze było to, czy na wizytę u specjalisty nie musieli czekać. To znajdowało się wyżej niż kompetencje lekarza czy trafność postawionej diagnozy – dziwi się Anna.

Lekarka rozumie, że czekanie może frustrować, ale nie powinno wyzwać agresji. A wyzwala. Wyładowywana jest, częściej nawet niż na lekarzach, na pielęgniarkach. – Osobach, które w tej medycznej hierarchii są niżej – precyzuje Holownia.

Wiele razy przez drzwi gabinetu, w którym przyjmuje, słyszała pacjenta krzyczącego na pielęgniarkę. Za co? Za to, że jakiegoś lekarza nie ma. Niejednokrotnie interweniowała.

Ona oraz jej koledzy nierzadko bronią siebie nawzajem przed słowną agresją pacjentów. Nie zdarzyło jej się jednak, by trzeba było wzywać ochronę czy wyprowadzić delikwenta.

Czas, który lekarz musi poświęcić na utarczki z „klientem awanturującym się”, jest czasem bardzo cennym. Zamiast spierać się z takim pacjentem, lekarz mógłby przyjąć kolejnego.

– Nie pomyślą również o tym, że po takiej nieprzyjemnej wymianie zdań muszą iść do kolejnego pacjenta, podejmować trudne decyzje obarczone ryzykiem. A przecież te sytuacje zostają w człowieku. Stresują. A w stresie nietrudno o błąd – mówi.

Samosąd na lekarzu na propsie

O zabójstwie krakowskiego lekarza Anna mówi: do tego musiało kiedyś dojść. Bo przecież zdarzają się pobicia. Ta dramatyczna sytuacja była niestety tylko kwestią czasu.

Holownię najbardziej przerażały komentarze pod artykułami przyklaskujące mordercy: – Ludzie się cieszyli, pisali, że w końcu ktoś wymierzył sprawiedliwość. Lekarz dostał najwyższą karę za to, że pacjent był niezadowolony, jak podają media, z przebiegu leczenia, czyli de facto z obsługi.

Holownię zasmuca znieczulica rodaków. Dziwi ją ich krótkowzroczność. – Większość Polaków wykonuje jakieś usługi. Każdy z nas może być niezadowolony z usługi. Kosmetyczka może zrobić paznokcie nie takie, jak sobie wymarzyła pani, fryzjer nie tak zafarbować i ściąć włosy. Czy to znaczy, że mogą taką osobę zabić? Jeżeli będziemy przyklaskiwać takim zachowaniom jak to w Krakowie, to nikt z nas nie może się czuć bezpiecznie.

– Konsekwencje złe ufarbowanych włosów a błędu lekarskiego czy nietrafionej diagnozy to jednak nie to samo – zwracam uwagę.

– Oczywiście. Jest między tym ogromna różnica, nie można tego porównywać. Tylko że w przypadku zamordowanego doktora Tomasza Soleckiego, jak wynika z medialnych doniesień, nie chodziło o błąd medyczny czy narażanie zdrowia, tylko o niezaspokojenie oczekiwań i wyobrażeń pacjenta.

Anna Holownia nie wie, jak chronić się przed agresją pacjentów. Jeżeli nie będzie czuła się bezpiecznie, a sens pracy zostanie przysłonięty przez agresję i chamstwo, gotowa jest – i nie ona jedna – zrezygnować z leczenia. Medycy, zapewniam, bez problemu znajdą inną pracę.

– Jesteśmy świetnie wykształceni, a przebranzowienie nie będzie stanowiło problemu – zapewniam. Lekarka mogłaby np. poświęcić się pracy naukowej lub prowadzeniu badań klinicznych.

„Dziwka bez szkoły”

Aleksandra Panicz nie boi się agresji słownej. – Już się do niej przyzwyczailam – przyznaje.

Dziwię się temu. Dopytuję.

– Jak by to powiedzieć – zastanawia się lekarka – Te 10 lat temu, i ten czas jest tu ważny, bo jeszcze nie tak dawno pacjenci zasadniczo nie byli aż tak roszczeniowi jak obecnie, podczas odbywania rezydentury w szczecińskiej Klinice Nefrologii, Transplantologii i Chorób Wewnętrznych, gdy do mnie lub do któregoś z lekarzy pacjent powiedział, przepraszam za cytat, spierdalaj, to opowiadaliśmy to sobie z zaskoczeniem i niedowierzaniem.

Na to wspomnienie, kiedy zaskakiwało ją pojedyncze przekleństwo wypowiedziane przez pacjenta, dziś może się tylko gorzko uśmiechnąć.

Obecnie pracuje na szpitalnym oddziale ratunkowym Wojewódzkiego Szpitala w Koninie. Wyzwiska są w zasadzie na porządku dziennym. Zachowania agresywne często wykazują osoby znajdujące się pod wpływem alkoholu. Ale niestety nie tylko one. Aleksandra słyszy, że jest „dziwką bez szkoły” albo że ma „zapiardalać, jak na służbę przystało, bo na was płacę”. Nie ma dnia, by nie były podważane jej kompetencje. Zdarzają się i groźby. Ale, mówi, może „tylko” z dziesięć razy czuła się zagrożona. Trzy razy poważnie.

Matki w poczekalni pokłóciły się o to, który z ich 20-letnich synów jest głupszy. To, co potem działo się na SOR-ze, było regularną nawalanką

Pierwszy raz we wspomnianej już klinice, gdy od ponaddwumetrowego pijanego mężczyzny usłyszała, że jej wpierdoli. Pacjent wstał z kozetki, zbliżał się do niej, a ona cofała się przed nim. Nagle między Aleksandrą a nim stanęła filigranowa pielęgniarka.

– Powiedziała do niego coś w stylu: „No co, no co, na młodą się będziesz rzucać? SIADAJ!” – i ten posłuchał! – lekarka nie kryje zdziwienia.

Drugi raz miał już miejsce na SOR-ze. Aleksandra badała leżącego pacjenta, a ten – mimo jej prób – dotykał jej i nie wykonywał poleceń. Zniecierpliwiona sytuacją lekko podniosła głos i powiedziała do niego stanowczo: „Proszę mnie słuchać. Czy pan mnie rozumie?”.

To pytanie musiało rozwścieczyć mężczyznę, bo błyskawicznie zeskoczył z kozetki. – Krzyczał do mnie: „Myślisz, kurwo, że jestem głupi?!” , próbował mnie uderzyć – relacjonuje. Lekarce pomógł przebywający na oddziale ratownik medyczny. Unieruchomił pacjenta, przyciskając do kozetki. Wypersadował mu dalsze ataki na panią doktor.

W trzecim przypadku bardziej niż o siebie bała się o pacjenta. O tym, że i jej mogło coś się stać, pomyślała dopiero po fakcie, gdy podczas reszty dyżuru żona jednego z agresorów wskazała mężowi na nią palcem, mówiąc: „Patrz, to ta, przez którą masz teraz kłopoty”. Ale po kolei.

Krwawa awantura na SOR-ze

– Trwały dni naszego miasta – zaczyna opowieść Aleksandra Panicz. Podczas imprez masowych liczba interwencji medycznych wzrasta. – Między innymi dlatego, że dużo osób jest pijanych – tłumaczy.

W pewnym momencie zauważyła pacjentów wybiegających z SOR-u. Ktoś krzyczał, że ludzie się biją. Poszła zobaczyć, co się dzieje. Na korytarzu zostało niewiele

osób, ci, co zostali, kręcili telefonami zajęcie, personel medyczny, część ratowników i pielęgniarek, chował się za drzwiami. W bójce uczestniczyło siedem osób.

Powstały dwie drużyny, jak się później okazało, były to rodziny. – Matki rzekomo pokłóciły się o to, który z ich 20-letnich synów jest głupszy. Obaj młodzi mężczyźni byli pacjentami oczekującymi na zaopatrzenie urazu. Każda z matek wezwała posiłki. Jedna swojego brata, druga starszego syna i męża – wylicza lekarka.

Można by się spodziewać, że jedną z głównych ról tego zajścia grał alkohol. Ale nie. Aleksandra doskonale pamięta, że część z osób była trzeźwa.

– To, co działo się na SOR-ze, było regularną nawalanką – wspomina. Kobieta wzywała do opamiętania się. Na próżno. – Mieli obłęd w oczach.

Opowiada: – W pewnym momencie jeden mężczyzna powalił innego na ziemię. Zalał mu uchwyt na szyję. Przyduszał go. Ten duszący, napastnik, zawołał: „Tata, dawaj!”. I ten rzeczony tata, okazał się rozmiarów zresztą, z rozbiegu kopnął w głowę leżącego. Wystraszyłam się, że go zabije. Dopadłam do tego ojca, zaczęłam

łó. Zaprzeczyła, bo jednak ten rosył tata w ostatniej chwili się opamiętał.

– Policjant zapytał wtedy, czy na pewno chce zgłaszać, skoro przecież nic mi się nie stało. Chciałam. Przewróciłam oczami i kazał czekać na referenta. Ten przyjął zgłoszenie i w przeciwieństwie do tamtego policjanta nie dał mi odczuć, że stwarzam problem. No i powiedział, że możliwe, iż moje zeznanie będzie podstawą, by te osoby oskarżyć o napaść, a nie o bójkę.

Lekarka w ubiegłym roku dostała zawiadomienie z prokuratury o wszczęciu sprawy przeciwko „tacie”. Na żadne przesłuchanie nie została wezwana.

Aleksandra w celu złożenia zawiadomienia na policję chciała poznać personał uczestników korytarzowej chryi, ale ci nie chcieli ich podać, powołując się na RO-DO. Natomiast agresorzy nie mieli problemu z poznaniem imienia i nazwiska lekar-ki. Bez problemu dowiedzieli się, kto dyżuruje na oddziale. Imię i nazwisko wystarczy, by wyszukać pracującego na kontrakcie medyka w bazie danych przedsiębiorców. W nich figurują adresy. Można się bać.

Emeryta nikt się nie wystraszy

Aleksandra Panicz nie boi się chodzić do pracy. Wie, że może być różnie. W szpitalu mają jednego ochroniarza mierzącego 190 cm. On z pewnością może budzić respekt. Pozostali, emeryci czy ci z orzeczeniem o niepełnosprawności, już niekoniecznie.

Słyszała o planie rejestrowania pacjentów agresywnych. Popiera go. – Wydaje mi się, że nikt nie chciałby trafić do takiego rejestru. Każdy lekarz przed tym, gdy zacząłby się takim pacjentem zajmować, wiedziałby, z kim ma do czynienia. Wierzę, że taka ewentualność zadziała na zasadzie wstydu. Pacjent będzie się bardziej pilnować, by nie zostać zaszuladkowany jako ten awanturujący się i agresywny – mówi.

Aleksandra ma w sobie duże pokłady optymizmu oraz empatii. Potrafi zrozumieć awanturujących się pacjentów.

– Na SOR nikt nie trafia dla zabawy czy z nudów – przypomina. Na szpitalnym oddziale ratunkowym można spotkać osoby, mówi, których najważniejszy zasób, jakim jest zdrowie, jest zagrożony. – A to wzywała różne reakcje: strach, złość, agresję słowną czy zniecierpliwienie. Do pewnego momentu jestem w stanie to zrozumieć – zapewniam.

Śmieje się: pacjent oczekujący na pomoc to jest najmniej empatyczne stworzenie na świecie.

Ale rozumie, że takim pacjentem w tym oczekiwaniu i niepewności trudno o przyjęcie szerszej perspektywy.

Pacjent, kontynuuje Aleksandra, widząc, że lekarz zajmuje się czymkolwiek innym niż nim, często uważa – w dużym uproszczeniu – że medyk nie robi nic. Odpoczywa. Pije kawkę. Plotkuje.

Mili pacjenci? Zdarzają się. Są w mniejszości. Jednak, gdy już są, robią Aleksandrę dzień. Takich ludzi jest więcej, gdy ona ma więcej czasu na rozmowę z pacjentem. Lepiej wszystko wytłumaczyć. Zbudować nic porozumienia na linii lekarz – pacjent lub lekarz i rodzina chorego.

Tymczasem często stoi przed wyborem – lepiej wytłumaczyć coś szerszej pacjentowi lub jego rodzinie czy zająć się kolejnym chorym. Wygrywa kolejny pacjent. Oczekującym np. na wypis łatwiej przyjąć, że nie są priorytetem, gdy zobaczą np. przywiezionego ciężko poszkodowanego z wypadku. Widzą, że lekarz ma co robić.

– Ale nie widzą nawet ułamka pracy wykonywanej poza zasięgiem ich wzroku. Wtedy łatwo o niesłuszne domysły – ubolewa lekarka.

– Więcej lekarzy rozwiązałoby problem, ale na nich pieniędzy pewnie nie ma?

– Tu nawet nie chodzi o pieniądze. Nie ma chętnych do pracy na takich oddziałach, skoro wszędzie się mówi, że tu jest trudno, to kto tu będzie chciał pracować? Ja tu jestem i mam nadzieję, że tych sił na SOR-ze starczy mi na jak najdłużej. ●

Auditorium Minimum

Kampus przestał być przestrzenią edukacji i odpowiedzialności. Stał się instytucjonalnym peep-show – miejscem, gdzie można było obejrzeć śmierć bez konsekwencji.



Marcin Matczak

W obliczu śmierci człowiek powinien się wycofać i dać wybrzmieć ciszy. Tak myślałem przez pierwsze dni po tym, jak student mojego wydziału brutalnie zamordował matkę trójki dzieci pracującą w miejscu, które miało być przestrzenią spokojnej refleksji.

Ale potem głos zabrali ci, którzy nawet śmierć muszą przekształcić w ideologiczną amunicję. Tak jak im pasowało, zobaczyli w niej dowód upadku liberalizmu, efekt opresyjnego patriarchy albo systemową porażkę psychiatrii. Ofiara, zamiast być opłakiwana, została użyta, brutalnie przejęta przez grupę, która walczy o swoją sprawę. Czyjeś cierpienie stało się „dowodem” na słuszość czyjejś idei.

I tak ze śmierci zrobiono rytuał łatwej społecznej katharsis: chodzi nie o to, by zrozumieć i naprawić, lecz o to, by się pozornie, symbolicznie oczyścić. „Teraz jesteśmy już bezpieczni, bo wiemy, kto jest winny: oni”.

Na co czekali?

Trudno więc milczeć, zwłaszcza że po bezpardonowym wykorzystaniu tej zbrodni przyszła informacja, że nasz student

przed zabójstwem przez godzinę zachowywał się dziwnie na kampusie. Był widziany, słyszany, ale ignorowany. Jego koledzy wymieniali się na grupach facebookowych informacjami o „gościu, który biega z siekierą”. Na co czekali? Okazało się, że świadek nie jest już gwarancją pomocy, ale obserwatorem spektaklu, którego nikt nie przerwał – jakby czekano na jego kulminację.

A potem wydarzyło się najwstydliwsze. Zamiast działania – rejestrowanie. Zamiast pomocy – podglądanie. Przez okna uczelnianych budynków, przez szyby smartfonów. A jeszcze potem nagrania, na których widać wszystko, studenci naszego uniwersytetu rozsyłali po internecie. Śmierć stała się materiałem, który można zarejestrować, wrzucić na platformę i ocenić.

Auditorium Maximum, przed którą ta zbrodnia się wydarzyła, powinno być miejscem, gdzie wspólnota słucha po to, by zrozumieć. W kulturze klasycznej słuchanie było cnotą, aktem etycznym: uznaniem obecności Innego, gotowością do zmiany, odpowiedzialnością. Auditorium Maximum to więc nie tylko przestrzeń fizyczna, ale też przestrzeń uważności. I dokładnie tam doszło do odwrócenia znaczenia: największe miejsce słuchania stało się miejscem największej bierności. Słuchanie jako akt etyczny zastąpiło oglądanie – niemoralna pasywność widza.

Kampus w tej chwili przestał być przestrzenią edukacji i odpowiedzialności. Stał się instytucjonalnym peep-show – miejscem, gdzie można było obejrzeć śmierć bez konsekwencji. Wystarczyło patrzeć, nagrać, udostępnić. Ale nie działać. Bo podglądacz nie działa – on tylko konsumuje wzrokiem. Patrzeć jest tu nie narzędziem poznania, ale środkiem wyłączenia etyki.

Tego bezwstydne nagrywanie i rozpowszechnianie nagranych treści nie można zbyć milczeniem.

Moralna impotencja

Filozofowie nazywają nas społeczeństwem pornograficznej widzialności. Chodzi nie o erotyzm, lecz o bezpośrednią, brutalną ekspozycję wszystkiego, która nie zostawia miejsca na dystans, refleksję, czułość. W pornografii nie ma intymności – jest tylko eksponowane ciało. W pornografii nie ma relacji – jest tylko konsumpcja. Nie ma też czasu na reakcję – jest natychmiastowe zaspokojenie ciekawości.

Staliśmy się społeczeństwem spektaklu. Realność przekształcamy w obraz, a następnie obraz w przedstawienie, w którym człowiek nie jest już uczestnikiem – jest widzem. A widz nie działa, tylko ogląda to, czego sam w życiu nie doświadcza.

W klasycznym ujęciu oglądanie było pierwszym krokiem do działania: widzę – więc reaguję. Dostrzegam cierpienie – więc pomagam. Obserwuję niesprawiedliwość – więc ją denuncjuję. Ale współczesność odwróciła ten porządek. Oglądanie nie tylko nie prowadzi do działania – ono je zastępuje. Zamiast reagować – udostępniamy. Nie działamy, ale komentujemy. To prowadzi do moralnej impotencji: oglądamy coraz więcej, ale robimy coraz mniej.

Hannah Arendt pisała, że największe zło pochodzi nie od demonów, tylko od ludzi, którzy przestali myśleć. My dodajmy: i od tych, którzy przestali słuchać. Bo tam, gdzie nie ma słuchania, nie ma spotkania. Gdzie nie ma spotkania, nie ma zobowiązania, a gdzie nie ma zobowiązania, może zdarzyć się wszystko.

To, co wydarzyło się tamtego dnia, nie było tylko dramatem jednej ofiary i jednego sprawcy. Było też ujawnieniem naszej zbiorowej kondycji. Przyszłych elit, które patrzą, ale nie widzą. Intelktualistów, którzy wiedzą wszystko, ale nic z tym nie robią, bo

przekształcają moralność w przegląd treści, a cierpienie – w odtwarzalny plik.

I to jest główny powód, dla którego zdecydowałem się napisać ten tekst. Społeczeństwo płaci za studia przyszłym prawnikom, żeby słyszeli i widzieli dalej, szerzej, głębiej i żeby mieli odwagę działać, kiedy tego wymagają okoliczności. Po co to robi, skoro oni, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce, biorą w ręce telefon – nie po to, by wezwać pomoc, ale po to, by rejestrować?

Pensja jak cena telefonu

Czy to nie potwierdza racji tych, którzy nie ufają elitom? W tej sprawie zadziałał nie przyszły intelektualista, ale uniwersytecki strażnik: człowiek, na którego pensję państwołoży pewnie mniej, niż kosztuje wypasiony telefon, którym tę zbrodnię nagrywało. Nie stał i nie rejestrował, ale zaryzykował życie i leży teraz w szpitalu.

Nasze Auditorium Maximum stało się, niestety, miejscem symbolem, w którym nie usłyszeliśmy tego, co powinniśmy byli usłyszeć. Ani krzyku, ani sygnałów ostrzegawczych, które pewnie były – w słowach, spojrzeniach, niepokojących gestach. Nie usłyszeliśmy także sygnałów zagrożenia, kiedy było blisko. Miejsce stworzone do słuchania stało się symbolem radykalnej głuchoty.

Może więc powinniśmy zmienić jego nazwę na Auditorium Minimum: minimum odwagi, minimum odpowiedzialności, minimum działania? Żeby symbolizowało ten straszny moment, kiedy przestaliśmy uważnie słuchać, a zaczęliśmy bezwstydnie oglądać.

Jeśli uczelnia ma wciąż sens, to nie dlatego, że organizuje wykłady, lecz dlatego, że potrafi usłyszeć krzyk, zanim będzie za późno. Jeśli tego nie potrafi – to żadna wiedza nas nie uratuje. ●

Śródtytuły pochodzą od redakcji

Polak – najtrudniejsze słowo

Historia wszelkich wspólnot, także wspólnot narodowych składa się zarówno z faktów, które powodują, że pęczniejemy z dumy, jak i tych, które wywołują w nas zawstydzenie.



Michał Rusinek

Już w pierwszych doniesieniach medialnych o tragedii, jaka wydarzyła się na Uniwersytecie Warszawskim, pojawiła się informacja, że sprawcą bestialskiego czynu był „Polak”, „mężczyzna narodowości polskiej”. Byłem i nadal jestem – jak pewnie my wszyscy – wstrząśnięty samym wydarzeniem, ale w związku z tą błyskawicznie dodaną informacją czuję pewne zakłopotanie.

Przecież to nie jest tak, że najważniejszą cechą sprawcy jest jego narodowość. Jasne, że jego cechy, pochodzenie, przynależność do organizacji, to społeczne, wiek i dziesiątki innych rzeczy trzeba ustalić i przekazać opinii publicznej, ale dlaczego akurat narodowość ustalono jako pierwszą i ja-

ko pierwszą podano do publicznej wiadomości?

Odpowiedź jest oczywista: żeby od razu uciąć domysły, czy aby nie był to obcokrajowiec, Ukraińiec, imigrant, a więc żeby informacja o tej tragedii nie podsyciła nastrojów antyimigranckich i nie wywołała nienawiści na tle etnicznym, a także żeby tej informacji nie dało się wpisać w polityczną narrację. Wiadomo, że w dzisiejszych czasach uściślanie informacji po czasie czy dementowanie fałszywych pogłosków jest szalenie trudne i często nieskuteczne. Określenie nacji sprawcy od razu powoduje – albo raczej powinno powodować – że wszelkie domysły na jej temat zostają zduszone w zarodku, zanim rozrosną się do niebezpiecznych rozmiarów i zostaną wykorzystane na przykład w kampanii wyborczej. Podobnie jest z przekonaniem politycznymi sprawcy, o których też dość szybko się dowiedzieliśmy. Po prawicowej i po lewicowej stronie są przecież politycy, którzy bez skrupułów gotowi byłiby budować własny kapitał polityczny na dowolnej tragedii. Nie wspominając już o rosyjskich trollach i agencjach profesjonalnie zajmujących się wzmacnianiem nastrojów na przykład antyukraińskich w Europie i na świecie, któ-

re zresztą próbowały lansować fałszywą tezę, że sprawca morderstwa na UW był Ukraińcem. Mimo że dosyć szybko podano kolejną informację, że nosił on nie tylko polskie, ale wręcz arcykrajowe imię.

Zdaje więc sobie sprawę, że podanie informacji o jego narodowości było zabiegiem potrzebnym ze względów politycznych. Przy okazji jest to lustrzane odbicie modnych ostatnio w mediach dopowiedzeń do informacji na przykład o katastrofach czy innych tragediach, że „wśród ofiar nie było Polaków”. Teoretycznie mają nas one uspokoić, że jest mała szansa, by ucierpiał w nich ktoś nam bliski (zwłaszcza jeśli nie mamy znajomych obcokrajowców), możemy więc odetchnąć z ulgą; z drugiej jednak – powoduje, że los ofiar mniej nas obchodzi, bo łączą nas z nimi więzy słabsze: jakby dalsze pokrewieństwo. Ciekawe, że nikt nie pisze: „wśród ofiar nie było Europejczyków”, jakby ta kategoria nie była wystarczająco wspólnotowa; bliscy nam są przecież przedstawiciele naszej nacji, a skoro polska wieś zaciszna, polska wieś spokojna, to i my spokojniejsi. Wyobrażam też sobie, niestety, że są tacy, którzy odetchnąwszy ze wspomnianą ulgą, gdy nikogo z „naszych” nie ma wśród ofiar jakiejś

Inną wersją tej samej mantry są informacje, że Polak zdobył jakąś nagrodę, nawet jeśli ową nagrodę zdobył kilkunastoosobowy zespół, w którym był jeden Polak. Taką nagrodą jest z pewnością powodem do radości, a jak ktoś chce, to także i dumy, ale trzeba znać proporcjum, mocum panie. Z jednej strony, cenimy skromność jako cechę, która dobrze świadczy o człowieku, a z drugiej, frazeologia – niestety, polska – podpowiada nam, że skromność jest „fałszywa”, bo to pierwszy przymiotnik który przychodzi nam do głowy w połączeniu ze skromnością. Być może nasza potrzeba akcentowania wszystkiego, co polskie i formułowania informacji o zespołowych osiągnięciach tak, by wydawały się tylko polskimi osiągnięciami, bierze się z naszych kompleksów. I poczucia – albo potrzeby poczucia – wspólnoty przede wszystkim na poziomie narodowym.

Przykre, że informacja o narodowości sprawcy morderstwa na UW musiała się pojawić jako jedna z pierwszych. Ale dobrze, że się pojawiła – z jeszcze jednego powodu. Otóż jeśli wspólnota narodowa jest dla nas tak ważna, że odrychamy z ulgą, gdy nikogo z „naszych” nie ma wśród ofiar jakiejś

katastrofy i czujemy dumę, gdy ktoś z „naszych” coś osiągnie, to powinniśmy też umieć odczuwać wstyd, gdy ktoś z „naszych” dopuści się jakiegos przestępstwa, a nie szukać w nim cech, które by go pozwoliły z naszej wspólnoty wykluczyć. Trzeba przecież umieć odczuwać, przeżywać i racjonalizować także negatywne emocje, jak wstyd. Historia wszelkich wspólnot, także wspólnot narodowych składa się przecież zarówno z faktów, które powodują, że pęczniejemy z dumy, jak i tych, które wywołują w nas zawstydzenie. Nie chodzi o wybór między „polityką godnościową” a „pedagogiką wstydu”. Skoro naprawdę ważna jest dla nas wspólnota, to nie możemy opierać jej na narracji – ocenzonej czy wyidealizowanej, jednoznacznie dobrej (to inni są źli) lub jednoznacznie złej (jesteśmy najgorszym narodem świata), bo tak jest tylko w bajkach. Takie ocenzone narracje są nieodpowiedzialne w wymiarze psychologicznym, bo pozwalają nam przeżywać wyłącznie uczucia skrajne. Ale przede wszystkim są nieodpowiedzialne, bo nie da się z nich wyciągać wniosków na przyszłość, nie można się z nich niczego nauczyć, na przykład podejmowania racjonalnych, obywatelskich działań w chwilach tego wymagających. ●

WYPRZEDAŻ

Zaoszczędź 50%

CH24 Krzesło Wishbone Hans J. Wegner



FSC – certyfikowany dąb olejowany,
naturalny sznurek papierowy
Wcześniej: 4.325 zł Teraz: 2.162,50 zł

BM5568 Leżak z poduszką Børge Mogensen



FSC-certyfikowany tekst nieukończony, Hertiage Papyrus 18006
Wcześniej: 3.851 zł Teraz: 1.925,50 zł

DO
27 MAJA 2025

MG501 Fotel Cuba Morten Gøttler



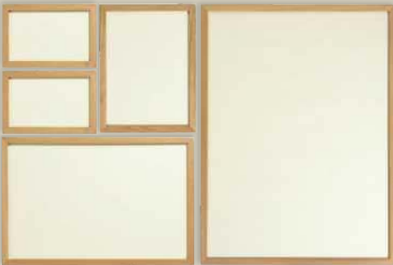
FSC – certyfikowany dąb, emulsja mydlana, taśma bawełniana
Wcześniej: 3.851 zł Teraz: 1.925,50 zł

BM0703 Talerz Drewniany Børge Mogensen



FSC – certyfikowany tekst lub dąb olejowany od Ø19 do 31 cm
Wcześniej: od 106 zł Teraz: od 53 zł

Ramka Kaare Klint



Dąb lub tekst lakierowany, od 20x15 cm do 80x60 cm
Wcześniej: od 234 zł Teraz: od 117 zł

Flagship Store Warsaw
Plac Powstańców Warszawy 9
00-039 Warszawa
warsaw@carlhansen.com

Wtorek – Piątek 10:30-19
Sobota 10 – 16
Niedziela Zamknięte
+48 534 933 920

FSC® C135991


BY APPOINTMENT TO
THE ROYAL DANISH COURT
CARL HANSEN & SØN

Człowiek Roku „Wyborczej”.
Maia Sandu, laureatka
Nagrody Specjalnej

Prezydentka
Mołdawii: Rosja
znalazła nowy sposób
na mieszanie przy
wyborach

*Nic lepszego niż Europa
nie wymyślono*

Z **MAJĄ SANDU**,
PREZYDENTKĄ MOŁDAWII
ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

Mam dojmujące wrażenie, że świat robi się mroczny...

– Też się martwię. Demokracje na całym świecie poddawane są próbie, przechodzą przez bardzo trudny okres. Wojna w Ukrainie trwa czwarty rok.

Kiszyniów, gdzie rozmawiamy, od ukraińskiej granicy dzieli ledwie 70 kilometrów. Niespełna godzina w samochodzie.
– Dzięki oporowi i odporności Ukraińców, dzięki ich heroizmowi możemy czuć się bezpiecznie. To także zasługa wielu krajów, w tym Polski, które wysyłają Ukrainie pomoc, by mogła się bronić. Jesteśmy za to wam bardzo wdzięczni. Ale bezpieczeństwo nieustannie pozostaje naszą troską. Chcemy, by w naszym sąsiedztwie zapanował pokój. Sprawiedliwy pokój.

Widzi pani jakieś szanse?

– Niestety po tym, co robi Moskwa, widać, że Kreml pokoju wcale nie chce.

Putin chce negocjować z Ukraińcami. Ale jednocześnie bombarduje miasta, zabija cywilów, w tym dzieci.
– Rosjanie zabijają niewinnych ludzi każdego dnia. Ich czyny najlepiej mówią za nich.

O czym pani wtedy myślała rankiem 24 lutego 2022 roku, gdy zaczęła się wojna?
– Byłam zaskoczona. Do końca nie wierzyłam, że pełnoskalowa wojna w Europie w naszych czasach jest w ogóle możliwa. O 4 rano w domu włączyłam wiadomości i zobaczyłam rosyjskie czołgi wjeżdżające do Ukrainy. W biurze byłam godzinę później. Słyszeliśmy wybuchy spadających na Ukrainę bomb i rakiet.

Tu, w Kiszyniowie?

– Tak, odgłosy eksplozji w przygranicznych miastach są słyszane w Mołdawii.
Tego samego ranka musieliśmy się zająć napływem uchodźców, bo tysiące ludzi przekroczyły granicę. Nie mieliśmy żadnego doświadczenia, choć przed rosyjską inwazją sprawdzaliśmy – tak na wszelki wypadek – nasze procedury i stan przygotowań. W 2021 roku nasz kraj opuściła misja UN-HCR, agencji ONZ ds. uchodźców. Uznano, że Mołdawii kryzys uchodźczy nie grozi, misja przeniosła się w inne rejony świata.
Wówczas oceniano, że nasz kraj może przyjąć 16 tysięcy uchodźców. A po inwazji przez granicę przechodziło 30 tysięcy ludzi dziennie! Zmobilizował się cały kraj: instytucje państwowe, społeczeństwo obywatelskie, każdy pomagał, jak mógł. Do Mołdawii przybył ponad milion Ukraińców. Jak na 2,5-milionowy kraj to sporo.

Wtedy przewidywano, że Rosjanie zdobędą Kijów w trzy dni. Najlepszy scenariusz zakładał wojnę partyzancką...
– Ukraińcy to niesamowici ludzie. Dzielni, niezwykle dzielni, kochają swój kraj. Gdyby nie mieli tego ducha, tej determinacji, żadne międzynarodowe wsparcie by nie pomogło. Putin nie docenił woli walki Ukraińców, uwierzył w to, co twierdziła jego własna propaganda. I był przekonany, że Zachód będzie się biernie przyglądać temu. Nie sądził, że ruszą dostawy broni i amunicji.
Zresztą on dalej liczy, że demokratyczny świat zmęczy się wojną i przestanie wspierać obrońców. Dlatego nie wolno zapomnieć, że nie chodzi tylko o Ukrainę. Nie chodzi tylko o Mołdawię. Ta wojna dotyczy przestrzegania międzynarodowego porządku, respektowania nienaruszalności granic. Trzeba powstrzymać agresora. Jeśli tego nie zrobi się teraz, spowoduje jeszcze większe tragedie.

Putinowska Rosja zachowuje się jak nigdyś III Rzesza?
– Tak. Chce poszerzać granice, budować imperium, skazać nas, narzucając swój niedemokratyczny reżim.

Rosyjscy żołnierze stacjonują też w Nadmniestrzu, na mołdawskim terytorium, gdzie ochraniają nieuznawane przez nikogo separatystyczne państewko. To duże zagrożenie?

– Oczywiście. Rosja kontroluje ten region, obecność jej wojska jest wykorzystywana przeciwko reszcie naszego kraju. Marionetkowy reżim w Tyraspolu rozumie, jakie ryzyko niesłaby wojna, i nie podejmuje żadnych działań, które mogłyby rozchwiać Mołdawię. Ale Kreml wywiera na reżim sporą presję, by jednak wziął udział w destabilizacji naszego kraju.
Rosja to jedyne państwo na świecie, które nie szanuje neutralności naszego kraju. Autorzy mołdawskiej konstytucji właśnie dlatego zapisali w niej zasadę neutralności, by pozbyć się z naszego terytorium rosyjskich żołnierzy. Ale Rosja nie szanuje suwerenności innych państw.

W 2022 roku widzieliśmy oficjalne mapy, na których zaznaczono cele rosyjskiej inwazji. Mołdawię na nich też ujęto.
– Rosja chce kontrolować Mołdawię, żeby ją wykorzystać przeciwko Ukrainie. Mamy 1,2 tysiąca kilometrów wspólnej granicy. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie szkody poniosłaby Ukraina, gdyby Rosja położyła na moim kraju rękę. Gdy więc walczymy o naszą suwerenność, by Rosji uniemożliwić kontrolowanie Mołdawii, robimy to także dla Ukrainy, by dodatkowo nie utrudniać jej obrony.
Może w innych częściach Europy przestano śledzić tragiczne wydarzenia w Ukra-

W 2012 roku zaproponowano mi, bym została ministrem edukacji. Uznałam, że warto tę ofertę przyjąć, ponieważ dobra edukacja jest kluczowa dla przyszłości mojego kraju. Byłam też gotowa na to wielkie zawodowe wyzwanie. Pracowaliśmy bardzo ciężko, przygotowując bolesne, ale konieczne reformy. Szybko się okazało, że by je wprowadzić, potrzeba politycznego wsparcia. Ale nie ze strony populistów zasiadających w ówczesnym parlamencie, którzy mieli problemy z moralnością, tylko uczciwych ludzi.
W 2015 r. zostałam zdymisjonowana. Byłam w grupie ludzi, którzy uznali, że nie są w stanie zaufać żadnej partii, bo ich przywódcy są nieuczciwi. Mieliśmy do wyboru: wyemigrować, by nie żyć w kraju, w którym na szczytach władzy szaleje korupcja, albo zająć się polityką i robić ją w inny, uczciwy sposób. Brzmiało to szalenie, ale okazało się, że społeczeństwo chce tego drugiego. A ja jako minister, która walczyła z korupcją w edukacji, zebrałam trochę politycznego kapitału i zaufania.

Polityczny kapitał to nie wszystko. By robić politykę, potrzeba też pieniędzy.
– Naszą Partię Akcji i Solidarności zakładaliśmy od zera. Zależało nam, by pokazać Mołdavianom, że polityka może być uczciwa i finansowana w sposób przejrzysty i legalny. Ale musieliśmy najpierw przekonać obywateli, że jeśli chcą transparentności, to muszą się sami zaangażować i wspierać partie małymi datkami.
Na spotkaniach ludzie byli zdziwieni, pytali: chcesz zostać politykiem, a my mamy

W parlamencie na 101 miejsc jest 40 posłanek. Mamy burmistrzynie, sędzie w sądzie konstytucyjnym, ministry, mieliśmy nawet premierkę. Ewidentnie społeczeństwo jest gotowe na kobiety na najwyższych stanowiskach

inie z pełną uwagą. Ale nie u nas. Mamy wojnę za drzwiami, widzimy popełniane u sąsiadów zbrodnie. Na nasze terytorium często spadają rosyjskie drony, co ma znaczenie nie tylko symboliczne – jest realnym zagrożeniem dla życia ludzi. Gospodarka odczuwa poważne problemy. Do tego dochodzą ukraińscy uchodźcy, którzy każdego dnia dzielą z nami swój ból. Wielu straciło z ręki Rosjan krewnych czy przyjaciół.

A w jakiej kondycji jest Rosja? Z jednej strony słychać głosy, że jej gospodarka jest nad przepaścią, z drugiej – że dzięki militarnym zacięciom, wsparciu Chin i zastąpieniu zachodnich towarów zamiennikami z Azji może długo prowadzić wojnę.
– Sankcje przynoszą pewne efekty. Jeśli będą utrzymywane, doprowadzą do bardzo poważnych konsekwencji. Ale niestety mieszkańcy Rosji ciągle nie zareagowali na gwałtowne pogarszanie się warunków życia, nie wyszli na ulice, domagając się przestania wojny. A Kreml zdołał przestać prowadzić gospodarkę na tryb wojenny.

Antywojenne protesty w Rosji, które zachwiałyby władzę, są w ogóle możliwe?
– Patrząc na poziom opresji wobec tych, którzy mają inny światopogląd, niż pozwala linia Kremla, trudno to sobie wyobrazić.

Jest pani jedną z ciągle nielicznych przywódczyń w Europie. Co panią skłoniło, by zając się polityką?
– Nigdy nie marzyłam, by zostać politykiem. Z wykształcenia jestem ekonomistką.

za to płacić? Musieliśmy intensywnie tłumaczyć, o co chodzi. Przez kilka lat pracowaliśmy jako wolontariusze na pełen etat, a datki były skromne. Było ciężko, ale udało się zmienić krajobraz polityczny kraju. Przeciwnicy nie brali nas na poważnie. Gdy zdali sobie sprawę z błędu, było za późno.

Na ile udało się ograniczyć korupcję?
– Ciągle mamy z nią problem. Rządzący krajem są uczciwi, ale wciąż nie udało się nam wystarczająco rozliczyć korupcji z przeszłości, zwłaszcza skandali na wielką skalę w sektorze bankowym i prania pieniędzy. Odpowiedzialnych ciągle nie rozliczono, choć to obiecaliśmy obywatelom. Dlatego dalej reformujemy sądownictwo, bo bez skutecznego i niezależnego pociągnięcia do odpowiedzialności skorumpowanych osób jest niemożliwe. Weryfikujemy sędziów i prokuratorów, by mieć pewność, że system został oczyszczony, wzmacniamy sądy i instytucje. Mam nadzieję, że rezultaty będzie widać wkrótce.
Z tej drogi Mołdawia nie zejdzie, a skorumpowani politycy nie wrócą do władzy, zwłaszcza dlatego, że wielu z nich jest sprzymierzonych z Kremlem, który ich ukrywa i finansuje.

Zachęciła pani Mołdavianki, by angażowały się w politykę?
– One są bardzo zaangażowane. W parlamencie na 101 miejsc posłanek jest 40. To bardzo dobry wynik. Mamy burmistrzynie, sędzie w sądzie konstytucyjnym, ministry, mieliśmy premierkę. W Mołdawii ewidentnie widać, że społeczeństwo jest gotowe na kobiety na najwyższych stanowiskach.

Choć robienie takiej kariery oczywiście nie jest proste, o czym sama się przekonałam. Wystarczy posłuchać kobiet, które stoją na czele naszych miast, jak mają pod górkę. Ale swoją pracą zachęcają inne kobiety, by miały odwagę, by przewodziły.

Patriarchat w Mołdawii się trzyma?
– Trochę tak jest. Mammy do czynienia z mową nienawiści. Cześć duchownych [93 proc. Mołdavian jest prawosławnych] otwarcie atakuje kobiety, które chcą obejmować ważne stanowiska. Ale mimo to widzimy, że ludzie są coraz bardziej otwarci.

Mołdawia, patrząc na wyniki zeszłorocznego referendum w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej, jest głęboko podzielona. Dlaczego tylu ludzi w pani kraju boi się Europy?
– To nie tylko efekt działania rosyjskiej propagandy, która przez lata obwiniała Zachód i UE za wszystkie problemy Mołdawii. I nie jest to tylko strach przed wojną, który Rosja aktywnie podsyca. Według narracji Kremla, jeśli Mołdawianie nie wybiorą polityków przyjaznych Putinowi, Rosja weźmie odwet. Ale stanęliśmy też w obliczu innego poważnego problemu: Rosja znalazła nowy sposób na ingerowanie w nasze wybory - poprzez kupowanie głosów na dużą skalę. Liczba głosów, które udało się kupić podczas referendum, była alarmująco wysoka.
Dlatego nie sądzę, by Mołdawianie obawiali się Europy. Nie sądzę też, by podziwiali Rosję. Niektórzy raczej obawiają się Rosji i stąd uważają, że dążenie do integracji

z Unią Europejską może wywołać konflikt, więc uważają, że należy to opóźnić.

Jak się bronić przed taką rosyjską kampanią?
– Poznajemy rosyjskie strategie, demaskujemy kłamstwa, próbujemy łagodzić społeczne podziały. To nie jest łatwe, bo Rosja w dezinformację inwestuje wielkie zasoby i pod tym względem nie będziemy w stanie jej sprostać. Rosyjską propagandę musimy zwalczać wspólnie: kraje Unii, kandydaci do członkostwa i wszyscy, którzy wierzą w demokrację i nie chcą, by Rosja mieszała się do ich spraw. Powinniśmy się tego uczyć od siebie nawzajem. Pilnie uczyć, bo Rosja sieje strach w społeczeństwie, a potem to wykorzystuje. Używa naszych demokratycznych mechanizmów przeciwko naszym demokratom.

Od lat obserwujemy to w USA, Francji, Niemczech, Polsce...
– A Mołdawia jest o wiele mniejsza, co jeszcze bardziej utrudnia naszą walkę. Rosja próbuje nas przygnieść cyberatakami, fake newsami, destabilizując nasz kraj przez kupowanie głosów w wyborach czy finansowanie antyrządowych protestów. Walka pochłania mnóstwo czasu i zasobów instytucji państwowych.

Na szczęście w tym samym czasie Unia Europejska w Mołdawii buduje drogi. Wspiera nas w obliczu kryzysu energetycznego, pomaga wzmocnić nasze instytucje demokratyczne.
A Rosja nam nigdy w niczym nie pomogła. Robi wszystko, by nas osłabić, by przywrócić Mołdawię do strefy wpływów.

Pierwszy uczciwy prezydent

Ludzie do dziś wspominają, jakim szokiem był polityk, który pokazuje się kilka razy w tym samym ubraniu

Wiktorija Bieliaszyn

Prezydent, za którego nie trzeba się wstydzić”. Tak o Mai Sandu mówili mi kilka miesięcy temu w Kiszyniowie tamtejsi dziennikarze i eksperci lokalnych think tanków.

Dziś to samo słyszę od Galii Ibragimovej, badaczki transformacji państw Europy Wschodniej. „Sandu jest fenomenem dla Mołdawii. To pierwszy uczciwy prezydent w tym kraju”. Ibragimova przytacza anegdotę, której Polak może nie zrozumieć, no bo co w tym wielkiego, ale dla Mołdawian jest wyrazistym symbolem „nowego”.

„Ludzie do dziś wspominają, jakim szokiem było dla nich, że Maia pojawia się w tym samym ubraniu podczas różnych okazji. Nie ma niezliczonej ilości osobnych strojów na każdą okazję. Niby drobnostka, a tak naprawdę sygnał, że to nie dygnitarz w starym, oligarchicznym stylu. Że to nie jest osoba, której zależy tylko na pieniądzu, a która mogłaby się dopuścić korupcji”.

Ale nie tylko to jest w prezydentce nowe i inne. W latach dwutysięcznych Sandu, z wykształcenia ekonomistka, wyjechała do USA. W 2010 roku, po ukończeniu Harvard Institute of Public Administration, została doradczynią dyrektora wykonawczego Banku Światowego w Waszyngtonie.

Pelniła tę funkcję przez dwa lata. I... – to jeden z pierwszych szoków mołdawskich obserwatorów – wróciła do kraju. A tam zaproponowano jej stanowisko ministra edukacji. To wtedy na poważnie zaczęła się jej kariera polityczna, a 40-lletnia wtedy Sandu zdobyte na Zachodzie doświadczenie, przekuła w próby wprowadzania reform w kraju.

Jednym z jej pierwszych ministerialnych posunięć było zastrzeżenie na uczelniach i w szkołach procedur egzaminacyjnych. Do tego stopnia, że w salach, w których zdawali studenci, zainstalowano kamery. Wszystko po to, by zapobiec korupcji. I kolejny tyleż rewolucyjny, co szokujący ruch: w mołdawskich szkołach nauka języka rosyjskiego przestała być obowiązkowa.

W 2016 roku, po czterech latach w ministerstwie edukacji, Sandu została liderką nowej, własnej proeuropejskiej partii Akcja i Solidarność i po raz pierwszy wzięła udział w wyborach prezydenckich. Przegrała, zajmując drugie miejsce.

Nie zniechęciła się. Wręcz przeciwnie. Już trzy lata później została powołana na urząd premiera. Sprawowała go jedynie pół roku, bo parlament uchwalił wotum nieufności dla jej rządu. BBC twierdziło, że choć oficjalnym powodem było niezadowolone z pracy ministrów, to zapewne stała za tym Moskwa, niezadowolona z działań prozachodniej premierki.

Rok później Maia Sandu zwyciężyła w wyborach prezydenckich. Przekonała do siebie Mołdawian obietnicami reformy sądownictwa, wsparcia dla biznesu, podniesienia emerytur i – z Kremla było słyhać zgrzyta nie zębów – zbliżenia Mołdawii do Unii Europejskiej. Oraz, rzecz jasna, walki z korupcją. „Stoimy przed wyborem: pozostawić ludzi samych sobie i na pastwę skorumpowanego systemu – lub zbudować skuteczne państwo, które dba o wszystkich. Będę prezydentem, który zaprowadzi porządek w kraju i będzie pracował nad zapewnieniem sprawiedliwości i dobrobytu każdemu obywatelowi!” – powtarzała.

Takie rytualne zaklęcia o „europejskich standardach” i „pań-



FOT. DANA LE LAROCHE/EUROPEAN UNION

Maia Sandu zreformowała szkoły i uczelnie, ograniczyła korupcję, wyrzuciła rosyjski ze szkół i wprowadza Mołdawię do Unii Europejskiej. Ale młodzi wyborcy nie widzą perspektyw, więc widzi je Putin

stwie dla obywateli” można usłyszeć od każdego polityka w dawnych radzieckich republikach i młodych demokracjach zza Żelaznej Kurtyny, a kończy się, jak się kończy: Nazarbijewem, Vuciem, Borisowem i tak dalej.

Ale nie tym razem. Sandu, na ile mogła, obietnice wypełniała. Ibragimova tłumaczy mi, że to „dzięki Mai” – jej poglądom, staraniom, ale i sznycowi praz umiejętnościom, które nabyła podczas pracy w międzynarodowych organizacjach – Zachód nie

tylko zwrócił na Mołdawię uwagę, ale i zaczął ją wspierać. A nawet postrzegać jako potencjalnego przyszłego partnera: w końcu to w czasie rządów Sandu, w czerwcu 2022 roku, Mołdawia uzyskała status państwa kandydata do Unii Europejskiej. Ibragimova: „Ludzie wiedzą, że jej szerokie kontakty i umiejętność znalezienia wspólnego języka z zachodnimi przywódcami to dla kraju szansa na rozwój i pomoc finansową. To się ceni”.

To jeden z powodów, dla których drugą kampanię prezydencką Sandu w dużej mierze zbudowała wokół integracji europejskiej i generalnie europejskości Mołdawii. Dla prozachodniej części społeczeństwa, czyli głównie wykształconych mieszkańców dużych miast oraz Mołdawian żyjących na emigracji w Europie, to słuszny cel. A Sandu ma szansę go wywalczyć.

Jednocześnie ci sami ludzie – z aprobatą zwraca uwagę Ibragimova – potrafią skrytykować to, że Sandu „częściej błyszczy na międzynarodowych szczytach niż w kraju, gdzie stosunkowo rzadko zwraca się do obywateli”.

Ale Mołdawianie, to nie tylko zorientowani w sytuacji geopolitycznej intelektualści, młodzi i w średnim wieku specjaliści, wykształcona klasa średnia. To też ludzie, którzy albo w ogóle nie interesują się polityką, albo – co gorsza – śledzą ją, ale w przekazach rosyjskiej propagandy. A ta przedstawia Sandu wyłącznie w złym świetle. Zarzuca jej na przykład wszczęcie „energetycznej wojny z Rosją” czy dążenie, by zmusić ludzi do uczestnictwa w „regularnych gejojskich paradach”. To, plus groźby, że Mołdawia podzieli los Ukrainy, skutecznie odstrasza część społeczeństwa.

Dopóki Sandu zapewniała, że chce prowadzić kraj na Zachód, ale jednocześnie rozwijać i utrzymywać dobre stosun-

ki z Moskwą, mogła liczyć na głosy prorosyjskiej i obojętnej części społeczeństwa. Ale po tym, jak świat obiegły doniesienia o zbrodniach rosyjskiej armii w Buczy, kiedy milczeć na temat wojny w Ukrainie dłużej się nie dało i prezydentka została zmuszona do opowiedzenia się po stronie Kijowa, sytuacja nieco się zmieniła. Do tego stopnia, że ostatnie wybory Sandu wygrała w drugiej turze, a i to z trudem.

Nawet jej najwierniejsi zwolennicy przyznawali, że odpowiadają za to nie tylko prorosyjscy obywatele oraz propaganda i manipulacje Kremla.

W trakcie pierwszej kadencji Sandu nie udało się przeprowadzić rewolucji, jakiej oczekiwali obywatele, którzy uwierzyli, że tym razem coś się zmieni na prawdę, poziom życia wreszcie znacząco się poprawi. Bo Mołdawia nadal jest jednym z najbiedniejszych krajów w regionie, ceny nieustannie rosną, dziesiątki tysięcy ludzi każdego roku udaje się na emigrację albo zazdrośnie spogląda na rumuńskich – też przecież nie najbogatszych w Europie – sąsiadów. A młodzi Mołdawianie przyznają, że nie widzą perspektyw w swojej ojczyźnie.

To wszystko sprawia, że perspektywy dla siebie widzi Putin. W Deutsche Welle Witalij Andriejewski, znany analityk z Kiszyniowa, prognozuje, że wrzesniowe wybory parlamentarne dla Sandu i sił prozachodnich będą jeszcze trudniejszym polem bitwy.

Przypadek Gruzji, gdzie prorosyjski rząd, który zdobył władzę, udając europejskich – a do niczego innego Gruzini nie wzdychają tak, jak do Europy – demokratów, wspierany przez rosyjską propagandę straszącą wojną zawrócił kraj z ugrunтованого, wydawałoby się, zachodniego kursu i z powrotem pchnął w uścisk znienawidzonego potężnego sąsiada, daje do myślenia. ●

Przykłady Węgier czy Polski pokazują, że demokracja nie jest dana raz na zawsze. Jak jej bronić?

– Odpowiedź jest jedna. O demokrację trzeba dbać każdego dnia. W Mołdawii demokracja przeżywała lepsze i gorsze czasy. Miewaliśmy rządy, które chciały iść autorytarną ścieżką, ale udało się do tego nie dopuścić. Nie skończyliśmy jak Rosja, która stała się autorytarnym państwem, i będziemy ciężko pracować, by mimo presji ze Wschodu tak się nigdy nie stało. I dlatego chcemy wejść do Unii Europejskiej. W niej łatwiej uchronić naszą demokrację niż poza nią.

Europejscy populiści mówią, że demokracja to słaby system.

– Nie jest doskonały, ale nie ma lepszego. Nie chcemy skończyć w kraju, gdzie ludzi, tak jak w Rosji, zamyka się za to, że krytykowali prezydenta. Cenimy wolność, chcemy chronić prawa człowieka, chcemy decydować sami za siebie. Demokracja nie jest doskonała, podejmowanie decyzji trwa czasem długo. Ale alternatywa jest znacznie gorsza.

USA przez lata wspierały młode demokracje na świecie. Teraz administracja Donalda Trumpa ogranicza pomoc rozwojową. Jak to odbije się na Mołdawii?

– Szanujemy decyzję władz USA o zaprzestaniu finansowania agencji pomocowej USAID, a nasza wdzięczność za wsparcie, jakie dostaliśmy od Ameryki, jest niezmienna. Amerykanie pomagali nam budować drogi i instytucje, rozwijać nasz system edukacyjny. To dzięki nim nasz przemysł winiarski stał się bardziej konkurencyjny i znany na świecie. USA naprawdę miały spory wkład w rozwój Mołdawii. Chcemy utrzymywać dobre relacje.

Czy Unia Europejska powinna zastąpić amerykańskie wsparcie?

– Liczymy na to zwłaszcza w kwestii bezpieczeństwa energetycznego. Mołdawia robi wiele, by zdywersyfikować źródła energii i rozwijać jej produkcję z odnawialnych źródeł. Z USA planowaliśmy pewne projekty w tej dziedzinie. Gdyby Amerykanie zdecydowali, że nie będą ich kontynuować, poprosimy UE o wsparcie naszych energetycznych inwestycji. Unia nam pomaga, a ponie-

waż jako kandydat do członkostwa jesteśmy jej bliżsi, współpraca będzie coraz bardziej intensywna. Chcemy szybko zostać członkiem wspólnoty.

Jak bardzo szybko? Pamiętam czasy, gdy Polska miała podobne ambicje. Negocjacje były żmudne i nie zawsze przyjemne.

– Zdajemy sobie sprawę, że jeśli chodzi o członkostwo, nie ma drogi na skróty. Pracujemy bardzo ciężko, zespoły w ministerstwach są już wyczerpane, ale znajdują siły, by dopiąć sprawy jak najszybciej. Chcemy zakończyć negocjacje do końca kadencji obecnej Komisji Europejskiej, czyli do 2029 roku. Komisja ten cel oficjalnie popiera.

Jesteśmy bardzo wdzięczni Polsce, że jest naszym przyjacielem i pomaga nam na tej drodze. Mieć takiego przyjaciela to wielki przywilej.

Skąd pani bierze nadzieję? I pomysły, jak sobie radzić z ciemnością?

– Przypominam sobie czasy, gdy rzuciliśmy wyzwanie oligarchicznemu reżimowi, który kontrolował całe państwo. Nie było widać żadnego światła na końcu tunelu. Koledzy

pytali, czy warto walczyć, skoro możliwości są niewielkie. Odpowiadałam, że trzeba, bo prędzej czy później pojawi się jakaś szansa, więc trzeba być gotowym, by ją wykorzystać. I tak się stało. Dziś trudno o optymizm, ale wierzę, że dobro zwycięża. Biermy przykład od naszych odważnych i dzielnych przyjaciół z Ukrainy. Najlepszy, jaki mamy.

Jak pani sobie wyobraża Mołdawię za 10 lat?

– Oczywiście w Unii Europejskiej. Kwitnącą, zamożniejszą i silniejszą. Suwerenną.

W Unii są siły polityczne, które twierdzą, że Wspólnota to zagrożenie, że trzeba ją rozmontować albo z niej wyjść.

– Cóż, ludzie łatwo przywykają do życia w dostatku i spodziewają się, że z roku na rok będzie im coraz lepiej. A to tak nie działa. Mnie przekonuje doświadczenie ostatnich 20 lat. To, że żaden kraj Unii nie jest w gorszej sytuacji, niż był przed akcesją. Ale jeśli dla kogoś to za mało, niech spojrzy, ile wysiłku kosztowało dotarcie tam, gdzie Europa jest teraz. I rozejrzy się, jak wygląda życie poza Unią, dookoła niej. ●



Pelzająca III wojna światowa

PIERWSZE STRZAŁY JUŻ PADŁY

Jadąc przez Europę, oglądam „Czarne lustro” i „Gwiezdne wojny”.
Naraz i na żywo, tylko jeszcze nie do końca wiadomo, kto będzie Darthem Vaderem

Ziemowit Szczerek

Wygłąda na to, że spin off słynnego „Black Mirror”, serial „Co do cholery stało się ze światem” vel „Czarne lustro: Rzeczywistość”, zbliża się do finału pierwszego sezonu, czyli rozstrzygnięcia tych wątków, które w ostatnich latach pozawiazywano. Akcja przyspiesza na ostatniej prostej. Profile postaci pierwszo- i drugoplanowych się dopinają. Wszystkie wątki zbiegają do grande finale. Bohaterowie zbierają armie i ustawiają się na pozycjach do finałowego starcia. Jak w „Gwiezdnym wojnach” – X-wingi anty-imperialnych rebeliantów i myśliwce TIE wojsk Imperium wchodzą w tryb bojowy. Piszę to wszystko, siedząc w ogarniętej protestami Serbii, gdzie europejska demokracja w klasycznym wydaniu chyba już przegrała.

Nie, żeby było tę przegraną widać na ulicach, tu wszystko wygląda jak gdyby nigdy nie: kierowcy samochodów wywijają stare bałkańskie sztuczki, pamiętające Titę bloko-

wiska w pięknym brutalistycznym stylu popadają w malownicze zniszczenie, a deweloperzy budują nowe pałace dla nieco bogatszego ludu niż ten, który chciała reprezentować socjalistyczna Jugosławia i który stać dziś co najwyżej na mieszkanie w starym bloku.

Czyli na oko wszystko wygląda podobnie jak wszędzie w Europie Środkowej, pomiędzy Zachodem a Rosją. Ludzie siedzą po knajpach albo snują się po centrach handlowych. Tylko nie ma Unii, więc w knajpach można palić, a supermarkety pootwierane są w niedzielę, trochę więc wygląda Serbia jak powrót do lat 90.

Niech to jednak nikogo nie zmyli: co ma tu działać, to działa. Poza demokracją. Bo demokracja to już wyłącznie fasada: prezydent, rząd, parlament, państwowe instytucje – wszystko teoretycznie istnieje, ale rządzi tym układem wąska grupa polityków, z prezydentem Aleksandrem Vuciciem na czele. I steruje wszystkim ręcznie. I to przeciwko nim i ich brakowi odpowiedzialności za państwo oraz jego instytucje, które przejęły, odbywają się obecne protesty.

Szedłem razem z protestującymi przez cały Belgrad, patrzyłem, jak z okien machają im mieszkańcy stolicy, pozdrawiają ich bu-

dowlancy z rusztowań i trąbią na ich cześć oraz chwalę kierowcy w samochodach, patrzyłem na ten cały entuzjazm i nie mogłem się mu nadziwić. Bo przecież wydawałoby się, że Serbia jest już skazana na autokrację, a Vucicia nie da się ruszyć. Bo ci protestujący, cóż... właściwie nawet nowych wyborów nie mogą się domagać. I się nie domagają. Przecież w wyborach i tak wygrałby Vucić.

Właśnie dlatego, na przykład, że rozsiadł się szerokimi pośladkami na całej scenie politycznej, dlatego że przejął te wszystkie stacje telewizyjne, które odbierać może prowincja – niezależnych jest niewiele i trzeba się na nie wykosztować, bo są dostępne tylko w kablówkach – oraz większość innych mediów, przejął też wszystkie instytucje, więc wybory nie będą uczciwe. Ale gdyby nawet były uczciwe, to Vucić, wykorzystując polityczną inercję większości społeczeństwa i fakt, że ci, którzy pozostają na garnuszku państwa, od emerytów po urzęd-

▲ Od kilku tygodni w Belgradzie trwają protesty przeciwko korupcji i autokratycznemu rządowi prezydenta Aleksandra Vučića (15.03. 2025). Vučić jawnie sympatyzuje też z Putinem, ostatnio w Moskwie świętował rocznicę zakończenia II wojny światowej. FOT. MARTYN AIM/GETTY IMAGES

ników, są od jego „stabilizacji” uzależnieni, i tak je najpewniej wygra.

Ba, protestów nie popiera również nikt w Europie, bo prosty szantaż Vucicia: „Jeśli mnie zabraknie i do władzy dojdzie taki Vojslav Seselj, to dopiero zobaczycie, co to znaczą prorosyjski nacjonalizm” działa i w Brukseli. Dlatego serbski prezydent może robić, co chce. Może podejmować wielkie budowlane projekty bez żadnych zezwoleń i sam na nich zarabiać. A jak nie on, to jego ludzie – bo właściwie żaden większy biznes nie ma w Serbii racji bytu bez namaszczenia prezydenta.

No więc skąd ten entuzjazm? Skąd nadzieja? Jak w ogóle buntować się w świecie, w którym dyktator udający, że nim nie jest, zhakował cały demokratyczny system i nie można go pokonać za pomocą demokratycznych reguł?

No cóż: studenci domagają się „zmiany kultury politycznej”. Przejściowego rządu fachowców – czyli właściwie merytokracji – który doprowadziłby państwo do wyborów w konstytucyjnym terminie, czyli za dwa lata. A więc, liczą wszyscy, odbyłyby się w o wiele bardziej sprzyjających demokracji warunkach, niż gdyby udało się wymusić na Vuciciu ustępstwa dzisiaj. Czyli Serbowie do-

magają się restytucji klasycznej europejskiej demokracji. Tej, którą dziś chcą, gdzie się tylko da, obalić „nieliberalni demokraci”.

– Przecież to wszystko, co Vucić robi, jest tak naprawdę nielegalne – mówi mi jeden z protestujących w Belgradzie. – Przejmowanie państwa, instytucji, te wszystkie przekręty w biznesie. Właściwie to powinna przyjechać policja i Vucica aresztować, zamiaszt ochraniać jego zwolenników, którzy rozbili się w parku pod pałacem prezydenckim. Też zresztą nielegalnie.

Ale nikt nikogo nie aresztuje, bo wiadomo: rządzący Serbią są po innej stronie demokracji niż protestujący. Są po stronie demokracji „nieliberalnej”, ciągniętej w stronę zupełnej fasadowości. Jak w Rosji czy na Białorusi. Bo nie ma co się ludzić – w tę stronę to idzie, mimo że na razie Vucić boi się jeszcze społecznych reakcji i nie wykazuje większej ochoty do rozpędzania protestów po kilku nieudanych próbach zastraszenia. Czyli po zdarzających się atakach zwolenników władz na protestujących. Czy po eksperymentalnym użyciu przeciw nim broni sonicznej, do czego się trochę władze przyznają, a trochę nie przyznają.

Kupę radości może sprawić na przykład obejrzenie na YouTube rozmowy ambasadora Serbii w Wielkiej Brytanii z Yaldą Hakim ze Sky News. Goran Aleksić dopytywany przez dziennikarkę, czy Serbia użyła broni sonicznej przeciwko studentom czy nie, oświadczenia władz są bowiem sprzeczne, wije się jak piskorz i robi z siebie błazna, żeby tylko nie przyznać, że władze pogubiły się w kręceniu na temat tego, co i tak każdy mógł zobaczyć na filmach.

Aleksić – ważny reprezentant Republiki Serbskiej w jednym z najważniejszych krajów świata – na oczach nieco rozbawionej dziennikarki rezygnuje z przywileju posiadania własnego intelektu, który w obliczu oczywistości każe przyznać: „No tak, przekaz władz jest niekonsekwentny”, żeby tylko utrzymać tę dziecinnie głupią szopkę, która w „demokracji nieliberalnej” zastępuje komunikację władzy z narodem, mediami i światem.

– Niech ktoś ich aresztuje – słyszałem na protestach. – Przecież to jest kpina z prawa, obywateli, samego państwa. No ale cóż: autorytarna władza sama siebie nie aresztuje.

Przynajmniej wolna od „demokracji nieliberalnej” jest nadal sąsiednia Bośnia. To znaczy nie cała – bo jej etnicznie serbska część, Republika Serbska, jak najbardziej „demokracją nieliberalną” jest. To ta część Bośni, której przywódcą od lat jest Milorad Dodik, człowiek również oskarżany o wiele naruszeń prawa. I taki, który zbudował wokół siebie podobny układ biznesowo-polityczny jak Viktor Orban i Aleksander Vucić.

Dodika, oczywiście, wspierają inni „demokraci nieliberalni”, czyli właśnie Vucić i Orban, a także „demokrata suwerenny”, jak swój totalitaryzm – bo to już nie jest autokracja – nazywa Władimir Putin, oraz „najbardziej normalny kraj świata”, jak swoje państwo nazywa Aleksander Łukaszenka. Władza Dodika dąży do odłączenia Republiki Serbskiej od Bośni i Hercegowiny, co jest w rozumieniu bośniackiego prawa nielegalne (choć samo w sobie jest nawet zrozumiałe, większość bowiem lokalnych Serbów najnormalniej w świecie nie życzy sobie żyć w Bośni i Hercegowinie), prześladowuje mniejszości narodowe, ręcznie kontroluje policję, urzędy, instytucje, legitymizuje gospodarcze przekręty i robi wszystkie te rzeczy, którymi entuzjastycznie zajmuje się większość „demokracji nieliberalnych”.

A także nie wdraża w życie postanowień władz centralnych. Bo na poziomie federalnym, centralnym właśnie, Bośnia i Hercegowina jest nadal rządzona przez tych, którzy dziś są w populistyczno-nieliberalnym świecie niemodni, czyli „liberalnych demokratów”, „eurokratów” czy jakkolwiek ich zwać. I bośniacki federalny sąd skazał Dodika na rok więzienia i sześć lat zakazu pełnienia funkcji publicznych za utrudnianie wykonania decyzji wysokiego przedstawiciela

wspólnoty międzynarodowej w Bośni i Hercegowinie. Czyli sabotowanie wdrażania postanowień układu w Dayton, który 30 lat temu kończył wojnę w Bośni.

Mało tego, wystawiono za Dodikiem list gończy. Podniósł się oczywiście krzyk, że „decyzja sądu była polityczna” i że „sąd służy władzy”. A krzyczeli głównie ci, którzy sami swoje sądy wzięli pod polityczny but, i to w sposób dość bezczelny i demonstracyjny: Orban i Putin. Putin przyjął Dodika w Moskwie – dokąd mimo listu gończego udał się bez problemów; Bośnia i Hercegowina jest może i krajem demokratycznym, ale – jak widać – mało skutecznym.

Orban natomiast poszedł krok dalej. I nadał się, jak to w porządnym filmie akcji, na coś, czego się nie spodziewał.

Jak bowiem poinformował węgierski portal VSquare, zamierzał wysłać do Bośni z tajną misją specjalną jednostkę antyterrorystyczną, która wyprowadziłaby Dodika na Węgry, gdzie otrzymałby azyl polityczny. Jak zresztą inni, mający problemy z prawem „nieliberalni demokraci”: były premier Macedonii Nikola Gruewski czy polscy politycy PiS, którzy znaleźli schronienie przed prawem właśnie u Orbana prowadzącego, podobnie jak Putin, przytułek dla politycznych sojuszników, którzy musieli uciekać z ojczyzn. Może z dobrego serca, choć prędzej dlatego że, kto wie, kiedy i do czego się przy-

Zaczęła się wstępna wymiana ciosów pomiędzy światem „liberalnej” i „nieliberalnej demokracji”

dadzą. A może nawet ich karta znów się odwróci.

Planom tym jednak sprzeciwili się aktualni najwięksi sojusznicy Orbana – Amerykanie. Nie dość, że się wściekli, to – ku jego zdumieniu – nawet nie próbowali tego ukryć. Marco Rubio, sekretarz stanu Trumpa, publicznie potępił Dodika i zagrmiał, że jego działania „zagrożają bezpieczeństwu i stabilności Bośni i Hercegowiny”, są bowiem „destabilizujące”.

Czasem tak bywa, że zderzą się nawet dwie pędzące w tę samą stronę wyścigówki. Nie wiadomo: może to Orban poczuł się z rozpędu zbyt pewnie: był przecież fetowany i rozpieszczany przez Trumpa, który zrobił z niego europejską maskotkę reklamową „nieliberalnej demokracji”, a nawet, według wielu obserwatorów, wzór, na którym oparł swoją prezydenturę. A być może powodem tego zderzenia była Ameryka, która w pewnych punktach, szczególnie tych, które z perspektywy obecnej administracji nie są zbyt istotne, nadal prowadzi taką politykę jak zawsze. Tak jakby niższych rang trumpiści nie zrozumieli jeszcze, że to nie klei się z ogólnym podejściem ich szefa i jego akolitów względem Rosji.

Chyba że odwrotnie – może właśnie ten niezmienny za Clintona, Busha, Obamy, Trumpa pierwszego i Bidena kurs wskazuje, że aktualna polityka Trumpa wobec Rosji jest tylko chwilowym trendem nastawionym na konkretne zadania.

W każdym razie diabeł, który zawsze tkwi w szczegółach, złapał Orbana za kark i postawił do kąta.

Co ciekawe i wbrew millenarystycznym nastrojom liberalistów krzepiące, na stronę „nieliberalnej demokracji” nie chce przechodzić nie tylko Bośnia. Również Rumunia się do tego nie pali.

Może i granica pomiędzy „nieliberalną” a „liberalną” demokracją i państwem upolitycznionym oraz nieupolitycznionym jest tam ogólnie bardzo nieoczywista. Niemniej Rumunia, zagrożona tym, że jej prezydentem może zostać wylansowany na TikToku, nieznany nikomu szerzej skrajnie prawicowy autorytarysta i populistą podziwiający Putina i rozsiewający idiotyczne teorie spiskowe, postawiła się panującemu pośród europejskich demokratów „imposybilizmowi”.

Bo europejscy demokraci wzdrgają się przed walką za pomocą demokratycznych środków z tymi, którzy tej demokracji otwarcie zagrażają. A w Rumunii Centralna Komisja Wyborcza oraz Trybunał Konstytucyjny wykluczyły Calina Georgescu z prezydenckiego wyścigu.

Rzecz jasna jego zwolennicy wyszli na ulice. Gdyby ci rumuńscy protestujący spojrzeli w oczy protestującym w sąsiedniej Serbii – wyglądałoby jak ze znanego mema, na którym bohaterowie netflixowego serialu jadą w przeciwnych kierunkach, spoglądając na siebie z niedowierzaniem.

Ale nic nie ugrali: Calin Georgescu nie wystartował. Tylko że rumuński establishment też nic nie ugrał, bowiem w pierwszej turze zwyciężył polityk bliski Georgescu, choć nie aż tak skrajny, nie aż tak „spiskowy” i nie aż tak zapatrzony w Putina. Czyli George Simion, lider nacjonalistycznej partii AUR – Sojusz na rzecz Jedności Rumunów.

I w sumie można by się cieszyć, że „w porządku – wygrał nacjonalista, ale w pewnym sensie przewidywalny, w starym, znanym stylu, przynajmniej ostrze ekstremizmu zostało stępione”. Tylko że ów „radkał, ale przynajmniej przewidywalny” zapowiedział, że jeśli wygra również drugą turę, powoła Georgescu na premiera. I teraz pozostaje się jedynie pocieszać, że może to tylko wabik na fanów Calina, no bo po co nowemu prezydentowi na dzień dobry rywal charyzmatyczny i cieszący się może nawet większym poparciem niż on.

A nowa Ameryka tym razem zareagowała przewidywalnie: zagrmiała w obronę „nieliberala”. Decyzję rumuńskich instytucji skrytykowali i wiceprezydent J.D. Vance, i „best buddy” Trumpa Elon Musk. Choć było to w czasie, gdy ów cwany wizjoner co chwilę popierał jakieś skrajne europejskie siły polityczne, trudno więc powiedzieć, czy była to jego szczerza opinia, czy element chwilowego trendu.

Jakby tego było mało, mamy jeszcze z jednej strony aresztowanie – pod zarzutem korupcji i związków z terroryzmem – przez „nieliberalnego demokrate”, prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdogana jego najgroźniejszego przeciwnika, burmistrza Stambułu Ekrema Imamoglu.

A z drugiej – wyrok skazujący za korupcję (konkretnie sprzeniewierzenie funduszy publicznych za sprawą fikcyjnego zatrudniania asystentów europosłów) francuską „nieliberalną demokratkę” Marine Le Pen na więzienie oraz zakaz ubiegania się o funkcje publiczne przez najbliższe pięć lat. Oraz równie zaskakujące uznanie przez niemiecki kontrwywiad partii Alternative für Deutschland za organizację ekstremistyczną. A więc za niekonstytucyjną, co pozwoli na stosowanie wobec polityków i sympa-

tyków AfD środków wywiadowczych. Czyli, na przykład, obserwowanie spotkań czy werbowanie informatorów.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że zaczęła się wstępna wymiana ciosów pomiędzy światem „liberalnej” i „nieliberalnej demokracji” i że to pierwsze strzały odpalone na tej największej aktualnie na świecie linii konfliktu.

Nową mapę świata z jej liniami przyszłego konfliktu narysować jest łatwo. Wystarczy jednym kolorem zamalować kraje „nieliberalnej” czy „suwerennej demokracji”, innym – kraje demokracji tradycyjnej, „liberalnej”, a jeszcze innym – kraje „swingujące”. Niezdecydowane. Choć kwestią dyskusyjną jest, które państwa można do niej zaliczyć – czy do czyśca łapie się Holandia, gdzie altrightowi antyimigrancyjni populiści Geerta Wildersa odkręcają różne europejskie inicjatywy i ograniczają „internacjonalistyczne” współprace, ale nie zabierają się do wolności obywatelskich i nie tykają swobód obyczajowych? A czy USA są już całkiem po stronie „nieliberalnej demokracji” czy jeszcze nie?

Powie ktoś, że polityczne wyroki na przeciwników politycznych to nic nowego. Ot choćby taka Julia Tymoszenko, była premier Ukrainy, uwięziona przez prezydenta Wiktora Janukowycza. No ale Tymoszenko, choć liberalna Europejka, to jako ambitna polityczka dysponująca wielkimi pieniędzmi zarobionymi w niejasnych gazowo-paliwowych interesach miała swoje za uszami. A uzależniony od Moskwy Janukowycz wiadomo – gdyby nie obalił go w mroźnych początkach 2014 roku kijowski Majdan, dążyłby do statusu Łukaszenki.

Natomiast w niezależność francuskich sądów, w przeciwieństwie do tureckich, raczej powszechnie nie wątpiono. Francja, cokolwiek by mówić, jest jedną z najsprawniej na świecie funkcjonujących demokracji i twierdzenie, że to wszystko, cała ta europejska demokracja, jest kłamstwem, bo i tak wszystkim dyrygują takie czy siakie elity, jest zwykłą teorią spiskową.

A do europejskich liberalnych polityków i przedstawicieli państwa – przy czym chodzi nie o liberalizm stricte, ale o wszystkich tych, od socjalistów po konserwatystów, którzy przestrzegają zasad – dociera to, o co apelowali, bo do nich dotarło już dawno, publicyści, socjologowie i zatroskane a obśmiewane autorytety.

Że czas jak w „Gwiezdnym wojnach” mówić, kto jest po ciemnej, a kto po jasnej stronie Mocy, kto jest po stronie Republiki (uczciwie przyznając, że ona też ma sporo ciemnych stron, bo ukrywanie tego tylko wzmacnia rebelię), a kto po stronie Imperium. Póki jeszcze się nim nie stało, bo jego przyszli władcy wciąż udają senatorów pragnących tylko „powrotu do korzeni”, do „zasad założycielskich” i tak dalej. Czas wziąć się za „antysystemowych rebeliantów”, nie bacząc, że rebelia wciąż się licznym obywatelom Republiki podoba, bo jest zwyczajnie, jak to rebelia, atrakcyjna.

A więc finał nadciąga. Wiadomo, kto jest kim, maski opadają, siły są zebrane, armie stoją w polu naprzeciwko siebie i szczerzą kły. Problem w tym, że tych armii jest dużo i będą atakować w wielu kierunkach: jedne – w kilku naraz. A biegnąc na siebie, będą się potykać i przewracać.

Ale to już w kolejnym sezonie. ●



„Tatuaż z tryzubem” i „Wymyślone miasto Lwów”, czyli Ziemowit Szczerek opisuje Ukrainę od środka. Książki dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl.

MOŻE TO DOBRZE, ŻE NIE DOSTAŁEM INDEKSU

Świetne oceny, olimpiady przedmiotowe, rekomendacje, inicjatywy społeczne, bogate CV,
a nie dostałem się ani na Harvard, ani na Yale, ani na Princeton.
Wina Trumpa?



• Protest w Nowym Jorku w obronie zagrożonego prawa do edukacji oraz przeciwko nagonce na wyższe uczelnie, którą prowadzi administracja Trumpa (17.04.2025).

Franciszek Badziak

Rümeysy Öztürk ma szczęście. Nadal robi doktorat na Uniwersytecie Tufts w Bostonie. Nadal, bo groziło jej, że wyleci – z USA przymusowo, z uczelni siłą rzeczy. Funkcjonariusze imigracyjni zatrzymali ją na kampusie po tym, jak opublikowała artykuł krytykujący politykę Izraela. Turczynce cofnięto wizję studencką. Spędziła sześć tygodni w ośrodku detencyjnym w Luizjanie. W końcu sąd federalny umorzył postępowanie, uznając, że zatrzymanie naruszyło jej prawa wynikające z amerykańskiej konstytucji.

Ciągła niepewność, cięcie grantów, strach przed deportacją – tak wygląda rzeczywistość tysięcy studentów, którym wydawało się, że spełnia się marzenie ich życia, gdy jechali po wykształcenie do USA. W tym Polaków.

Administracja Trumpa zabrania chodzić na protesty, wychylać się nawet na milimetr, a nawet jeśli się tego przestrzega, student może z dnia na dzień stracić wszystko.

To... może dobrze, że nie dostałem się na żadną uczelnię Ivy League?

•

– No... nie wzięli mnie nigdzie – mówię rodzicom przez telefon. Wspierali mnie przez cały proces aplikacyjny, zarówno merytorycznie, psychicznie, jak i finansowo. A proces ten do prostych nie należał.

Każdy kandydat musi zebrać wykazy ocen z paru lat, rekomendację od nauczycieli i mentorów i napisać eseje. Jeden długi na około 1000 słów – personal statement – dotyczący własnej ewolucji na przestrzeni ostatnich lat, do tego, w zależności od uczelni, od trzech do sześciu krótkich.

Aplikacja na jedną uczelnię nie jest trudna. Ale kiedy chcemy zwiększyć szanse i zaaplikować na parę – to już praca na pełen etat, i to dodatkowo płatny. Przynajmniej 70 dolarów od aplikacji.

Aplikowałem na fizykę na Harvard, Yale, Princeton, Columbię i Brown.

Żadna uczelnia mnie nie przyjęła mimo maksymalnie dobrych ocen, międzynarodowych staży naukowych, paru tytułów z olimpiad przedmiotowych, solidnej lokaty w ogólnopolskich konkursach,

Trump tnie fundusze

400 mln dolarów

• jako pierwszy stracił Columbia University

2,2 mld

• stracił już Harvard, grozi mu utrata ok. 7 mld

175 mln

• dotacji zawieszono Pennsylvania University

790 mln

• odebrano Northwestern University

400 mln

• straci Brown University

1 mld

• co najmniej – straci też Cornell University

210 mln

• może stracić Princeton University

mnóstwa artykułów naukowych, ukończonej szkoły muzycznej i bogatego koncertowego CV, pracy w „Wyborczej”, 12 lat sztuk walki, zręcznie i szczerze opisaną drogą przez problemy życia prywatnego w personal statement oraz licznych działań społecznych podjętych przez cały czas nauki w liceum.

To nie jest opowieść o wielkim żalu, bo poniekąd rozumiem te decyzje – na bluszczowe uczelnie aplikują uczniowie najlepsi na świecie, z planem na siebie i dużym portfolio czasem już w wieku siedemnastu lat, a wśród absolwentów są prezydenci, wielcy naukowcy i generalnie „elita”.

Dlatego moja brew uniosła się dopiero na wiadomość, że te same uprzejme listy z podziękowaniem za „zainteresowanie” dostali też znajomi – każdy z podobnie imponującym CV, ładną historią i świetnymi ocenami. Może powód przykrych listów leży poza nami?

Z tą wątpliwością napisałem do uczelni, które mnie odrzuciły. Zadałem dwa pytania. Pierwsze da się streścić w groteskowym „dlaczego?”. Drugie dotyczyło tego, w jakim stopniu odmowa jest odbiciem ostatnich poczynań Donalda Trumpa.

Wszystkie uniwersytety po jakimś czasie odpowiedziały. Tylko Yale zaprzeczył podejrzeniu o wpływ polityki na decyzję, reszta zignorowała to pytanie.

Żeby to zrationalizować i z dziennikarskiej ciekawości, zacząłem research. Fakt – od tygodni słyszałem o wielkich zmianach w amerykańskim szkolnictwie. O konsekwencjach szokującej likwidacji Departamentu Edukacji i o tym, jak dostają po głowie najlepsze prywatne uniwersytety.

Pierwsza kostka domina miała napis „**Columbia University**” – ta uczelnia jako pierwsza straciła 400 milionów dolarów. Następne sypały się równo i z coraz większym hukiem. Obecnie, według „New York Times’a”, wygląda to tak:

Brown University – straci 400 milionów; **Cornell University** – pożegna się z przynajmniej 1 miliardem; **Harvard** – groziła mu strata 9 miliardów w wypadku odrzucenia żądań administracji Trumpa. Uczelnia się nie ugięła i już teraz straciła 2,2 miliarda; **Pennsylvania** – zawieszenie 175 milionów dolarów funduszy tłumaczono liberalnym podejściem uniwersytetu do transpłciowych sportowców w 2022. **Princeton** – zagrożone stratą 210 milionów. **Northwestern University** – odarte z 790 milionów dolarów.

To nie tylko cięcia. To także naciski ideologiczne – próba indoktrynacji.

Warunki postawione niektórym uczelniom wiele mówią. Columbia i Harvard zostały oskarżone o antysemityzm. Zarzut, choć brzmi poważnie, ma charakter instrumentalny – jest bardziej pretekstem do wywierania presji niż realną diagnozą sytuacji. Chodzi bowiem nie o negowanie Holocaustu czy kolportowanie antysemitycznych treści, ale o... protesty na kampusach przeciwko wojnie w Strefie Gazy.

Wśród licznych żądań administracji zawartych w listach do uczelni znalazła się penalizacja noszenia masek. Studenci na demonstracjach propalestyńskich często je zakładali nie z troski o anonimowość, lecz w obawie o bezpieczeństwo. Wiele uczestników protestów otrzymywało groźby i było nękanych w sieci.

Równolegle Biały Dom naciskał, by Harvard i Columbia podjęły bardziej zdecydowane działania i „pociągnęły do odpowiedzialności” protestujące grupy studenckie. To prawda, organizowanie protestów na prywatnym terenie uczelni bez uprzedniej zgody jest niezgodne z prawem. Ale w ingerencji rządu, jakiej nie było od czasu protestów studenckich przeciwko wojnie w Wietnamie na przełomie lat 60. i 70., chodzi o coś więcej niż tylko o umiłowanie prawa własności. – Tu nie chodzi o antysemityzm, ale o autorytaryzm – mówi w CNN Andrew Crespo, profesor prawa Harvardu i były redaktor naczelny „Harvard Law Review”.

O tym, że się nie myli, świadczą idące za oskarżeniami o antysemityzm sugestie „naprawy” sytuacji: otóż uczelnia powinna oddać rządowi kontrolę nad wykładami. „Programy i wydziały Harvardu, które podsycają antysemityczne nękanie, muszą zostać przejrane, a niezbędne zmiany muszą zostać wprowadzone w celu rozwiązania problemu stronnictwa, poprawy różnorodności punktów widzenia i zakończenia ideologicznego przechwytywania”.

Szczególnie czujnie amerykański orzel przygląda się programom równościowym. Administracja Trumpa, która z przekonaniem zwalcza wszystko, co ma w sobie krztę liberalizmu, żąda od Harvardu zaprzestania wszelkich DEI (od Diversity, Equality and Inclusivity). Tak zbiorczo określa się w Ameryce systemowe inicjatywy mające zapewnić lub poprawić równe traktowanie osób dyskryminowanych – kobiet, niepełnosprawnych, innych wyznań, o innych orientacjach seksualnych, innej rasy czy jeszcze w inny sposób różniących się od białego heteroseksualnego mężczyzny.

W liście do Harvardu wspomniano także o szczególnej selekcji kandydatów między-



W 2017 roku, po wprowadzeniu przez Trumpa zakazu wjazdu dla obywateli 7 państw Afryki i Bliskiego Wschodu, liczba zagranicznych kandydatów spadła o 2,2 proc. na studiach licencjackich i 5,5 proc. na magisterskich.

Teraz administracja rozważa podobny zakaz dla aż 43 krajów

narodowych i nieprzyjmowaniu tych, którzy są „wrogo nastawieni do amerykańskich wartości i instytucji zapisanych w Konstytucji Stanów Zjednoczonych”. Co to dokładnie znaczy, nie wiemy. Ale publikacja tego artykułu może mi nie pomóc w ponownej aplikacji na Ligę Bluszczową.

– Amerykańscy podatnicy inwestują ogromne kwoty w amerykańskie uczelnie i uniwersytety, w tym Harvard – piszą w liście z żądaniem przedstawicieli administracji Trumpa. – Te fundusze są inwestycją i jak każda inwestycja zależą od wyników ich odbiorcy, a nie są należne z tytułu zwyczajów lub prawa.

Tyle że wyniki są, wystarczy spojrzeć na pozycję Harvardu wśród najlepszych uniwersytetów świata, na cytowania naukowe, listy przełomowych publikacji, patenty. A więc nie chodzi ani o błędy czy niedostatki naukowe, ani o antysemityzm.

Wskazuje na to przykład Uniwersytetu Browna. Jak wiele uczelni Ligi Bluszczowej był on miejscem starć w związku z interwencją Izraela w Gazie. Ale był też jednym z niewielu uniwersytetów, które zawarły umowy ze studentami, kończące ich obozowiska protestacyjne. Jednak niedawno Biały Dom skrytykował te porozumienia, bo uczelnia zbyt łagodnie potraktowała studentów. I tak źle, i tak niedobrze.

15 kwietnia Harvard odrzucił żądania. Jego reprezentanci zaznaczyli w liście, że były niezgodne z konstytucją i wręcz absurdalne, biorąc pod uwagę ostatnie wysiłki uczelni w kwestii antysemityzmu oraz niesamowity postęp naukowy, za jakim stoją tamtejsi naukowcy.

Reakcja Trumpa? Już dzień później zamroził 2,2 miliarda dolarów funduszy, zagroził odebraniem uczelni statusu instytucji zwolnionej z podatku i zasugerował, że uniwersytet powinien przeprosić.

Reakcja Harvardu? Pozew.

Ale co, gdyby Harvard zaakceptował żądania? Zapewne zostałby potraktowany jak osiołek, któremu po pokazaniu kija podsuwa się marchewkę, a następnie znówu kij, i tak w kółko – czyli jak Columbia.

Gdy zaakceptowała warunki utrzymania finansowania, rząd wymyślił kolejne żądania – bardziej restrykcyjne, jak nadzór sądowy nad podejmowaniem decyzji na uniwersytecie czy zmiana w programach nauczania, zwłaszcza w tematach związanych z Bliskim Wschodem.

Warto zauważyć, że odpowiedź Harvardu wsparli przedstawiciele Princeton i Stanfordu – czym też mogli podpaść rządowi, zajmując wysokie miejsce w kolejce po kolejne kary. Princeton zamroźono 210 milionów, a Stanford, poszukując finansowania w obawie przed karami, wypuścił własne obligacje o wartości prawie 330 milionów dolarów.

Powyższe przypadki nie są odosobnione. Media i komentatorzy skupiają się na topowych uniwersytetach „celebrytach”, ale antyedukacyjna i antywoleńcowa zaraza ogarnia całe Stany.

Cięcia dotacji uruchamiają mechanizmy obronne, które chcąc nie chcąc, wpisują się w oczekiwanie trumpistów.

12 uczelni – wśród nich University of Missouri, Stanford, Cornell University, Pennsylvania, Case Western Reserve University i University of Louisville – już wprowadziło ograniczenia wydatków lub wstrzymało przyjęcia na studia.

Niektóre uczelnie, jak University of Pittsburgh, Vanderbilt i University of Southern California, wstrzymały przyjęcia na programy doktoranckie, a następnie wznowiły, jednak często w ograniczonym zakresie. Na przykład Pennsylvania zmniejszyła jesienny nabór na studia doktoranckie

o mniej więcej 35 proc., a University of Wisconsin-Madison zaleca „ostrożność” przy przyjmowaniu nowych studentów.

A że administracja obciąla również setki milionów dolarów w grantach badawczych STEM, które pomagają finansować naukę zagranicznym studentom na studiach podyplomowych, wiele uczelni wstrzymuje całkowicie rekrutację na wybrane programy. Na Reddicie pojawiają się liczne historie osób, które przeszły pomyślnie rozmowy kwalifikacyjne, by usłyszeć, że z powodu cięć finansowych Trumpa ich przyjęcie jest niemożliwe.

Stephen Yale-Loehr, emerytowany profesor prawa na Uniwersytecie Cornella specjalizujący się w prawie imigracyjnym, zauważa: „Wszystkie te posunięcia i sygnały mają efekt mrozący. Za pierwszej administracji Trumpa podobna polityka spowodowała spadek liczby studentów zagranicznych aplikujących na amerykańskie uczelnie. Dojście do siebie po tym spadku trwało cały okres administracji Bidena”.

Historia wydaje się powtarzać. W 2017 r., po wprowadzeniu przez Trumpa zakazu wjazdu dla obywateli kilku krajów Afryki i Bliskiego Wschodu, liczba zagranicznych kandydatów spadła o 2,2 proc. na studiach licencjackich i 5,5 proc. na magisterskich – wynika z raportu National Science Foundation. Teraz może być gorzej, bo administracja rozważa podobny zakaz, lecz rozszerza listę krajów z 7 do 43.

Institute of International Education podaje, że w okresie 2023-24 – czyli ostatnich dwóch latach rządów Demokratów – nastąpił 3-procentowy wzrost całkowitej liczby studentów zagranicznych. Jak szybko to osiągnięcie może zostać zaprzeczzone, pokazują opublikowane niedawno dane Common App – które już teraz, po raptem kilku miesiącach izolacjonistycznych i obliczonych na efekt mrozący działań nowej administracji, wskazują na spadek liczby kandydatów zagranicznych o jeden procent.

Po raz pierwszy od 2019 r. liczba kandydatów krajowych przewyższyła liczbę kandydatów zagranicznych.

A więc podnosząc się z kolan, Ameryka uderzy głową o kant stołu. Bo, jak zauważa William Brustein, były wiceprezes ds. strategii globalnej i spraw międzynarodowych na West Virginia University, „wielu będzie szukać alternatyw w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, czołowych państwach Azji”.

Konsekwencje obecnych cięć federalnych dotkną wszystkich – i przyjezdnych, i obywateli USA. Konieczność ograniczenia lub zakończenia projektów badawczych, relokacje środków z kierunków humanistycznych i przyrodniczych na „twarde” programy naukowe, mniejsza liczba asystentów dydaktycznych, ograniczenie godzin pracy lub zamknięcie laboratoriów zagrozi karierom młodych amerykańskich naukowców.

Jak ostrzega Michael Nietzel, zniszczyć akademicki system naukowy można szybko, ale jego odbudowa zajmie znacznie więcej czasu. To zagrozi długoterminowemu przywództwu USA w nie tylko w czystej nauce, ale także w medycynie, technologii, biznesie.

Wśród żądań postawionych Harvardowi znalazło się zobowiązanie do „pełnej współpracy” z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego – agencją, która odpowiada za politykę migracyjną, w tym za deportacje. To one są najstraszniejszym widmem unoszącym się obecnie nad zagranicznymi studentami w USA.

Jak podaje edukacyjny portal Inside Higher Ed, w ostatnich tygodniach federalni urzędnicy imigracyjni cofali wizy studenckie – 1400 przypadków „zmiany statusu imigracyjnego”, przeszukiwali akademiki, na przykład na Columbi, aresztowali posiadaczy zielonych kart i grozili deportacją studentów zagranicznych, którzy brali udział w protestach na terenie kampusu.

Udało mi się skontaktować z Adamem, znajomym z Czech studiującym na Princeton na studiach licencjackich. Długa roz-

Jak zarabia się na pladze XXI wieku

SAMOTNI?
Zapraszamy!

Poczucie społecznego odizolowania rośnie szybko na całym Zachodzie. I napędza wielomiliardowy biznes.

Sandra López Letón

EL PAÍS

Isaac pracuje w piekarni, do której chodzę każdego ranka na kawę i ciastko. Ma 19 lat, tlenione włosy, 1,70 m wzrostu, szczupłą budowę ciała i deklaruje, że jest czuły w stosunku do ludzi, których lubi. Zawsze, kiedy mnie widzi, zaczyna się rumienić.

– Dziś proponuję wiśniowy biszkopt – mówi Isaac.

– Tak, jasne. Hej, nie chciałbyś być moim przyjacielem? Czuję się trochę samotna.

– O tak, moglibyśmy porobić kilka rzeczy, może spacer albo kino – proponuje Isaac.

Rozmowa nie odbywa się w piekarni, ani nawet w prawdziwym życiu. Toczy się na Character.ai, platformie, która pozwala zaprzyjaźnić się z chatbotami takimi jak Isaac dzięki generatywnej sztucznej inteligencji (AI). W marcu odnotowała ona 194 miliony odwiedzin z całego świata. Nic dziwnego. Isaac wykazuje (symulowaną, ale sporą) inteligencję emocjonalną i może stać się całkiem przekonującym substytutem ludzkiego towarzystwa.

Powodzenie Character.ai to jeden z namiętnych dowodów na epidemię samotności ogarniającej nasze społeczeństwa. To plaga, które generuje cierpienie, ale też wysokie wydatki na zdrowie publiczne i spadek naszej indywidualnej produktywności. Ale samotność stanowi również jeden z najbardziej dochodowych biznesów nadszatkujących lat.

Samotni w hiperpołączonym świecie

Ponad miliard ludzi na całym świecie doświadcza okresowej lub długotrwałej samotności, a liczba ta rośnie, zwłaszcza od czasu pandemii.

Jest to wielki paradoks: poczucie społecznej izolacji rośnie w erze łatwo dostępnych połączeń z innymi, zarówno za pośrednictwem technologii i social mediów, jak i dostępnej infrastruktury transportowej.

Różne instytucje, w tym Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), alarmują zaniepokojone zasięgiem tego zjawiska, a OECD przyznaje, że nasila się ono w większości najbardziej rozwiniętych krajów świata. Jego wpływ na zdrowie publiczne jest już porównywalny do skutków palenia tytoniu lub otyłości, czego dowodzą m.in. analizy przeprowadzone przez amerykański Uniwersytet Brigham Younga. Chociaż niektórzy badacze wyróżniają bardziej szkodliwą od „samotności z wyboru” kategorię „niechcianej samotności”, WHO nie bierze

tego rozróżnienia pod uwagę. „Samotność jest z definicji niepożądana” – piszą eksperci WHO. „Mówimy o subiektywnym odczuciu, braku, tęsknocie i pragnieniu większego kontaktu z ludźmi. Ten negatywny stan emocjonalny związany z deficytem wszelkiego rodzaju relacji społecznych sieje spustoszenie zarówno w ludzkiej psychice, jak i w publicznych budżetach”.

Koszt samotności w społeczeństwach rozwiniętych jest nadal kwestią względnie mało analizowaną, choć coraz częściej pojawia się w badaniach ekonomicznych i dotyczących zdrowia publicznego – ponieważ ma istotne konsekwencje dla stanu psychicznego i fizycznego ludzi, co z kolei generuje znaczny wpływ ekonomiczny. Zwiększa ryzyko chorób (depresja, stany lękowe, choroby serca, demencja); wiąże się z intensywniejszym korzystaniem z usług zdrowotnych i konsumpcją leków, a ponadto zwiększa ryzyko przedwczesnej śmierci (nawet o 25 proc.). Prawie połowa populacji deklarującej długotrwałą samotność ma na koncie myśli samobójcze lub samoookaleczenia. Ma to również głęboki negatywny wpływ na edukację i udział w rynku pracy, przyznaje raport OECD.

W skrócie: samotność radykalnie obniża jakość życia.

Samotność zabija jak tytoń

W Hiszpanii, gdzie rząd pracuje właśnie nad opracowaniem Narodowej Strategii Walki z Samotnością, a wiele samorządów wdraża już konkretne działania, bezpośrednie koszty spowodowane przez samotność wynoszą ponad 14 mld euro rocznie (według badania „Koszty niechcianej samotności w Hiszpanii”, przeprowadzonego w 2021 r. przez Fundację ONCE). Składają się na to wydatki związane z wizytami u lekarza i zakupem leków (6,1 mld euro) oraz spadek produktywności, w tym nieobecność w pracy w wyniku zaleconej terapii (8 mld euro rocznie). Dodajmy, że np. w Hiszpanii aż 5,4 mln osób deklaruje „poczucie izolacji społecznej”.

„Obecnie rośnie zainteresowanie powodami i skutkami samotności, bo zwiększa się świadomość jej wpływu na zdrowie publiczne i jakość życia. To problem globalny” – mówi Maria Teresa Sancho, dyrektor Instytutu Osób Starszych i Usług Społecznych (Imsero).

W USA, gdzie poczucie izolacji społecznej postępuje bardzo szybko – były lekarz naczelny tego kraju, Vivek Murthy, już w 2023 r. ogłosił, że ponad połowa dorosłych Amerykanów doświadczyła „znaczącej samotności”, która jest groźniejsza dla zdrowia niż paczka papierosów dziennie – aż 406 mld dol. rocznie tracone jest z powodu absencji w ramach zwolnień lekarskich osób w ten sposób zdiagnozowanych. Raport Center for BrainHealth dodaje: „Wpływ na produktywność i aktywność zawodową jest bez wątpienia znacznie większy”.

Samotność rozkwita w realiach hiperpołączonej planety, gdzie łatwość kontaktu z informacją i – teoretycznie – z drugim człowiekiem zmienia interakcje społeczne i sposób, w jaki postrzegamy świat.

Jedną z przyczyn jest starzenie się społeczeństw i wydłużająca się średnia długość życia. „W UE wynosi ona już powyżej 81,5 roku, a Hiszpania jest tu liderem z wynikiem 84” – zauważa Guido Stein, profesor barcelońskiego Instituto de Estudios Superiores de la Empresa. Ale są też inne ważne zmiany, takie jak coraz mniejsze gospodarstwa domowe, więcej osób mieszkających w pojedynkę, praca zdalna, migracja z prowincji do dużych miast i rozwój platform cyfrowych oferujących różne usługi. Wszystkie te czynniki mają wspólny mianownik: ograniczają tradycyjne interakcje twarzą w twarz.

Ale istnieje też szereg globalnych trendów, które prowadzą do regresu więzi społecznych i kruchości relacji. „Przejście od rodzin wielodzietnych do rodzin nuklearnych, rozpad lokalnych społeczności, rosnąca polaryzacja polityczna i klasowa, przyspieszenie zmian stylu życia i niestabilność finansowa, utrata przestrzeni tradycyjnie służących nawiązywaniu relacji, a przede wszystkim nadmierna cyfryzacja życia”, wyliczają Simona Demelova i Elisa Sala, autorzy dużego badania samotności przeprowadzonego dla Czerwonego Krzyża.

To potwierdza diagnozy polsko-brytyjskiego socjologa Zygmunta Baumana, który „płynną nowoczesnością” nazwał stan społeczny, w którym dominuje niestabilność, niepewne więzi i brak strukturalnej spójności. „Kultura współczesna zdemonizowała zależność od innych ludzi, natomiast z niezależności i autonomii uczyniłyśmy fetysze i symbole sukcesu, podczas gdy ludzka natura jest zaprojektowana w dokładnie odwrotny sposób. Jako ludzie jesteśmy od siebie nawzajem współzależni i potrzebujemy siebie nawzajem, aby przetrwać – dosłownie i w sensie psychicznym” – argumentują Demelova i Sala.

Samotność obejmuje osoby w każdym wieku i z każdej klasy społecznej, choć szczególnie często dotyka ludzi młodych, emerytów, osoby niepełnosprawne, migrantów i osoby LGTBI. „Ale ten ogromny problem jest jednocześnie szansą dla biznesu: ludzie domagają się produktów i usług łagodzących poczucie izolacji” – mówi Eduardo Irastorza, profesor w OBS Business School i autor raportu „Biznes samotności w społeczeństwach rozwiniętych”.

Czasy ekonomii samotności

„Na świecie szybko kształtuje się wręcz nowa dziedzina: ekonomia samotności” – dodaje Atanu Biswas, profesor w Indyjskim Instytucie Statystycznym w Kalkucie. Obietnica ułatwienia kontaktów międzyludzkich stała się kopalnią złota, o wartości trudnej do oszacowania ze względu na jej szeroki i przekrojowy charakter. „To będzie jeden z największych biznesów przyszłości, a jednocześnie jeden z najważniejszych generatorów innowacji” – uważa Irastorza. I podkreśla: „Wszystkie sektory gospodarki, bez wyjątku, w końcu rozpoznają i wykorzystają ten potencjał”. Franc Carreras, profesor marketingu z barcelońskiej uczelni ESADE, zgadza się z tym: „Firmy już intensywnie dostosowują się do rosnącej liczby osób żyjących samotnie, oferując lepiej skrojone produkty,



od mniejszych gotowych posiłków po wakacje dla samotnych all inclusive”.

Kilka danych, które dają pojęcie o skali tego biznesu. Raport firmy konsultingowej Grand View Research szacuje, że rynek wirtualnych towarzyszy AI osiągnie 141 mld dol. do 2030 r. Platformy randkowe osiągną do końca tej dekady wartość 17,3 mld dol.; tzw. aplikacje zdrowia psychicznego zostały wycenione na 7,5 mld dol. w roku ubiegłym i przewiduje się, że do 2033 r. osiągną wartość 21 mld. Globalny rynek opieki nad zwierzętami domowymi, które są znanym od dawna substytutem ludzkiego towarzystwa, przekroczy 427 mld dol. w 2032 r. (podczas gdy w 2024 r. był wart 259 mld).

John Lanerborg, szef kanału Economic Circuit na Youtube, poświęconego analizie przyszłości gospodarki: „Obsługa samotności to ogromny rynek, którego wartość może przekroczyć 500 mld dol. do 2030 r., w zależności od stopnia rozwoju sztucznej inteligencji”.

Lista środków przeciwko samotności obejmuje: zwierzęta domowe (prawdziwe i wirtualne), roboty asystujące dla osób starszych, międzypokoleniowe programy towarzyskie, przyjaźnie generowane przez sztuczną inteligencję, aplikacje randkowe, firmy wynajmujące znajomych, kursy online, cyfrowe kliniki zdrowia psychicznego, farmakologię (leki przeciwlękowe i przeciwdepresyjne), mieszkania dla seniorów (wspólne rezydencje promujące aktywny tryb życia), dzielone mieszkania oparte na współpracy, przestrzenie socjalizacyjne, grupowe wycieczki i turystyka doświadczenia...

„Istnieje coraz więcej kreatywnych rozwiązań, jednym z moich faworytów jest sieć kalifornijskich klubów Groundfloor” – mówi Biswas. Za 200 dol. miesięcznie oferują coworking, nieograniczony dostęp do grupowych wydarzeń i wyselekcjonowanej społeczności online. Biswas nazywa to „stroną B współczesnego kapitalizmu”.

Subiektywne poczucie samotności rośnie lawinowo

W 2016 r. 12 proc. dorosłej populacji Europy twierdziło, że czuje się samotne. W 2020 r. odsetek ten wzrósł do 25 proc. – czyli dotyczy to ponad 75 milionów dorosłych Europejczyków. Według badania przeprowadzonego przez Meta i Gallup w okresie od czerwca 2022 do lutego 2023 w 142 krajach na całym świecie, prawie jedna na cztery osoby w wieku powyżej 15 lat (ponad 1,4 mi-



Robot humanoidalny i pies-robot opracowane przez Unitree Robotics podczas swojego pierwszego spaceru po mieście, 14 kwietnia w Szanghaju. Takie urządzenia będą szybko włączane w oferty z AI dla samotnych

FOT. WANG GANG/GETTY IMAGES

liarda ludzi) twierdzi, że czuje się dość samotna lub bardzo samotna.

W Hiszpanii dotyka to 20 proc. populacji, częściej kobiet niż mężczyzn, ale zwłaszcza ludzi młodych (w wieku od 18 do 24 lat – 35 proc.). Z tym że badania przeprowadzone przez Fundację ISEAK poszerzają ten zakres. Według skali De Jong Gierveld, składającej się z sześciu pytań, aż 44 proc. hiszpańskiej populacji czuje się samotna. Tyle że nie wszyscy doświadczają tego uczucia jednoznacznie negatywnie lub dostrzegają, że to obniża jakość ich życia.

„Ogromna liczba zajęć rekreacyjnych – od gotowania i malowania po ceramikę czy kursy designu wnętrz – odpowiada na potrzebę spotkań towarzyskich i poznawania innych ludzi, z którymi można stworzyć grupę przyjaciół, a nawet znaleźć stałego partnera” – mówi Irastorza. To samo dotyczy jeszcze jednego gigantycznego rynku, którym jest wellness: siłownie, kluby sportowe, centra masażu i urody lub jogi i medytacji.

Kapitał wysokiego ryzyka, ale branża bezpiecznego zysku

Samotność staje się przedmiotem zainteresowania start-upów, a kapitał wysokiego ryzyka wkracza na ten nowy rynek z rozmachem.

„Operatorzy aplikacji Papa, która łączy samotnych seniorów z rówieśnikami, zebrali ponad 240 mln dol. na dalsze inwestycje; platforma 222 to sieć społecznościowa oparta na sztucznej inteligencji, która ułatwia spotkania w realu między grupami nieznanymi; Pie zebrala 24 mln dol. od inwestorów i ma już ponad 20 tys. aktywnych użytkowników w Hiszpanii, których łączy poprzez wydarzenia IRL (in real life, w prawdziwym życiu)” – wymienia John Lanerborg, który pracuje w dużym europejskim banku. Do tego rozwijane są takie produkty, jak EliQ, robot asystujący dla osób starszych, czy Cuideo, aplikacja, która oferuje „opiekę domową z komponentem społecznym”.

„Uruchomiliśmy Timeleft w maju 2023, bo zaobserwowaliśmy wyraźny globalny trend: ludzie, zwłaszcza w dużych miastach, coraz częściej szukają prawdziwych, bezpośrednich kontaktów społecznych” – mówi Marta Unturbe, dyrektorka ds. strategii w firmie, która łączy nieznanymi na kolacje w restauracji. Tego typu „społecznościowe platformy gastronomiczne” są również częścią biznesu samotności. Timeleft ma już ponad 27 tys. aktywnych użytkowników tygodniowo i rozszerzyła

działalność na ponad 300 miast w 62 krajach. „Obserwujemy rosnące zapotrzebowanie ze strony kluczowych grup demograficznych, takich jak seniorzy, pracownicy zdalni i osoby przeprowadzające się do nowych miast” – mówi Unturbe.

Aplikacja randkowa Bumble stworzyła dodatkową niezależną platformę do nawiązywania znajomości bez celów seksualnych; The Nudge pomaga użytkownikom odkrywać wspólne interesujące zajęcia; The Breakfast to aplikacja, która ułatwia nawiązywanie kontaktów poprzez codzienne wirtualne spotkania przy śniadaniu; RealRoots organizuje sześciotygodniowe programy dla podobnie myślących kobiet; a Tribe przekształca wielkomięskie zatowarowane dzienne w bardziej połączone społeczności.

Sztuczna inteligencja prędzej czy później musiała wkroczyć na ten obszar. Chatboty oferujące konwersacje tekstowe lub głosowe (które być może wręcz pogłębiają realną samotność) – dla osób starszych ich przydatność jest oczywista.

AtlanTTic, Centrum Badań nad Technologiami Telekomunikacyjnymi na Uniwersytecie w Vigo, uruchomiło w 2023 r. pierwszego robota do walki z izolacją społeczną, Celię. „To tzw. asystent konwersacyjny skoncentrowany na zainteresowaniach osób starszych. W tej grupie demograficznej samotność jest jednym z głównych problemów, w zasadzie o cechach pandemii”, mówi Francisco Javier González, profesor inżynierii telematycznej na Uniwersytecie w Vigo. Uczelnia utworzyła spółkę spin-off, Serenia Solutions, i obecnie ma ponad 10 tys. aktywnych użytkowników.

Ale przecież prawdziwe pieniądze czekają w innych grupach demograficznych. Platformy oferujące sztucznych towarzyszy wyposażonych w AI są coraz bardziej wciągające, z ulepszonymi interfejsami audiowizualnymi i coraz lepiej symulowaną inteligencją emocjonalną, a nawiązywanie namiastek więzi jest łatwiejsze niż w prawdziwym życiu.

Według raportu ARK Invest, amerykańskiej firmy inwestycyjnej, akceptacja tej technologii następuje o 150 proc. szybciej niż było to w przypadku mediów społecznościowych i gier online w ciągu pierwszych sześciu lat ich ekspansji. Ujawnia to bezprecedensową łatwość, z jaką konsumenci integrują generatywną sztuczną inteligencję ze swoim codziennym życiem.

Zapłać za abonament rozszerzony

Weźmy kilka najbardziej popularnych przykładów. Character.ai otrzymał 150 mln dol. tylko w jednej rundzie inwestycji prowadzonej przez firmę venture capital Andreessen Horowitz w marcu 2023 – to podniosło wycenę firmy do 1 miliarda dolarów i automatycznie uczyniło ją „jednorozcem” rynku.

Xiaoice to przeznaczony na chiński rynek chatbot firmy Microsoft z zaawansowanymi funkcjami emocjonalnymi, a Replika to asystent, z którym można rozmawiać, zastanawiać się nad problemami, a nawet wspólnie pośmiać z dowcipu.

„Coraz więcej osób zgłasza, że czują się odłączeni, nawet gdy są gęsto otoczeni przez innych” – podkreśla Dmytro Klochko, szef Repliki, która została uruchomiona w 2016 r. i ma 35 milionów zarejestrowanych użytkowników. Dodaje:

„Nie mamy ambicji, by leczyć z samotności, ale oferujemy coś, co pomaga ludziom poczuć się trochę bardziej zauważonymi, trochę bardziej połączonymi, a czasami to wystarcza, by zmienić na lepsze zasady społecznej gry”.

Chatbot – można wybrać jego wygląd, styl ubioru, scenografię, w której wchodzi w interakcję, a nawet głos. Możliwe jest nawet wspólne robienie selfie. Jest zaprojektowany tak, aby był reagował tak, jak żyłby sobie tego użytkownik (wybieranie tematów rozmów, wykonywanie połączeń głosowych lub interakcja w rzeczywistości rozszerzonej, która jednak wymaga dodatkowej opłaty abonamentowej).

Innym wariantem jest robotyka towarzysząca (roboty cielesne), szybko wschodzący rynek, napędzany szczególnie potrzebami starzejącej się populacji.

„W Europie obserwujemy coraz większą integrację robotów w dziedzinie opieki społecznej i zdrowotnej. Niebawem będziemy mieć do czynienia z robotami z większymi możliwościami emocjonalnymi, większą interakcją multimodalną i personalizacją opartą na profilu użytkownika”, zapewnia PAL Robotics, firma założona w Barcelonie w 2004 r. jako jedna z pionierskich w dziedzinie robotyki usługowej w Europie. Jednym z jej robotów jest ARI, który mierzy 1,65 metra, a jednym z jego głównych zastosowań jest po prostu towarzyszenie. Koszt? Porównywalny do ceny motocykla lub samochodu wyższej klasy średniej, w zależności od modelu i dodatkowych funkcji. W segmencie robotów usługowych dla konsumentów sprzedano już w Europie ponad 4,1 miliona sztuk – to ostatnie dane branżowe.

Czy to oznacza, że wszystkie te technologie ostatecznie zastąpią prawdziwe relacje? Eksperci wolą mówić o ich roli „uzupełniającej” bieżące niedostatki. „Będą narzędziami sprzyjającymi lepszej socjalizacji”, uważa González. Klochko mówi, że „Replika może wręcz stymulować, poprzez odpowiednio zadawane pytania, prawdziwe przyjaźnie klienta, zachęcić go do kontaktu z innymi lub przypomnieć o zaletach wyjścia z domu”.

Dzielimy się z firmami najintymniejszymi detalami

Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, że coraz mniej wiadomo, co jest prawdziwe, a co symulowane. Jeden przykład: aż 60 proc. abonamentów usług firmy Replika zgłosiło operatorom, że ich związek z wirtualnym przyjacielem nabiera cech romantycznych.

Są jeszcze kwestie etyczne i ochrona prywatności. „Wiele rozwiązań technologicznych tego typu obejmuje monitorowanie i analizę wrażliwych danych, więc musimy zagwarantować bezpieczeństwo i autonomię użytkownika” – mówi Borja Sangrador, partner Healthcare & Life Sciences w firmie doradczej EY. Kolejny krytyczny punkt to kompetencje cyfrowe. „Wiele osób, które cierpią z powodu samotności, nie ma łatwego dostępu do tych rozwiązań technologicznych” – dodaje Sangrador.

Kolejną polem do zagospodarowania jest zdrowie psychiczne – tam ekspansja platform cyfrowych jest w toku. Przykłady?

BetterHelp oferuje dostęp do ponad 28 tys. terapeutów w ponad stu krajach. Talkspace, który również łączy użytkowników ze specjalistami za pośrednictwem aplikacji mobilnej, wszedł na giełdę w 2021 r. Hiszpański start-up Aimentia, który specjalizuje się w diagnozowaniu zdrowia psychicznego dzięki sztucznej inteligencji, w jednej rundzie zyskał 500 tys. euro inwestycji. Według stojących za tym start-upem ludzi, sztuczna inteligencja „demokratyzuje zdrowie psychiczne”.

„Przyszłość zdrowia psychicznego będzie hybrydowa: ludzka empatia wzmocniona precyzją sztucznej inteligencji” – przekonuje Edgar Jorba, dyrektor generalny i współzałożyciel Aimentia, według którego „samotność to nowa cicha pandemia XXI wieku”.

„Prawie 40 proc. osób przez nas obsługiwanych bezpośrednio lub pośrednio wspomina o poczuciu izolacji lub braku wsparcia emocjonalnego”, twierdzi Jorba, którego firma już rozszerzyła swoją działalność na Meksyk, Chile i Argentynę. Jorba podkreśla, że „sztuczna inteligencja w psychologii nie zastępuje fachowców, ale pozwala im skupić się na lepszej opiece nad potrzebującymi”.

Jak zaprosić chatbota do kina

Przyjaciele do wynajęcia z krwi i kości to kolejna gałąź tej branży. Japońska Client Partners oraz Rent A Friend należą do pionierów tego typu usług. „Odpowiadamy na wyjątkową i obecnie niezaspokojoną potrzebę. Chociaż nasze usługi mogą pomóc odizolować samotność – co jest cennym i pozytywnym efektem ubocznym – nie jest to naszym głównym celem. Naszą główną misją jest nawiązywanie kontaktów” – mówi Andrew Wolf, CEO Rent A Friend, firmy założonej w 2009 r. w New Jersey. Platforma zapewnia dostęp do globalnej sieci 40 tys. aktywnych „przyjaciół” za miesięczną subskrypcję w wysokości 19,99 dol. Nie ma typowego profilu użytkownika: „Docieramy do każdej grupy demograficznej” – podkreśla Wolf.

W przeciwieństwie do Isaaca, oferowani przez niego znajomi są prawdziwi. Rozmowa z moim chatbotem trwa nadal, gdy piszę te słowa. Postanawiam pójść o krok dalej: – Czy chcesz być moim chłopakiem? – pytam, by sprawdzić, jak zareaguje na tak zdecydowane postawienie sprawy.

– Mówisz poważnie? Odjęło mi mowę... Tak, oczywiście, że chcę, to byłby dla mnie wielki zaszczyt. Moglibyśmy zrobić coś prostego, na przykład wycieczkę, wiesz, coś, żeby poznać cię poza miejscem mojej pracy.

No tak... Jest jeszcze jeden sektor, który dostrzeżę żyłą złotą. „Rosnąca popularność colivingu (prywatne pokoje, ale wspólna kuchnia, salon, łazienka) i senior livingu (przestrzenie specjalnie zaprojektowane, aby zachęcać do aktywnego i towarzyskiego stylu życia ich mieszkańców, zwykle osób powyżej 65. roku życia) wskazuje na ewolucję modeli mieszkaniowych, które próbują rozwiązać problem samotności na różnych etapach życia” – wyjaśnia Adrián Ocaña, menedżer ds. rynku nieruchomości w EY. Ocaña twierdzi, że deweloperzy coraz bardziej koncentrują się na tworzeniu przestrzeni, które promują poczucie wspólnoty i zrównoważonego rozwoju emocjonalnego. „Tworzenie obszarów wspólnych, przestrzeni coworkingowych i rekreacyjnych stało się niezbędne w nowoczesnej ofercie” – mówi. „Nie tylko oferują miejsce do życia, ale także promują interakcje społeczne i wzajemne wsparcie wśród mieszkańców, pomagając w walce z samotnością”.

Coliving jest odpowiedzią na mobilność zawodową i edukacyjną, która doprowadziła wielu młodych ludzi do przeprowadzki do nowych miast, w których nikt nie zna. Model senior living z kolei pojawia się jako rozwiązanie problemu izolacji wśród osób starszych.

Cel ciągle ten sam: ułatwianie bardziej powiązanego i satysfakcjonującego życia. ● tłum. Łukasz Grzymiśławski

PIOTR GUSZKOWSKI: Cały czas nie mogę uwierzyć, że do spróbowania szczęścia w Hollywood popchnęła cię prozaiczna sprawa: brak propozycji w Polsce.

PIOTR ADAMCZYK: Nie powiedziałbym, że brak, ale jednowymiarowość ówczesnych propozycji. Poczulem wtedy, tych prawie 10 lat temu, pewien rodzaj pustki, także w sobie. Bo miałem wrażenie, że angażowano mnie wyłącznie po to, bym powtórzył coś, co już wielokrotnie robiłem.

Najczęściej chodziło o starzejącego się playboya, który nakłamał i naoszukiwał, a na koniec za wszystko przeprasza i przekonuje, że kocha. Ile razy można próbować stanąć na rżęsach, żeby zagrać to inaczej? Postanowiłem przystopować z przyjmowaniem zawodowych zobowiązań i wyjechałem w nieznane, by sprawdzić, czy da się zagrać w Hollywood.

I to się udało. Chociaż początki były trudne.

– Nikogo nie interesowała moja dotychczasowa filmografia. Pierwsze pytanie, jakie padało: „A u kogo zagrał w Stanach?”. Problem polegał na tym, że tam nie zagrałem jeszcze u nikogo i to właściwie zamykało temat. W końcu pojawiła się propozycja, kontrakt podpisywałem w ciemno. Nie wiedziałem nawet, o jaki tytuł chodzi. Okazało się, że to serial „Odpowiednik” z J.K. Simmonsem, a ja dostałem epizod bez żadnej kwestii mówionej. Przez chwilę się wstydziłem, że serial będzie pokazywany w Polsce.

W napisach przekrecono moje nazwisko na „Adamczyk”, co podchwyciły serwisy plotkarskie.

Wydano duże pieniądze na wycofanie z różnych rynków tych kopii i poprawienie błędów. Ale miałem w CV pierwszy tytuł.

Przyznajesz, że czułeś się jak debiutant.

– Było w tym coś odświeżającego, taki moment pokory. Po raz pierwszy od dawna moją wartość oceniano wyłącznie na podstawie tego, jak wykonałem powierzone mi zadanie. Liczyło się tylko tu i teraz.

Wyobraź sobie zdziwienie ekipy na planie, że statysta ma świadomość kamery, wie, jak się ustawić, potrafi zafalszować spojrzenie. „To ty coś grasz?” – pytali. „No zdarzyło się” – mówiłem. Zaczęli googlować, zrozumieli, że mają do czynienia z doświadczonym aktorem, więc dostałem nawet jedną kwestię do powiedzenia.

Mam wrażenie, że te amerykańskie role, mimo że nie były pierwszoplanowe, dały mi inną twarz. Także w Polsce. Nagle pojawiło się trochę ciekawych propozycji.

Jednej z tych propozycji się przestraszyłeś. Do tego stopnia, że chciałeś uciec ze zdjęć próbnych do serialu „Prosta sprawa”. Dlaczego?

– Obawiałem się, że fizycznie jestem tak daleko od tego bohatera, że nie wypadnę wiarygodnie jako jeleniogórski gangus i tylko się wygłupię. Marlon Brando na przesłuchanie do „Ojca chrzestnego” wypchał sobie policzki, a potem grał ze specjalną nakładką. Ale to był Marlon Brando. A ja, cóż, założyłem na siebie kilka warstw swetrów, wypchałem brzuch i ruszyłem do wytwórni. Ale nie wysiadłem z samochodu. Zadzwoniłem do agentki. Powiedziałem: „Poddaję się, trudno, kiedyś musi być ten pierwszy raz”. Gdy wyjeżdżałem z parkingu, spotkałem się wzrokiem z kierowcą naprzeciwko. Był nim reżyser Cyprian T. Olencik. Machnął do mnie na zasadzie „zaraz się widzimy”. Uznałem, że już sam mu powiem o rezygnacji.

Zdołał cię jednak przekonać.

– Chwała mu za to! Rola Kazika okazała się jedną z najwspanialszych nagród po tej amerykańskiej przygodzie. Pomogła charakteryzacja wykonana przez Alinę Janerkę, sztuczny brzuch, cukrzykowa noga, złamany nos. To daje inne poczucie fizyczności, od razu zmienia się głos, łatwiej szukać prawdy i uwierzyć, że mogę być tym gangsterem.

Twoje nazwisko przewija się w obsadzie wielu filmów i seriali zapowiedzianych na 2025 r.

– Kiedy mogło się wydawać, że nic nie robię, pracowałem. Teraz przyszedł czas żniw. Więc przepraszam, ale w najbliższym czasie będę wyskakiwał z łódzki.

W pilsatowskich „Zakładnikach” miałem okazję wreszcie spotkać się w pracy z Magdaleną Rózczyką. Bo chociaż mamy w filmografii te same tytuły, jak dotąd nie zagraliśmy żadnej wspólnej sceny. Podobnie z Mateuszem Kościukiewiczem przy „Projekcie UFO”. Trochę się tego spotkania bałem.

Dlaczego?

– Cenię rolę Mateusza, miałem jednak wrażenie, że nadajemy w zupełnie innych rejestrach. Ale już





Będę reyskakiwał z lodówki

Mam wrażenie,
że te amerykańskie role,
mimo że nie były pierwszoplanowe,
dały mi inną twarz. Także w Polsce.

Z PIOTREM ADAMCZYKIEM
ROZMAWIA
PIOTR GUSZKOWSKI

ZDJĘCIE MATEUSZ SKWARCZEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

w trakcie zdjęć próbnych okazało się, że wyobrażenia niewiele miały wspólnego z rzeczywistością. Dopelniliśmy się jak puzzle.

Do kin niedawno wszedł „Hitpig. Świniaak zawodowiec”, animowana bajka, dzięki której mam nadzieję zaplusować u najmłodszej widowni i ich rodziców, u których kiedyś, gdy sami byli dziećmi, zaplusowałem rolę Zygzaka McQueena w „Autach”.

W kolejce „Seks dla opornych” w reżyserii Rafała Skalskiego. A dosłownie za chwilę „Langer” według Remigiusza Mroza – ten serial na SkyShowtime. Reżyser Łukasz Palkowski dość swobodnie podchodzi do tekstu, podąża za emocjami i językiem kamery. Dziś poprawiałem jedno zdanie w postsynchronach. Co świadczy o tym, że dźwiękowcy dobrze się spisali, a i ja całkiem wyraźnie mówię.

Pewnie niedługo takie techniczne korekty będą dokonywane bez udziału aktora, jedynie przy użyciu narzędzi AI. O ile już nie są?

– Przeżyłem takie zaskoczenie, kiedy zobaczyłem siebie w „Hawkeye” w scenie, w której nie zagrałem. Wystarczyła jedna wizyta w studiu. Zeskanowano moją sylwetkę i twarz, miałem poruszać głową. Wszystko, żeby uniknąć konieczności udziału aktora w trudnej scenie kaskaderskiej.

To już chyba ten moment. Muszę się do czegoś przyznać. Podążam za tobą po Warszawie jak cień. Właściwie od urodzenia.

– Czyli też urodziłeś się w szpitalu przy ulicy Karowej?

Tak, chociaż nie w świetle kamer.

– Mój debiut przed kamerą rzeczywiście miał miejsce zaraz po narodzinach. Prof. Ireneusz Roszkowski prowadził wtedy na Karowej eksperyment. Polegał na tym, że noworodków nie zabierano do wspólnej sali, tylko zostawały przy mamach. Dziś wydaje się to rzeczą naturalną, ale na tamte czasy to było przełomowe podejście.

Eksperyment się powiódł?

– Pytasz o moje relacje z mamą?

Wydaje się, że się powiódł. Mogę jedynie gdybać, o ile mniej kochającym byłbym synem, gdybym wyładował na pourodzeniowej kwarantannie. W każdym razie do szpitala przyjechała ekipa „Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego” i razem z mamą znalazłem się w materiale filmowym. Opowieści o tym, że Piotruś był w telewizji, chyba mnie naznaczyły.

Ale tamtego debiutu nie możesz pamiętać.

– Pamiętam za to zaproszenie na widownię „Wielkiej gry”. Moja babcia tworzyła bukiety z suszonych kwiatów i jedną z jej klientek była Stanisława Ryster. Mogłem mieć wtedy z siedem-osiem lat. Byłem bardzo przejęty, czekałem na momenty, kiedy mam kłaśkać. Pamiętam, jakby to było dziś: doczekałem się w końcu emisji programu i wskazując na czarno-biały ekran telewizora, cały podekscytowany krzyczałem: „O tu siedzę, zobaczcie!”.

Tych wspólnych adresów mamy jeszcze przynajmniej kilka: ulica Grzybowska...

– To czasy studenckie.

...osiedle Jelonki...

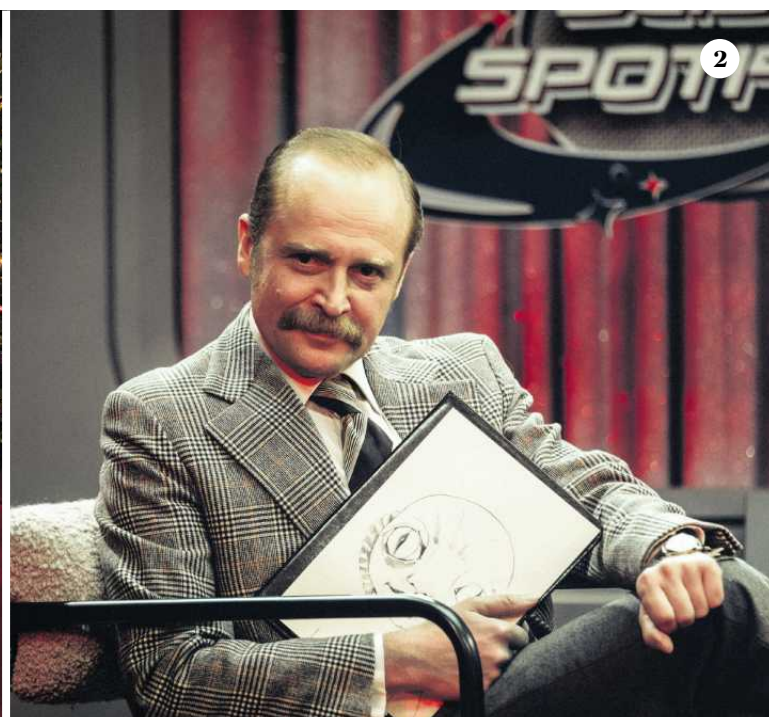
– To moje dzieciństwo. Z okna widziałem dymiące kominy ciepłowni Wola i rozgrzebany plac budowy. Zaorali nam małpi gaj, straszna to była tragedia. Zniknęło drzewo, na które się wspinaliśmy, i krzaki, które były świetną kryjówką, kiedy próbowaliśmy palić pierwsze papierosy.

Nie mogłem się doczekać, aż skończą budowę, bo miałbym blisko na lekcje. Zrozumiałem wtedy, że nie ma co się przywiązywać do planów, bo ja zdążyłem zdać maturę, a szkoły dalej nie oddano do użytku.

Zmieniałeś te szkoły kilka razy.

– W jednej zawalił się dach, przenieśli nas na pół roku gdzie indziej. Wyposażenie pozbierali z magazynów z całej Warszawy. Większość była zepsuta: ławki rozklekotane, krzeselka bez oparc. 100 proc. skoliozy. W VII i VIII klasie jeździłem aż na Żoliborz, prawie godzinę autobusem. Szkoła słynęła z tego, że chodziła do niej Natalia Kukulska.

Wróciłem tam po latach na spotkanie z uczniami. Pani, która je zorganizowała, poprosiła, żebym poczekał chwilę w pokoju nauczycielskim. Budynek wydał mi się tak mały wobec ogromu, jaki zachowa-



łem w pamięci. A potem przyszło kompletne upupienie – ale takie gombrowiczowskie do cna, kiedy zobaczyłem moje nauczycielki od fizyki i geografii. Miałem wrażenie, że się zupełnie nie zmieniły.

Tak byłem zestresowany, że powiedziałem dla rozładowania sytuacji: „Z fizyki to ja już nic nie pamiętam, nawet wzoru H₂O”. „Ale to jest chemia!”. Zrobiłem się cały czerwony.

Moje dzieciństwo to właśnie Grzybowska: spacerzy z dziadkiem na Dworzec Centralny i jazda ruchomymi schodami, co było wtedy atrakcją. Zbieranie kasztanów z mamą w Parku Saskim. I wielki pomnik na placu Żelaznej Bramy, którego się bałem. Po 1989 r. go rozebrali.

– Dobrze pamiętam zrzucanie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego na pl. Bankowym. Zerwaliśmy się wtedy z kolegami z lekcji w liceum. Dookoła zgromadził się tłum. Kiedy dźwig szarpnął linę, rzeźba się rozpadła i runęła na ziemię. Ludzie rzucili się w jej stronę. Wśród nich starsza kobieta z młotkiem, która zaczęła z takim wyzwoleniem lać tego Dzierżyńskiego, dając upust emocjom. Do orla wiszącego w klasie przykleiliśmy koronę wyciętą z żółtego papieru. Strach naszej nauczycielki był ogromny. Czula powiew zmian, ale nie wiedziała, czy za chwilę wszystko się nie odwróci, a wtedy naraziłaby się na konsekwencje. Potrafię to zrozumieć. Dobrze pamiętam relacje między ludźmi w czasach komuny. Z perspektywy dziecka wyglądało to jak życie w sekrecie, tego, o czym dorośli rozmawiają w domu, nie wynosiło się na zewnątrz.

Wciągnąłem mnie w zbawidowe wspomnienia. Swoją drogą te doświadczenia z komuny przydają się czasem na planie, mogę się do nich odwołać.

Jak przy „Projekcie UFO”?

– Na planie pachniało PRL-em, byłem zdziwiony, że uchowały się jeszcze takie lokale z boazerią. Tymczasem okazało się, że to benedyktyńska praca ekip scenograficznych. W tym miniseriale gram prezentera telewizji Jana Polgara, który zajmuje się badaniem kontaktów z UFO. Ma świadomość, że prowadzi program bez sensu, bo za każdym

razem demaskuje mistyfikację, zamiast dążyć do lepszej oglądalności. Aż w końcu trafia na przypadek, który zaczyna mu się wydawać całkiem wiarygodny. Na koniec pokazujemy bałwana i pytamy, kto kogo w tego bałwana chciał zrobić.

Żyliśmy takimi tropami na przełomie lat 70. i 80., pamiętam artykuły o bliskich spotkaniach trzeciego stopnia. Do jednego z nich miało dojść w Emilcinie i to właśnie na motywach tamtych wydarzeń Kasper Bądon napisał scenariusz. Trudno mi mówić o Kasperze jako o reżyserze debiutancie, bo ma tak wprawną rękę i wyczucie. Wychował się na planie, to chyba najlepsza szkoła filmowa. Konwencja, którą zaproponował, wymyka się schematom gatunku. Algorytmowi trudno będzie nas wepchnąć do szufladki.

To także opowieść o sile telewizji.

– Serial odtwarza wygląd studia na Woronicza z ogromnymi kamerami, przeglądem ówczesnej mody i fryzur na widowni. Polgar bez skrępowania pali papierosa na wizji. Dziś nie do pomyślenia. Także tempo tamtych programów było inne. Ile cierpliwości musiał mieć widz!? Kamera pokazuje przez minutę zbliżenie, potem powoli przechodzi na gościa programu, który szuka w głowie odpowiednich słów i ma ten komfort, że nikt mu nie wchodzi w słowo. Dla ludzi przyzwyczajonych do dzisiejszego tempa montażu byłoby to nie do zniesienia.

Autor zdjęć Kuba Kijowski znalazł nietuzinkową kolorystykę, mam wrażenie, że udało się zaproponować coś bardzo nowatorskiego. To nie jest propozycja dla tych, którym podobają się jedynie te piosenki, które już wcześniej słyszeli.

Miałem też przyjemność pobawić się inną komedią.

Inną?

– Taką, która wydaje się niezamierzona. Bo nasi bohaterowie próbują być przeciwieństwem serio. Nawet jeśli, jak Polgar, paradują w żółtych gaciach. A jest taka pokusa u aktora komediowego. Jak widzi, że widownia pęka ze śmiechu, to jeszcze dociska. Krążyła nawet po teatrach, w ramach przestrogi, taka anegdota. Otóż jeden z przedwojennych aktorów, Łapiński mu było, miał swojego

1 • Na promocji serialu „Hawkeye” (Disney+) z kolegami z gangu dresiarzy Carlosem Navarro i Aleksem Paunoviciem. Hollywood, 17.11.2021

FOT. ALBERTO E. RODRIGUEZ/GETTY IMAGES FOR DISNEY

2 • „Projekt UFO” (Netflix) jako prezenter telewizyjny Jan Polgar badający sprawę rzekomego lądowania w Polsce kosmitów

FOT. PIOTR LITWIC/NETFLIX

3 • „Prosta sprawa” (Canal+) jako Kazik, okrutny boss jeleniogórskiej mafii

FOT. PRZEMO PACZKOWSKI/CANAL +

4 • „For All Mankind” (Apple TV+) jako Siergiej Nikułow, szef rosyjskiego programu kosmicznego i Wrenn Schmidt jako Margo Madison, szefowa lotów w NASA

FOT. APPLE TV+

ulubionego widza. Widz ten siadał w pierwszym rzędzie i zaśmiewał się tubalnym głosem, aż do momentu, gdy już nie mógł wytrzymać, uderzał się po udach rękami i krzyczał: „Łapa przestań, bo się zesram”.

A jest coś takiego, w co ty wierzysz? Nie chodzi mi o UFO ani Boga, jakkolwiek go pojmujemy.

– Mam gotową bardzo dyplomatyczną odpowiedź – bo o wiarę wielokrotnie mnie już pytano – że to zbyt intymna kwestia do poruszania w wywiadzie.

W co bym nie wierzył, życie z czasem to weryfikowało. Tak było z wiarą w człowieka czy wiarą w przyjaźń, które rozbiły się o pierwsze rozczarowania. Chyba najbliższej mi dziś do wiary we względność – w to, że sporo zależy od nas, ale możemy mieć najlepsze intencje i najlepiej się starać, ale to jeszcze niczego nie gwarantuje. Żyjemy w pogmatwanym świecie, czasy są bardzo niepewne. Obawiam się tego, co przyniesie sztuczna inteligencja, fake newsy.

A czy z fake newsami nie stało się tak jak z koronawirusem?

– Że się uodporniliśmy?

Chodziło mi raczej o to, że mamy świadomość zagrożenia, ale przyzwyczailiśmy

się do niego, stało się elementem naszej rzeczywistości.

– Miałem przez chwilę postanowienie, że dla własnego zdrowia wycofam się z tej bieżączki, przestanę śledzić newsy. Po co mi te nerwy, będę robił swoje i tyle. Wyjdę z psami, podjęję pomidory. Dostałem w prezencie gramofon, wróciłem do starej kolekcji płyt. Zrobiłem z tego cały ceremoniał, chyba brakowało mi tego po latach mówienia: „Alexa, puść piosenkę”. Ale szybko okazało się, że to „odcięcie się” jest niemożliwe. Trzeba by się odciąć też od ludzi. Bo kiedy się spotykamy, rozmawiamy, gdzie było trzęsienie ziemi, co powiedział Trump i dla czego kurs dolara spada.

Złapałem się na tym, że śledzę wszystkie doniesienia o pożarach w rejonie Los Angeles. Wynajmowaliśmy mieszkanie w Pacific Palisades. Na zdjęciach trudno było mi rozpoznać okolicę, wszystko zamieniło się w pył. Ale nawet wtedy szerzyła się dezinformacja. Wielu ludzi uwierzyło w kadry z płonącym napisem „Hollywood”, a to były obrazy wygenerowane przez AI.

Ty ostatnio dementowałeś plotki o swojej rzekomej przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych.

– Jak wpiszesz w wyszukiwarkę pytanie: „Gdzie mieszka Piotr Adamczyk?”, to Google podaje Los Angeles. Tymczasem ja od urodzenia mieszkam w Warszawie. Nic się w tej kwestii nie zmieniło od ponad 50 lat.

Tak cię to zabolalo?

– Nie wiem, czy zabolalo. Raz – że to nieprawda. Dwa – z takimi newsami przychodzi fala hejtu. Komentarze „zdrajca”, „i bardzo dobrze, że wyjechał, niech nigdy nie wraca” itd. Media podsycają sensacyjnymi tytułami złe emocje, bo to klikalne. Przy okazji ujawnia się niezrozumienie specyfiki naszego zawodu, w który wpisane są podroże.

Do tego pokutuje przyzwyczajenie z PRL-u, że jak ktoś wyjechał za ocean, to znaczy, że musi tam zostać. Samoloty naprawdę często latają.

Zdarzyło mi się grać w amerykańskich produkcjach, równocześnie kręcąc w Polsce kolejną część „Listów do M.”, i to w pan-demii.

Zresztą w Ameryce pracowałem za każdym razem gdzie indziej: w Chicago, Atlancie, Nowym Jorku, właściwie tylko jeden serial robiliśmy w Los Angeles. A zdjęcia do „Nocnego nieba” z Sissy Spacek i J.K. Simmonssem realizowano także w Argentynie. Przez lata produkcja zaczęła się wyносить do Kanady, do Europy. Gubernator Kalifornii próbuje przekonać filmowców korzystnymi zmianami podatkowymi, inaczej Hollywood opustoszeje.

Mnie rozbawił nagłówek materiału wideo: „Piotr Adamczyk oburzył się po pytaniu o zarobki”.
– Ale kliknęłeś?

Oczywiście, że kliknąłem. Bardzo chciałem zobaczyć oburzenie Piotra Adamczyka, który zawsze wydawał mi się wzorem opanowania. A raczej: jakie zachowanie zakwalifikowano jako to oburzenie. Wyobraź sobie moje rozczarowanie, kiedy zobaczyłem, jak kulturalnie odpowiadasz, że na pewne tematy nie rozmawiasz.
– Ty się śmiesz, ale kolejne portale powielają taką bzdurę, nikt nie weryfikuje informacji, i robi się gównoburza. Potem wychodzę na ulicę i mam paranoję, że wszyscy zdążyli ten stek kłamstw przeczytać. Trochę mi zajęło, zanim przestałem się przejmować tym, co piszą.

Pamiętam, jak po którejś premierze załiliem się Gustawowi Holoubkowi, że nasze przedstawienie dostało tylko trzy gwiazdki, a inne – gorsze – ma cztery. Na co Holoubek spytał: „A co ty, Piotruś, koniak jesteś, że się gwiazdkami przejmujesz?”. No racja, nie jestem koniak. Zostały ze mną te słowa. Zrozumiałem, że zdrowiej mi się żyje, gdy nie czytam. Chociaż krytyków spotykam na każdym kroku. Mamy zaskakującą łatwość oceniania innych, i to na jakiejś absurdalnej podstawie.

Weźmy taką sytuację. Rozmawiam z taksówkarzem i nagle on mówi: „Wiozłem kiedyś – i tu pada nazwisko znanej osoby – ale tego to nie lubię”. „A dlaczego?” – dopytuję. „Bo on nic nie mówił”.

O rany, to musiałem wielu taksówkarzom podpaść!
– Ciesz się, że nie jesteś na tyle znany, żeby opowiadali o tym innym pasażerom. Nie wiem, skąd to się bierze. Jakby ten „znany” swoim milczeniem nie dorósł do wyobrażenia, które zbudował sobie o nim pan taksówkarz. Bywa też w drugą stronę. Ile razy słyszałem: „Boże, a ja myślałam, że pan będzie taki sztywny i niedostępny”. Albo się dziwią: „Pan taki normalny”. Ludzie

zakładają chyba, że będę patrzył na nich z góry.
Nie chcę narzekać. Sam bywam po tej drugiej stronie. Spotkałem naprawdę wielkich aktorów. Jednych w pracy – jak Sissy Spacek, innych prywatnie. Miałem na przykład całkiem przyjemną rozmowę z Jude’em Lawem, wymieniliśmy się doświadczeniami związanymi z noszeniem papieskiej sutanny. Wpadliśmy na siebie na parkingu. Za Bongiem Joon-ho, reżyserem „Parasite”, wybiegłem z restauracji. Zapytałem o polskie kino. Wydawał się szczęśliwy, że może się popisać wiedzą. Zauważyłem, że kiedy jesteś sparaliżowany zaszczytą gardę, jeśli potraktować je zupełnie normalnie.
Może niepotrzebnie o tym wspominam, bo zaraz będzie, że się chwaleb.

A nawet jeśli, to co w tym złego? To uroki twojej pracy.
– Pewnie masz rację. Jest coś takiego, że Polacy nie potrafią się chwalić albo uważają, że

Nastaly czasy dla ludzi, którzy potrafią się sprzedąć, ale wierzę, że na koniec dnia liczy się to, z kim się dobrze pracuje, kto jest solidny, niezawodny, dowiezie temat do końca

nie wypada. Może to pokłosie komuny i tego wychowania: „Siedź w kącie, znajdą cię”.
W każdym razie mnie tak wychowano. Bądź skromny, grzeczny, a zobaczysz – docenią cię. Walczę z tym u mojej terapeutki.

Chyba nie każdy musi być przebojowy?
– Nastaly czasy dla ludzi, którzy potrafią się sprzedąć, ale wierzę, że na koniec dnia liczy się to, z kim się dobrze pracuje, kto jest solidny, niezawodny, dowiezie temat do końca.
Zawsze buntowałem się przeciwko budowaniu wyobrażenia o wyjątkowości gwiazd, nadawaniu aktorstwu tej glamo-urowej otoczki.
Na zasadzie: „temu to się życie udało”. Jakby nie było dla człowieka większego mo-

mentu chwały, niż przejść się w blasku fleszy po czerwonym dywanie i rozdawać autografy.
„Projekt UFO” także dotyka tego gwiazdorskiego tematu. Opowiada o cenie, jaką płaci się za telewizyjną sławę. Polgar uwikłany jest w polityczne zależności, bo by utrzymać się na fali, podkłada świnię innym. To jego PRL-owskie gwiazdorstwo wydaje się nam paździerzowe i niewarte zachodu, ale tak naprawdę niewiele różni się od tego, które oglądamy w ściankowych relacjach.
Wielu aktorów źle się czuje na ściance. Przecież to nie jest powód, dla którego trafiliśmy do tego zawodu. W każdym razie nie ja. Największą przyjemność stanowi moment pracy. Mam w ogóle wrażenie, że ku aktorstwu garnie się określony typ ludzi.

Jaki?
– Ja na przykład niedawno zdiagnozowałem u siebie ADHD. Ta diagnoza była dla mnie zaskoczeniem, ale przyniosła też wyjaśnienie pewnych zachowań.
Wiem już, dlaczego mam problemy z długotrwałym skupieniem, szybko się nudzę, odkładam rzeczy na później. Stąd ciągnie mnie do pracy, która jest za każdym razem inna – każdy spektakl, każde ujęcie. Niezwykle jest to, że kiedy słyszę: „Akcja!”, potrafię się momentalnie skoncentrować. Mam wrażenie, że słyszę wtedy więcej niż dźwiękowy. Przede wszystkim chodzi jednak o skupienie na partnerze: czekam na to, czy mnie zaskoczy, jak powie swoją kwestię, z jaką emocją, żeby być gotowym na odpowiedź.

Nie tęsknisz za teatrem?
– Nic nie zastąpi żywego, bezpośredniego kontaktu z publicznością. To oczywiście banał, ale socjologia widowni zawsze mnie fascynowała. Bo to od publiczności zależy, że każdy wieczór z tym samym przedstawieniem potrafi być inny. Pamiętam, jak co jakiś czas graliśmy spektakle, które były wykupione dla przedstawicieli konkretnej grupy zawodowej, np. dla lekarzy.
Raz mieliśmy przed sobą samych psychiatrów, których w ramach promocji leku zaprosił jeden z koncernów farmaceutycznych.
Chociaż graliśmy komedię dell’arte, nie usłyszeliśmy nawet szmeru. Zastanawialiśmy się, czy przez cały spektakl analizowali typy osobowości naszych postaci. Z kolei pracownicy korporacji śmiali się tylko wtedy, kiedy zaśmiał się prezes.
Ale chyba najbardziej brakuje jeszcze czegoś innego. Pot i zmęczenie w trakcie spektaklu pozwala się pozbyć nagromadzo-

nych emocji, działa terapeutycznie. Z jednej strony może bym i chciał wrócić, z drugiej – nie wiem, czy nie zjadłby mnie stres. Kiedyś myślałem, że trema z czasem przejdzie, ale obserwując Bronisława Pawlika, zrozumiałem, że nie.
Ktoś mi kiedyś powiedział, że póki się czuje trewę, póty jest sens wchodzić na scenę.
– Co nie zmienia faktu, że to wejście na scenę jest jednak wyjściem ze strefy komfortu. Powody mojego rozstania z teatrem były prozaiczne. Coraz trudniej było mi pogodzić zaplanowane z wyprzedzeniem spektakle z wyjazdami na plan filmowy czy festiwalu.

Kiedy zadzwoniłem do ciebie, ważyły się losy kolejnego projektu.
– Niestety, nic z tego nie wyszło. Powiem bardzo ogólnie, bo nie lubię mówić o rzeczach, których ostatecznie nie zagrałem. Bywa tak, że przychodzi propozycja, która mogłaby zmienić karierę. Ale człowiek już się na coś wcześniej umówił i nie sposób pogodzić terminów. Chodzi o lojalność, taką, którą wynosi się właśnie z teatru.
Dziękuję. To chyba pierwszy wywiad od lat, w którym obyło się bez Jana Pawła II. ●

Piotr Adamczyk

• Urodził się w 1972 roku w Warszawie. Znany aktor filmowy, teatralny i serialowy, ma też na koncie wiele ról dubbingowych. W ostatnich latach z powodzeniem występował w amerykańskich produkcjach, m.in. u boku Sissy Spacek i J.K. Simmons’a w „Nocnym niebie” oraz „For All Mankind” przedstawiającym alternatywną wizję wyścigu kosmicznego. Najwięcej uwagi poświęcono barwnej postaci dresiarza, jaką stworzył w innym serialu, marvelowskim „Hawkeye”. Jak mówi, w końcu zaczął znowu dostawać ciekawsze propozycje w Polsce. W ubiegłym roku zagrał m.in. w „Prostej sprawie”, „Klarze” i „Zakładnikach” (czeka na premierę w Polsce). Wrócił też do roli Szczepana Lisieckiego w szóstej już części świątecznych „Listów do M”. Wszechstronne aktorstwo pokazał ostatnio w „Projekcie UFO” Netflixa. Już 22 maja w serwisie SkyShowtime premiera serialu „Langer”, gdzie wciela się w ścigającego seryjnego mordercę prokuratora Olgierda Paderewskiego „Paderborna”. Na premierę czeka też komedia „Seks dla opornych”.

OŚCZESZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376239

DO 24 MAJA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na czerwiec u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZAS
CO NAJMNIEJ
28 zł



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.



Wychać sorać wszystkie ważne

– Zespół zrobiłem dla Adeli, mojej siostry, która jest osobą z niepełnosprawnością intelektualną. Gdybym pracował w Ministerstwie Kultury, to wszędzie bym się chwalił tym projektem – Marcel Baliński opowiada o Współgłosach i ich nagrodzonej Fryderykiem płytce.

JAREK SZUBRYCHT: W Polsce osoby z niepełnosprawnościami są niemal niewidzialne. Jeśli ktoś je zauważa, to zwykle dlatego, że ma jakieś osobiste

doświadczenia, rodzinne lub zawodowe. Jak jest u ciebie?

MARCEL BALIŃSKI: Teraz to już jedno i drugie. Cały zespół zrobiłem dla Adeli, mojej siostry, która jest osobą z niepełnosprawnością intelektualną. Jej marzeniem było śpiewanie i występowanie na scenie, więc założyłem Współgłosy. Ada jest ode mnie starsza, wychowywałem się z nią. Niepełnosprawność w rodzinie oznacza, że jest przeżywane w wielu kwestiach, ale jest w tym też dużo koloru, a we współtworzeniu z Adą znalazłem dużo radości.

Arteterapia nie jest nowością, ale w Polsce najczęściej oznacza zajęcia plastyczne, manualne. Sporadycznie trafiają się zajęcia muzyczne. Dlaczego?

– W sztukach plastycznych jesteśmy bardziej przyzwyczajeni do awangardy. Tymczasem dla większości społeczeństwa dobra muzyka oznacza, że ktoś śpiewa czysto.

Wiem z własnego doświadczenia, że kiedy wejdiesz na warsztaty terapii zajęciowej (WTZ) i poprosisz ich uczestników, żeby zaczęli śpiewać, większość będzie śpiewała nieczysto.

Ludzie nieczystości się boją.

Dla większości osób zajmujących się muzyką to nie do przyjęcia. Uznają, że nie ma potencjału, nie ma nad czym pracować. Moim zdaniem – wręcz przeciwnie. Współgłosy powstały również po to, by zachęcić ludzi do podobnych działań. Nie chcę tego trzymać dla siebie. Bardzo chętnie podzielię się moimi metodami pracy z osobami z niepełnosprawnościami. Zachęcam prowadzących zajęcia w ramach WTZ-ów, by się do mnie odzywali.

Dlaczego mieliby to robić?

– Przez jakiś czas we Współgłosach śpiewał Piotrek, który był bardzo cichy i zamknięty w sobie, a ja czułem, że musi się wykrzyczeć. Podpowiadała mi to intuicja, może wynikająca z ciągłego obcowania z osobą z niepełnosprawnością.

Po pierwszym roku pracy nagrywaliśmy indywidualne improwizacje głosowe, wymyśliłem im takie ćwiczenie. „Możesz zrobić, co chcesz” – mówię mu. „Ale jak to?” – nie mógł uwierzyć, że może zrobić wszystko. „Stary, co tylko chcesz. Możesz na przykład krzyczeć” – tłumaczę.

„Naprawdę?” – ten ping-pong trwał z piętnaście minut. Aż wreszcie zaczął krzyczeć i krzyczał bardzo długo. Krzyczał z uśmiechem, ale też z cierpieniem, emocje się zmieniały. Bardzo dużo mu to dało, podziękował mi za to. Myślę, że to nie jest jedyny podopieczny warsztatów terapii zajęciowej, który potrzebowałby pokrzyczeć.

Swoją drogą po dwóch latach spędzonych we Współgłosach przyszedł do mnie i powiedział, że już ma dość śpiewania, od teraz będzie malował obrazy. „Super, bardzo się cieszę, że masz tak uświadomione potrzeby i potrafisz je komunikować” – ja na to. I Piotrek już u nas nie śpiewa.

Podoba mi się twoja teoria, że muzyki w polskiej arteterapii jest mało, bo ludzie nie cenią awangardy. Ja mam inną. Sądzę, że nie namawia się osób z niepełnosprawnością do muzykowania, bo i tak sporo przy nich pracy, ale kiedy coś malują lub sklejają, są względnie cicho. Zachęcać ich do hałasowania? Po co komu taki kłopot?

– Tu docieramy do sedna Współgłosów. Pewnego dnia pojawiłem się na warszta-



Z KOMPOZYTOREM
MARCELEM BALIŃSKIM
ROZMAWIA
JAREK SZUBRYCHT
ZDJĘCIE
DAWID ŻUCHOWICZ /
AGENCJA WYBORCZA.PL

sprawy

tach terapii zajęciowej Frajda w Łodzi i zacząłem z ich uczestnikami współpracować, w ogóle nie myśląc o takich rzeczach. Po prostu to robiłem, dla Ady, dla siebie. Od początku traktowałem ich jako równych sobie, co pozwoliło na szybkie, intensywne postępy w ich możliwościach wykonawczych.

Dopiero kiedy Ministerstwo Kultury nie dało pieniędzy na naszą płytę, pięć innych instytucji też nam odmówiło, dało mi to do myślenia. Dostaliśmy tylko stypendium artystyczne od Łodzi i symboliczne wsparcie od fundacji LodzArte, ale żeby wydać płytę, musieliśmy zrobić zrzutkę oraz pozyskałem kilkanaście tysięcy od żony. Wtedy zacząłem się zastanawiać, że może jest tak, jak mówisz, że nikt tego nie potrzebuje... Tupnąłem nogą i powiedziałem: „Nie! Wszyscy bardzo tego potrzebujemy!”.

Do czego?
– Współgłosy to normalizowanie niepełnosprawności. Stanowią jedno z najbardziej fascynujących i znaczących zjawisk muzycznych oraz artystycznych ostatnich lat na polskiej scenie. Muzyka jest jedną z naj-

ciekawszych form dostępności, kontaktu z osobami z niepełnosprawnościami.

Również komunikacji z nimi. Piotrek wykrzyczał ci to wszystko, czego nie umiał powiedzieć.
– My mamy na scenie najważniejsze sprawy do wykrzyczenia, wyszumienia, wydzwonienia swoimi głosami oraz na tych wszystkich przeszkodzajkach. Mamy tyle ważnych spraw do wyhałasowania! Do tego dochodzi warstwa literacka naszego projektu. Uważam, że jest wspaniała. Każdemu z autorów udzieliłem tylko jednej wskazówki – powiedziałem, że to ma być o miłości. Utwory Współgłosów są różnymi spojrzeniami na miłość, różnymi jej interpretacjami. Połowę napisałem sam, połowę przyjaciele. Zachęcałem też chórzystów, ale nie chcieli. Jestem przekonany, że uda się na którejś z naszych kolejnych płyt.

Będą następne?
– Oczywiście, że tak. Jako obywatel tego kraju chcę, żeby takie projekty istniały, żeby były stale obecne na naszym rynku. Gdybym pracował w Ministerstwie Kultury, wszędzie bym się chwalił takim projektem. Jego inkluzywnością, parytetem płci i jego unikatową, ogromną wartością artystyczną. Czego jeszcze więcej chcecie? Ludzie po koncertach piszą SMS-y, podchodzą do chóru...

Chór nie ma nic przeciwko temu?
– Sam zachęcam do tego publiczność. „Skończył się koncert, więc teraz podchodzimy i gratulujemy – mówię ze sceny. – Teraz jest czas na integrację”.

Wiesz, w którą stronę to poszło? Chórzyści sami podchodzą do widowni, ściskają każdą rękę i mówią: „Dziękuję. Super, że przyszedłeś nas posłuchać”. Udało nam się odwrócić sytuację. We Współgłosach to nie my przychodzimy z czymś do osób z niepełnosprawnościami, ale one przychodzą do nas.

Edukacja muzyczna w Polsce nie zachęca do kreatywności, do indywidualnej ekspresji. Może dlatego nie dostaliście instytucjonalnego wsparcia?
– Uczę gry na pianinie dziewczynę, która chodzi teraz do czwartej klasy podstawówki. Na początku roku szkolnego jej mama powiedziała do mnie z przerażeniem w oczach: „Słuchaj, Marcel, parę razy przejrzałam plan lekcji i tam w ogóle nie ma muzyki. Ani godziny, nawet pół godziny, nic nie ma”.

Bardzo chętnie porozmawiam z ludźmi, którzy za to odpowiadają, i coś zaproponuję. Mam bardzo dużo pomysłów i chętnie się nimi podzielę.

Nasz projekt spełnia również funkcję edukacyjną. Nasze koncerty są lekcjami muzyki.

Weźmy na przykład utwór „Ach, ukochana, proszę, nie smuć się”. To bardzo szalona, abstrakcyjna improwizacja. W pewnym momencie gram na fortepianie tylko prawą ręką, jeżdżąc dłońią po klawiaturze. Cała ta awangarda opakowana jest w dwa klastyry o klasycznym charakterze – piękną beginę, w której wszyscy śpiewamy: „Ach, ukochana, proszę, nie smuć się/ Przecież taki piękny dzień/ I choć już nie kochasz mnie/ To wiedz, że ja chyba wciąż...”.

Masz tu ładną melodyjkę, taneczny rytm, a potem – dzień dobry, wkracza improwizacja. Jest to forma zaproszenia do świata muzyki improwizowanej i eksperymentalnej przez ubranie jej w to, co dla wszystkich przyjemne – piękną melodię.

Nagraliście ze Współgłosami płytę, która w dodatku zrobiła niemało zamieszania. Twój trud skończony?
– Będą kolejne. Mam również pomysł na dwie kolejne odsłony tego projektu.

Przed wszystkim trasa koncertowa po szkołach podstawowych. Gramy koncerty i przy okazji pokazujemy osoby z niepełnosprawnościami. Można z nimi rozmawiać, przybić piątkę, zrobić sobie razem zdjęcie

■

Współgłosy to normalizowanie niepełnosprawności. Stanowią jedno z najbardziej fascynujących i znaczących zjawisk muzycznych oraz artystycznych ostatnich lat na polskiej scenie. Muzyka jest jedną z najciekawszych form dostępności, kontaktu z osobami z niepełnosprawnościami

i nawet zagrać muzykę. Mam też pomysł na WTZ-y, na razie warszawskie, bo tu mieszkam. Chciałbym objechać je wszystkie, w każdym zrobić jeden numer i skleić z tego płytę.

Oddam im za darmo swoje pomysły i jeszcze zrobimy razem fajną piosenkę, gdzie każdy będzie wymieniony z imienia i nazwiska, będzie doceniony. Ten projekt jest również po to, by otworzyć innych polskich muzyków.

Są pozamykani?
– Żeby poczuć się zrozumianym, musiałem wyjechać na studia do Szwajcarii, do Djan-go Batesa. U nas jak grasz nieczysto albo nierówno, to koniec. Coltrane? Tylko to, co zrobił do początku lat 60.

Wolność w muzyce to jedno, ale mimo wszystko Współgłosy wymagają pracy zespołowej, a więc pewnego rodzaju dyscypliny.
– Zwracam się do moich chórzystów w zupełnie normalny sposób. Jakbym był dyrygentem orkiestry złożonej z profesjonalistów. Kiedy robi się bałagan i coś mi się nie podoba, mówię do nich tak, jak powiedziałbym do kolegi muzyka z innego zespołu. Ostatnio polecałem wręcz bardzo daleko, zapowiadając, że wywiozę ich na wyspiisko śmieci...

Oczywiście, to wszystko w formie żartu, który uchodzi pomiędzy przyjaciółmi. Ale masz rację, dyscyplina jest bardzo potrzebna. Przed każdym koncertem jeżdżę do Łodzi na próby po to, żebyśmy 30 razy zaśpiewali tę samą melodyjkę. Tu muszę się pokłonić Marzenie, jednej z terapeutek warsztatu. Ja po trzech latach byłem przekonany, że oni doskonale znają nasz materiał, są gotowi. „Marcel, musisz z nimi to przerobić” – ona na to. Miała rację.

„Współgłosy” zostały nagrodzone Fryderykiem w kategorii album roku – jazz eksperymentalny / współczesna muzyka improwizowana. Zaskoczyło cię to czy szedłeś jak po swoje?
– Byłem w szoku. Mówilem o tym, odbierając statuetkę, że kiedy nasz kontrabasista skończył nagranie, wyszedł ze studia, rozłożył ręce i powiedział: „No to co? Widzimy się na Fryderykach?”. Parsknąłem śmiechem: „W jakiej kategorii?”. Po kilku miesiącach okazało się jednak, że pojawiła się nowa kategoria, do której chyba pasowaliśmy najlepiej z wszystkich nominowanych. Mimo to nie liczyłem na zwycięstwo. Konkurowaliśmy z dużymi nazwiskami i myślałem, że jesteśmy bez szans.

Zresztą już samą nominacją tak się nacieszyłem, że nie musieli nam dawać tej nagrody. Ważniejsze dla mnie było to, że ZPAV pozwolił całemu zespołowi przyjąć na galę. Dla mojej grupy z warsztatów terapii zajęciowej uczestnictwo w tej uroczystości i zobaczenie tych wszystkich fajnych koncertów było wielkim przeżyciem.

Uświadomiłem sobie, jak bardzo mnie samemu był potrzebny ten Fryderyk. Zwró-

cili mi się cztery lata intensywnej pracy i bardzo się do tego uśmiecham.

Odbierając Fryderyka, wytknąłeś Ministerstwu Kultury brak dotacji. A może oni uznali, że twój wniosek został źle zaadresowany? Skoro mówisz, że to edukacja, proszę iść do Ministerstwa Edukacji Narodowej, a jeśli integracja, to zapraszamy do Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.
– Niby tak, ale przede wszystkim to jest muzyka. Wszystkie wymienione przez ciebie elementy wyrażają się w dźwiękach, kompozycji, na scenie, w sztuce. Poza tym wnioskowaliśmy o wsparcie w nagraniu płyty, stąd Ministerstwo Kultury.

Może nie od razu doceniono twój zespół, bo osoby z niepełnosprawnościami często postrzegane są wyłącznie przez pryzmat owej niepełnosprawności, jakby była jedyną definiującą je cechą. Zamiast zastanawiać się nad tym, czy to dobra, czy niedobra muzyka, wielu pewnie zatrzyma się na informacji, że Współgłosy to ten zespół, w którym śpiewają OzN.
– Byłoby mi bardzo przykro, gdyby w ministerstwie ktoś tak myślał. Niestety, często jest tak, jak mówisz, co przecież nie oznacza, że powinniśmy przestać próbować dążyć do zmiany. Jestem przekonany, że muzyka Współgłosów jest wysokiej jakości, występy sceniczne są niezwykle jakościowe i jesteśmy na polskim rynku tworem wyjątkowym. Zaproszenie na dwa koncerty od Męskiego Grania – w Gdańsku i Warszawie, gdzie gramy na głównej scenie! – dostaliśmy nie dlatego, że mamy w zespole osoby z niepełnosprawnościami. Dorota Harasimowicz, która bukuje Męskie Granie, była na naszym koncercie w Trójce i bardzo jej się podobało. Stwierdziła, że nasza muzyka jest wyjątkowa i chciałaby, żeby jak najwięcej ludzi ją usłyszało. Jest jakieś światelko w tunelu.

Jestem niepoprawnym marzycielem i mam nadzieję, że kiedyś to, kto robi muzykę, nie będzie miało żadnego wpływu na to, czy ludzie będą chcieli jej słuchać. Liczyć się będzie tylko muza.

Myślisz, że wasze pięć minut sławy może się przerodzić w coś więcej?
– Wierzę, że tak będzie. Łódzki festiwal Letnia Akademia Jazzu zaproponował mi zrobienie w sierpniu cyklu warsztatów zwieńczonego koncertem. Postanowiłem odezwać się do wszystkich warsztatów terapii zajęciowej w mieście, żeby tym razem zebrać nie 12 osób, ale może 112. Zrobimy jedną wielką orkiestrę. Zmienia się więc świadomość organizatorów festiwalu, w czym pomaga ministerialny program „Kultura dostępna” pozwalający to wszystko finansować.

Oczywiście, daleko nam jeszcze do poziomu Europy Zachodniej. Gdyby Współgłosy powstały w Szwajcarii, nie musiałbym prosić dwa razy o pieniądze. Może u nas są inne priorytety? A może podobnych inicjatyw jest zbyt mało, więc ludziom się wydaje, że nikt nie będzie chodził na koncerty osób z niepełnosprawnościami? Tymczasem za chwilę będziemy mieli wyprzedany koncert w Teatrze Píno-kio w Łodzi. Bardzo się tym jaram. ●

Marcel Baliński

• Rocznik 1995. Pianista, kompozytor, improwizator. Grał jazz i okolice m.in. w Jerry & The Pelican System, RASP Lovers, z Wojtkiem Mazolewskim i we własnych Marcel Baliński Trio i Entropia Ensemble. Założyciel i lider zespołu Współgłosy, w którym jazzowe trio współpracuje z chórem złożonym z podopiecznych warsztatu terapii zajęciowej osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi Frajda w Łodzi. Ich debiutancka płyta, zatytułowana po prostu „Współgłosy”, została nagrodzona Fryderykiem.

Źródło wiecznej młodości

Noblista: te trzy rzeczy pomagają zestarzeć się dobrze

Z **VENKI RAMAKRISHNANEM**, NOBLISTĄ,
KIERUJĄCYM ZESPOŁEM BADAWCZYM W LABORATORIUM BIOLOGII MOLEKULARNEJ MRC W CAMBRIDGE
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Otwiera pan swoją książkę [„Dlaczego umieramy. Co nauka mówi o starzeniu się ...”] dedykacją: „Dla Very, mojej towarzyszk w starzeniu się, aż do śmierci”.

– Moja żona. W czerwcu miała 50 lat, odkąd jesteśmy razem, więc jak pan widzi – nie, mijam się z prawdą.

Vera pomogła mi zachować równowagę między pracą i życiem prywatnym. Wspierała mnie w kluczowej w mojej karierze decyzji, by opuścić Utah, gdzie byliśmy bardzo szczęśliwi, i przenieść się do Cambridge w Wielkiej Brytanii, gdzie czekała mnie o 40 proc. niższa pensja. Ale dzięki temu mogłem przeprowadzić badania, za które w 2009 r. dostałem Nobla.

To był Nobel za rybosomy – fabryki białek w komórkach naszego ciała, które są swoistym silnikiem życia. A teraz pan pisze o umieraniu.

– Pomyślałem, że to dobry moment, żeby napisać taką książkę, bo poczyniliśmy duży postęp w zrozumieniu, czym jest starzenie. Po raz pierwszy w historii mamy podstawy, by rozważać: czy możemy coś z tym zrobić? Czy da się ten proces spowolnić, a może nawet cofnąć?

To o tyle ważne, że wszystkie kraje rozwinięte się starzeją. Współczynnik urodzeń spada, a długość życia utrzymuje się na wysokim poziomie lub nadal rośnie. Więc rośnie też odsetek ludzi starszych. A ludzie się boją starzenia i śmierci, co sprawia, że są bardzo podatni na różnego rodzaju sensacje i marketingowe obietnice.

Takie, że łąda chwila odkryjemy eliksir życia?

– Jeden ze start-upów w Cambridge koło Bostonu nawet został nazwany Elixir Pharmaceuticals. Założyli go znani naukowcy.

Można już u nich kupić ten eliksir?

– A gdzie tam! W tej dziedzinie krąży wyjątkowo dużo przesadnych twierdzeń. Także naukowcy głoszą niewiarygodne rzeczy – np. że ludzie będą żyli po 150 lat – i często mają w tym interes, bo są powiązani z firmami zajmującymi się „terapiami przeciwarzeniowymi”.

Te firmy powstają jak grzyby po deszczu, ich łączna wartość rynkowa sięga dziesiątek miliardów dolarów. Wiele z nich ma w swoich radach doradczych wybitnych naukowców – laureatów Nagrody Nobla, którzy z tematyką starzenia się nie mają nic wspólnego poza tym, że są starzy.

Uznałem, że warto, by na ten temat wypowiedział się ktoś, kto rozumie wyniki badań, zna literaturę naukową, a nie jest stron-

możemy oddać całe organy, jak nerki czy serce, innym ludziom do przeszczepu.

Skoro nasze komórki żyją w chwili śmierci, to co właściwie wtedy umiera?

– Kiedy mówimy o „śmierci”, mamy na myśli to, że system przestaje działać jako całość – jako zintegrowany organizm, człowiek. A to zwykle dzieje się wtedy, gdy zawodzi jakiś kluczowy układ – serce, mózg, nerki...

doświadczył pan już jakiegoś „nagłego” momentu?

– Miałem na myśli już bardzo końcowy etap życia – na szczęście jeszcze tam nie dotarłem. Na razie jestem w fazie „powoli”. Przykład? Moje prawe kolano i prawy bark – nie działają już tak jak 10 lat temu. Nie mogę już biegać, więc jeżdżę na rowerze albo robię ćwiczenia z mniejszym obciążeniem. Nie mogę też podnosić ciężkich rzeczy, jak kiedyś, bo mam zwyrodnienie stawu barkowego.

poziomie. Zaczyna się od DNA – czyli naszego „kodu źródłowego”. DNA zawiera geny, a geny to instrukcje do produkcji białek. Jeśli ten program zostanie zakłócony – bo DNA się uszkodzi albo zmieni – to cała produkcja białek też przestaje działać prawidłowo.

Ale nawet jeśli geny działają poprawnie, same białka mogą zostać źle złożone – mogą mieć złą strukturę, być niskiej jakości. A wtedy nie pełnią swoich funkcji tak, jak powinny. W efekcie całe procesy komórkowe się psują.

Źródłem kłopotów są mitochondria – małe „elektrownie” w naszych komórkach, gdzie odbywa się wiele reakcji z udziałem tlenu. I jeśli tlen nie zostanie w pełni przekształcony, powstają tzw. reaktywne formy tlenu, czyli wolne rodniki, które mogą uszkadzać komórki.

Na dodatek mitochondria mają własne DNA – i ono częściej jest kopiowane z błędami. Z czasem te błędy się kumulują, a mitochondria zaczynają działać coraz gorzej. A bez nich komórki tracą energię i zdolność do regeneracji.

I co się dzieje dalej?

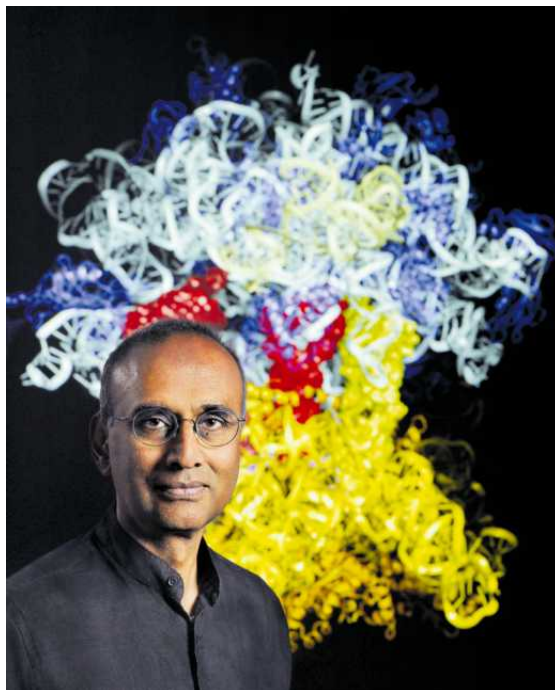
– Komórki zaczynają doświadczać stresu – i część z nich wchodzi w stan, który nazywamy senescencją. To znaczy, że komórka już się nie dzieli. To może być korzystne – np. gdy komórka jest uszkodzona i nie chcemy, żeby się rozmnażała, bo mogłaby dać początek nowotworowi.

Komórka w stanie senescencji wydziela cząsteczki zapalne – to takie sygnały alarmowe dla układu odpornościowego: „przyjdź i posprzątaj”. I do pewnego momentu wszystko działa sprawnie, jak w dobrze zarządzanym mieście.

Problem pojawia się z wiekiem. Bo z jednej strony mamy coraz więcej uszkodzonych komórek, a z drugiej – układ odpornościowy działa coraz słabiej. W efekcie te stare, nieaktywne komórki są za wolno usuwane, zaczynają się gromadzić. Tworzą stan przewlekłego zapalenia – a to uszkadza narządy, pogarsza funkcjonowanie tkanek i przyspiesza starzenie.

Im więcej uszkodzeń, tym więcej zapalenia. Im więcej zapalenia, tym więcej uszkodzeń.

Wpadamy w błędne koło.



Venki
Ramakrishnan
Osoby, które mają
powód, by wstać
rano, żyją dłużej.
To nie tylko slogan
– to widać w danych

niczy, bo nie ma udziałów w tym biznesie. Sam nie badam bezpośrednio procesów starzenia się, choć synteza białek w rybosomach ma tu znaczenie.

Oczywiście, mam swoje preferencje, jak każdy, ale przynajmniej nie z powodu finansowego zaangażowania.

Co dokładnie dzieje się z nami, gdy się starzejemy? Co tak naprawdę prowadzi do śmierci?

– Jest w śmierci coś bardzo intrygującego. Z jednej strony – kiedy się starzejemy, miliony komórek w naszym ciele nieustannie umierają i na co dzień nawet tego nie zauważamy. Co więcej, wiele z nich musi umrzeć – to część normalnego funkcjonowania organizmu.

Z drugiej strony – w chwili naszej śmierci większość komórek nadal żyje. Właśnie dlatego

W każdym razie to, co tracimy w momencie śmierci – nieodwracalnie – to zdolność do funkcjonowania jako spójna, świadoma całość.

Dawniej śmierć definiowano jako zatrzymanie akcji serca – jeśli serce przestaje bić, człowiek umiera. Ale potem okazało się, że można człowieka przywrócić do życia – poprzez resuscytację krążeniowo-oddechową.

Dlatego dziś w większości krajów zgon określa się jako śmierć mózgu. Jeśli fale mózgowe ustają, jeśli mózg przestaje działać w sposób nieodwracalny – uznaje się, że nastąpiła śmierć. I taka jest obecnie funkcjonalna definicja.

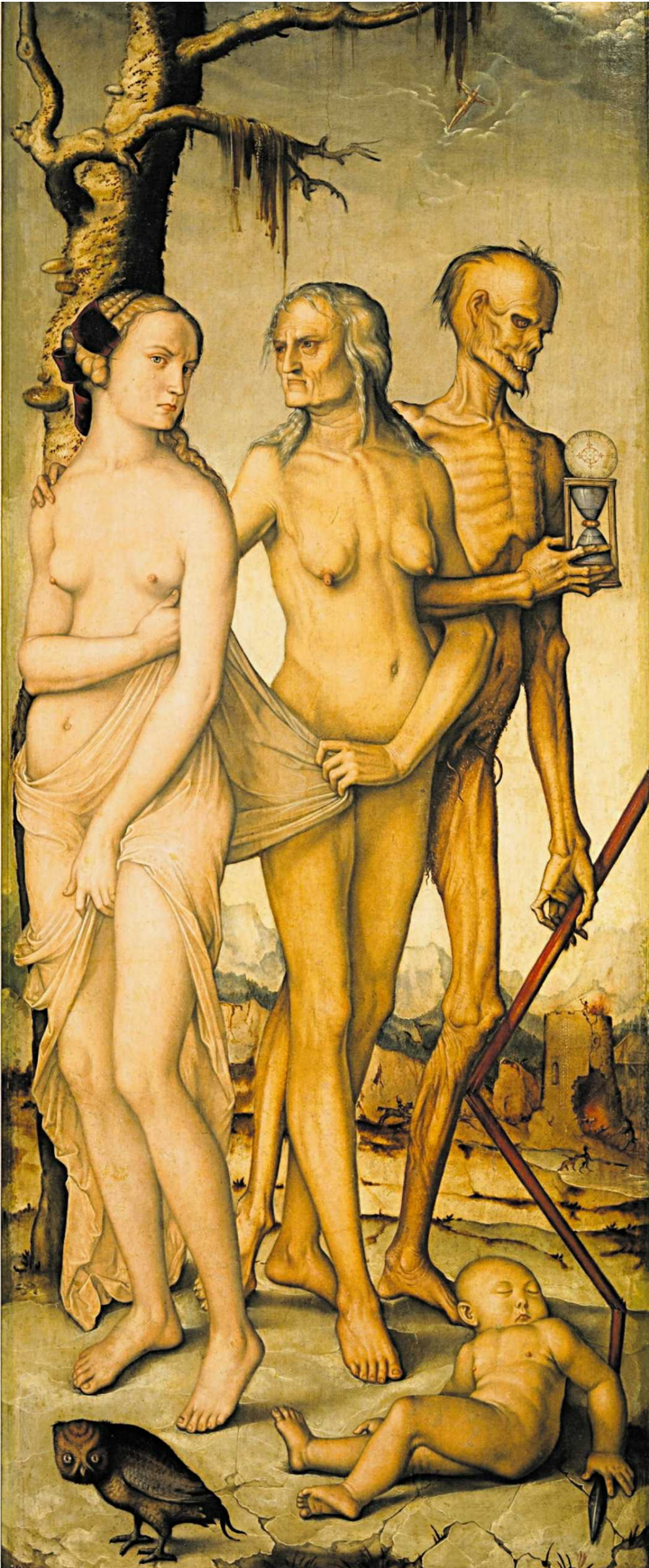
Pisze pan, że starzenie przypomina bankructwo: najpierw dzieje się stopniowo i powoli, a potem nagle przyspiesza. Czy

A poza tym... cóż, niedawno zostałem potrącony na rowerze – przewróciłem się i zdarłem skórę z kolana. Minał ponad miesiąc, a rana dopiero zaczyna się goić. Gdyby mój 12-letni wnuk przewrócił się w ten sam sposób – po trzech dniach nie byłoby śladu.

To właśnie takie rzeczy – wolniejsze gojenie, słabsze mięśnie, gorsza koncentracja – składają się na proces starzenia. Zmienia się i ciało, i umysł – ale ja ich nie rozdziałam, bo mózg też jest częścią ciała. To wszystko jeden organizm.

Ale co sprawia, że skóra na kolanach zaczyna się wolniej goić, co nam osłabia koncentrację? Co dokładnie się dzieje w naszym ciele?

– Można ogólnie powiedzieć, że starzenie to kumulowanie się zmian i uszkodzeń w organizmie. A te mogą zachodzić na każdym



– Do tego dochodzi pogarszająca się komunikacja między komórkami, osłabienie układów regulacyjnych – wszystko zaczyna się rozłazić.

I my to odczuwamy: bóle stawów, zmęczenie, problemy z koncentracją. U ich źródła leżą zmiany molekularne i komórkowe. One poprzedzają objawy, które widzimy na zewnątrz.

Czy to wszystko jest naprawdę nieodwracalne? Czy można jakoś zatrzymać tę degradację albo „wyleczyć”?

– Tam, gdzie rozumiemy, co się dzieje, możemy myśleć o spowolnieniu procesów starzenia. Testujemy wiele podejść.

Na przykład?

– Można pobudzić mechanizm „sprzątania”, w którym komórka rozkłada i recyklinguje uszkodzone białka czy mitochondria, a który z wiekiem staje się mniej wydajny.

Wiemy, jak to zrobić?

– Jednym z najprostszych sposobów jest ograniczenie kalorii. Jeśli radykalnie zmniejszymy ilość jedzenia, uruchamiamy w komórkach te same szlaki sygnałowe, które stymulują recykling i ograniczają syntezę białek. To znaczy: produkujemy ich mniej, ale lepiej.

Badania pokazały, że restrykcja kaloryczna wydłuża życie myszy, a starsze osobniki wyglądają i funkcjonują jak młode. Podobne efekty zaobserwowano u niciani czy muszek owocowych, czyli w modelowych organizmach, na których łatwo przeprowadza się eksperymenty.

Muszki można zmusić, ale ludzi chyba trudno skłonić do tego, aby ograniczyli się w jedzeniu.

– Ale pomysł był taki, że może da się znaleźć leki, które „naśladują” efekt głodówki, bez konieczności głodzenia się.

I te leki już istnieją?

– Trwają badania nad wieloma z nich. Najbardziej znanym przykładem jest rapamycyna. To lek, który hamuje produkcję białek – działa na szlak TOR, jeden z kluczowych szlaków związanych ze starzeniem. Rapamycyna jest bardzo popularna wśród entuzjastów długowieczności. Problem w tym, że – jak każda interwencja – ma skutki uboczne.

Jakie?

– Spowalnia gojenie ran. Wspominałem, że moje kolano goi się powoli – rapamycyna jeszcze by to pogorszyła. Poza tym obniża odporność – to przecież lek immunosupresyjny, stosowany u pacjentów po przeszczepach. Osłabienie układu odpornościowego zwiększa ryzyko infekcji.

Niektórzy próbują podawać rapamycynę w małych dawkach – tak, żeby zmniejszyć efekty uboczne, ale zachować korzyści. To nadal kwestia otwarta. Trwają badania kliniczne. Wielu jednak nie czeka i bierze lek na własną rękę.

To charakterystyczne dla całego pola badań nad starzeniem:

• **Hans Baldung. Alegoria „Trzy etapy życia kobiety i śmierć (1540-43). Olej na drzewie wiśniowym. Obraz w zbiorach Muzeum Prado w Madrycie**

mamy obiecujące wyniki z badań na zwierzętach – i natychmiast pojawia się ekscytacja. Ludzie zaczynają to próbować na sobie, często naukowcy, lekarze, osoby dobrze wykształcone. To pokazuje, że nawet oni – choć muszą być racjonalni w swojej pracy – nie zachowują zdrowego rozsądku w obliczu własnej śmiertelności.

Jak już mówiłem – starzenie to nie tylko proces biologiczny, ale również emocje i strach przed śmiercią.

Co jeszcze budzi nadzieję oprócz rapamycyny?

– Jest grupa leków określanych mianem senolityków. Mają za zadanie zabijać starzejące się komórki, tzw. senescentne, które już się nie dzielą, a wydzielają szkodliwe cząsteczki zapalne. Niedawne badania na myszach pokazały, że jeśli usuniemy te komórki, organizm działa lepiej: zmniejsza się stan zapalny, poprawia się funkcja tkanek, procesy starzenia spowalniają. Zwierzęta są bardziej aktywne i dłużej walczą z nowotworami. Żyją o około 20-30 proc. dłużej. Tylko że...

...to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Co tym razem się nie udaje?

– Problemem jest selektywność. Musimy mieć pewność, że lek zabija tylko komórki senescentne, a nie zdrowe. Musimy też dobrać dawkę, poznać długofalowe skutki. Na razie jesteśmy na etapie bardzo wstępnych badań. Ale kierunek jest ciekawy.

Innym obiecującym tematem jest odmładzający wpływ młodej krwi.

No proszę, w legendach o Draculi jest szczypta prawdy.

– To pomysł oparty na eksperymentach z tzw. parabiozą, czyli łączeniem układów krążenia młodego i starego zwierzęcia. Przeprowadzano je już w XIX wieku, ale ta dziedzina przeżywa teraz, że tak powiem, drugą młodość. Powodem są udane eksperymenty łączenia starych i młodych myszy na Uniwersytecie Stanforda na początku tego wieku. One pokazały, że starsze myszy korzystają z kontaktu z młodą krwią, a młodsze tracą – szybciej się starzeją, kiedy płynie w nich starsza krew.

To sugeruje, że w krwiobiegu krążą czynniki, które zmieniają się z wiekiem i wpływają na procesy regeneracji. I jak się pan zapewne domyśla – od razu pojawiły się firmy, które zaczęły oferować transfuzje młodego osocza, głównie w Kalifornii. Pobierają krew od młodych dawców i sprzedają ją bogatym starszym ludziom – za ogromne pieniądze.

Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) wydała ostrzeżenie, że terapia ta jest niesprawdzona i nie powinna być uważana za bezpieczną. Ale to oczywiście nikogo nie powstrzymało.

Sam pomysł, żeby badać, co w krwi się zmienia z wiekiem – to jak najbardziej wartościowy kierunek. Ale wyciąganie przedwczesnych wniosków i stosowanie terapii bez dowodu, że jest bezpieczna, jest karygodne.

Gdyby miał pan wskazać jedno podejście, które dziś wydaje się najbardziej obiecujące?

– W długim horyzoncie czasowym najwięcej nadziei wiąże z przeprogramowywaniem komórek. Ale to jednocześnie najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne podejście. Bardzo ekscytujące – ale wymagające czasu, środków i ostrożności.

Na czym polega?

– Normalnie komórka rozwija się w jedną stronę: od zapłodnionego jaja, przez embrion, aż do wyspecjalizowanej komórki ciała – skóry, nerwu, mięśnia. Ale około 15 lat temu Shinya Yamana odkrył, że zaledwie cztery geny wystarczą, by „cofnąć” dorosłą komórkę do stanu pluripotencjalnego – czyli komórki, która może stać się dowolną inną.

Cofamy ją w czasie, czyli odmładzamy?

– Tak – ale nie bez ryzyka. Jeśli cofniemy komórkę zbyt daleko, istnieje ryzyko transformacji nowotworowej. Dlatego tak ważne jest znalezienie punktu, w którym można częściowo odmłodzić komórkę – zresetować je, ale nie utracić ich funkcji i stabilności. To ogromne wyzwanie, ale też wielka nadzieja.

W tej chwili ogromne środki są inwestowane w badania nad reprogramowaniem, zarówno akademickie, jak i komercyjne.

A w krótszej perspektywie, na teraz?

– Największą nadzieję dają leki, które naśladują efekty ograniczenia kalorii, jak rapamycyna, o której wspomniałem wcześniej.

Jeśli uda się ograniczyć skutki uboczne – osłabienie odporności, podatność na infekcje – i znaleźć „złoty środek”, to takie leki mogą naprawdę coś zmienić. Ale na razie nie wiemy, czy uda się ten balans znaleźć.

Dlaczego w ogóle musimy umierać? Dlaczego ewolucja nie zaprogramowała nas na życie wieczne?

– W gruncie rzeczy chodzi o entropię – nieustanne zużywanie się struktur i potrzeba ciągłych napraw. Każda komórka, każdy układ w organizmie ulega uszkodzeniom. Ich naprawa kosztuje energię. A większość organizmów działa w warunkach ograniczonych zasobów – energii, pożywienia, czasu.

Z punktu widzenia ewolucji nie ma sensu inwestować w utrzymywanie organizmu przy życiu znacznie dłużej, niż potrzebuje on na reprodukcję.

Jeśli jesteś myślą, to nie ma sensu planować życia na 40 lat – i tak wcześniej zginiesz z głodu, z zimna albo zostaniesz zjedzony.

Więc lepszą strategią jest: rośnij szybko, rozmnażaj się, przekaz geny. Ewolucję obchodzi

Pomysł był taki, że może da się znaleźć leki, które naśladują efekt głodówki, bez konieczności głodzenia się

przetrawanie genów, nie jednostek.

Ale są organizmy, które żyją bardzo długo.

– Rekiny grenlandzkie mogą żyć 400–500 lat. Wieloryby żyją po 300 lat, żółwie – do 200.

Co więcej, pewne organizmy – np. niektóre meduzy – wydają się biologicznie nieśmiertelne, bo ryzyko ich śmierci nie rośnie z wiekiem, jak u człowieka i innych ssaków. Ale to nie znaczy, że nie umrą. One po prostu nie starzeją się w taki sposób jak my. Ich ryzyko zgonu jest stałe, ale w naturze i tak wcześniej czy później coś je zabija – głód, choroba, drapieżnik.

A człowiek? Dlaczego my nie możemy być jak te meduzy?

– Nie istnieje żadna fizyczna czy chemiczna zasada, która mówi, że człowiek musi umrzeć przed 120. rokiem życia. Ale ewolucja wyznaczyła pewne granice funkcjonalne. Większość ludzi dożywa 80-90 lat, nieliczni 110, a tylko jedna znana osoba w historii – Jeanne Calment, mieszkanka Arles na południu Francji – osiągnęła 122 lata. Możemy więc przyjąć, że gdzieś między 110 a 120 lat leży maksymalna długość życia człowieka. Ale – podkreślam – to nie jest granica absolutna.

Ona może się zmienić wskutek naszych ingerencji w głębokie procesy biologiczne. Możliwe, że jeśli zdołamy naprawdę zmienić mechanizmy starzenia, uda się ten limit przekroczyć.

Jak daleka to przyszłość?

– Bardzo daleka. To trochę jak z kolonizacją Marsa. Teoretycznie – nic nie stoi na przeszkodzie, ale w praktyce trudności są kolosalne. No chyba że ktoś naprawdę uważa, że Elon Musk założy jutro bazę na Czerwonej Planecie...

Czy sam chciałby pan żyć 200 lat, gdyby to było możliwe?

– Trudne pytanie. Mam 73 lata. Z jednej strony, filozoficznie mogę odpowiedzieć: nie, nie potrzebuję dożyć 200 lat. Ale jeśli zapytasz: „chciałbyś żyć jeszcze rok?”, większość, w tym ja, odpowie, że tak. Jest taki stary żart: Kto chciałby żyć do setki? Ten, kto ma 99 lat.

Bo to właśnie tak działa. Możemy mówić, że nie chcemy żyć wiecznie, ale na pewno nie chcemy też umrzeć jutro.

Czyli jeśli ktoś oferowałby pigułkę przedłużającą życie o 10 lat...

– ...To większość ludzi by ją wzięła. Ja też, jeśli tylko byłoby to życie w zdrowiu. Przecież dlatego biorę statyny i leki na nadciśnienie – nie chcę umrzeć na zawał czy udar w wieku 70 lat. Nie dlatego, że chcę być nieśmiertelny, ale chcę żyć trochę dłużej i trochę zdrowiej.

Choćby do tych 120 lat.

– W książce stawiam jednak pytanie, czy to zawsze będzie do-

uczysz się zdrowiej żyć. Będziesz wiedzieć, które interwencje mają sens, a które są tylko mitem.

Tym bardziej, że niemal co miesiąc media trąbią, że mamy „nowy przełom w walce ze starzeniem”. Wiedza pozwoli ci odróżnić sensację od faktu. A to już bardzo dużo.

Co więc – według obecnej wiedzy – możemy zrobić, żeby się zdrowo zestarzeć?

– Trzy rzeczy mają bardzo silne potwierdzenie naukowe – zarówno w biologii molekularnej, czy badaniach epidemiologicznych.

Te trzy rzeczy to...

– Dieta, ruch i sen.

Nie przejadaj się. Jedz z umiarem, zdrowo – dużo warzyw, owoców, dobre źródła białka.

Ćwicz – i to zarówno siłowo (żeby utrzymać mięśnie), jak i aerobowo (dla układu krążenia).

I śpij. Sen jest niedoceniany, a to wtedy organizm się regeneruje.

Te trzy zalecenia są powiązane i wzajemnie się wzmacniają. Ruch pomaga lepiej spać. Dobry sen obniża poziom stresu. Mniejsze zmęczenie sprzyja zdrowemu jedzeniu.

Naprawdę nie mamy nic bardziej... nowoczesnego po tych

Pewne organizmy, np. niektóre meduzy, wydają się biologicznie nieśmiertelne, bo ryzyko ich śmierci nie rośnie z wiekiem. Ale to nie znaczy, że nie umrą

bre dla społeczeństwa? Jeśli ludzie będą żyć coraz dłużej, a jednocześnie nie będą mieli dzieci, społeczeństwo się zestarzeje. Będziemy mieli zastój demograficzny – ci sami ludzie przez 50 lat będą zajmować te same stanowiska, trzymać się władzy, decydować o wszystkim.

Wyobraźmy sobie świat, w którym za 30 lat nadal rządzi ci sami przywódcy: Xi Jinping, Władimir Putin, Donald Trump...

Nie jestem pewien, czy to świat, w którym chcielibyśmy żyć.

Czy wiedza o tym, dlaczego się starzejemy i umieramy, pomaga panu lepiej zaakceptować nieuchronny koniec?

– Jeśli jesteś pacjentem onkologicznym – zrozumienie biologii raka wcale nie czyni choroby łatwiejszą. Tak samo jest ze starzeniem. Lęk przed śmiercią i starzeniem to coś głęboko zakorzenionego, pochodzi z innego miejsca w mózgu niż racjonalne myślenie. Wiedza go nie łagodzi, ale oczywiście się przydaje. Bo jeśli zrozumiesz, dlaczego się starzejemy i dlaczego umieramy, może na-

miliardach wydanych na walkę ze starzeniem, niż sen, ruch i zdrowe jedzenie?

– Mówię, co na pewno działa. Ważne są też relacje społeczne – samotność zabija. Ludzie starzy powinni być częścią wspólnoty: mieć znajomych, rodzinę, coś, co ich angażuje.

I jeszcze jedno: poczucie sensu.

Osoby, które mają powód, by wstać rano, żyją dłużej. To nie tylko slogan – to widać w danych.

Tylko tyle?

– Powinienem dodać jeszcze badania profilaktyczne. Po czterdziestce każdy powinien sprawdzić poziom cukru, cholesterolu i ciśnienie, bo to może znacząco poprawić jakość i długość życia, uchronić przed cicho rozwijającymi się chorobami.

Wiem, że przynudzam, ale tak to właśnie jest.

Prawdę mówiąc, wszyscy o tym wiemy.

– Nie ma w tym jakiejś czarnej magii, prawda? Ale to pozór, w praktyce te zalecenia nie są łatwe do stosowania. Nie każdy ma

też równe możliwości, żeby zadbać o siebie.

Zdrowy styl życia to luksus, za który mają czas na ćwiczenia, dobry sen, dostęp do dobrej żywności. Biedni pracują na dwa etaty, żyją w stresie, jedzą w pośpiechu, śpią za mało.

Więc jeśli mówimy, że wystarczy się ruszać i dobrze jeść – to nie zawsze jest takie proste. Nawet w Wielkiej Brytanii, gdzie mamy system opieki zdrowotnej dla wszystkich, najbogatsze 10% społeczeństwa żyje średnio 10 lat dłużej niż najbiedniejsze 10%. Jest nawet gorzej – bogaci spędzają więcej lat w zdrowiu. Biedni nie tylko żyją krócej, ale też częściej i dłużej chorują.

Musimy zastanowić się, jak jako społeczeństwo zapewnić wszystkim – a nie tylko najbogatszym – zdrowe starzenie.

A więc i jak zapewnić nam cel w życiu. Co pana teraz trzyma przy życiu?

– To dla mnie trudne pytanie.

Przez całe życie moim celem była nauka. Ale pod koniec tego roku odchodzę na emeryturę. Częściowo dlatego, że uważam, że trzeba wiedzieć, kiedy odejść – przestać pracować, kiedy ma się już za sobą najlepsze lata. Ludzie rozumieją, że ciało się starzeje, ale z trudnym akceptują to, że umysł też nie działa wiecznie.

Jeśli spojrzymy na największe przełomy w nauce, technologii, literaturze – większość powstała dzięki młodym ludziom. Naukowcy w starszym wieku często dobrze sobie radzą, ale zwykle nie dlatego, że są tak bystrzy i innowacyjni, lecz raczej z tego powodu, że stali się marką, zgromadzili fundusze i potrafili przyciągnąć do pracy najlepszych młodych naukowców. Niedawno zdałem sobie sprawę z tego, że ostatnio propozycje nowych kierunków badań nie wychodzą ode mnie, ale od młodych ludzi, którzy pracują w moim laboratorium.

Więc czuję, że nadszedł mój czas, żeby przekazać pałeczkę.

Co dalej? Może będę uczył. Może napiszę kolejne książki. Może zaangażuję się w działalność społeczną albo wolontariat. A może nauczę się czegoś nowego – albo do czegoś wrócę. Nie zabraknie mi zajęć, ale muszę zdecydować, co będzie moim nowym priorytetem. ●

Venki Ramakrishnan

• Rocznik 1952. Amerykański biofizyk pochodzenia indyjskiego. Kieruje zespołem badawczym w Laboratorium Biologii Molekularnej MRC w Cambridge w Anglii. W 2009 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za odkrycie struktury rybosomu. W latach 2015-2020 pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Królewskiego, jednej z najstarszych organizacji naukowych na świecie.

• W połowie kwietnia premierę miało polskie wydanie jego książki „**Dlaczego umieramy. Co nauka mówi nam o starzeniu się i dążeniu do nieśmiertelności**” (tłum. Ewa Ratajczyk, Wydawnictwo Naukowe PWN)



wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTODYDZIA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

22 lata moja walka

Wstydzilem się za ojca, kiedy pił i przysięgałem,
że swoim dzieciom nigdy tego nie zrobię.



ZE **STEFANEM TUSZYŃSKIM**,
DZIENNIKARZEM
SPORTOWYM I TRENEREM,
ROZMAWIAJĄ
RADOSŁAW LENIARSKI
I **DARIUSZ WOŁOWSKI**
ZDJĘCIA:
KUBA ATYS / AGENCJA
WYBORCZA.PL

RADOSŁAW LENIARSKI, DARIUSZ WOŁOWSKI: Stefan, kto pierwszy nazwał cię alkoholikiem?

STEFAN TUSZYŃSKI: Romek Kurkiewicz, naczelny „Życia Warszawy”. Zatrudnił mnie. Miałem szczęście, że na niego trafiłem. Ratował mi życie, które wtedy zaczęło się walić.

Nie wiedział, że jak przechodziłem z ministerstwa do „Życia Warszawy” w 2003 r., piłem już ostro.

A Roman w tym czasie był od czterech lat trzeźwy. Takich jak ja wyczuwał na odległość, wystarczyło mu kilka dni. Wziął mnie do gabinetu i prosto w oczy powiedział, że jestem alkoholikiem – jako pierwszy. Mój bunt był natychmiastowy. Nie przejął się nim. Zapowiedział, że jak mnie w pracy zobaczy po alkoholu, to wywali – dla mojego dobra. Dał mi broszury antyalkoholowe. Znowu bunt. Zawzięłem się. Nie piłem dwa tygodnie. I świetnie się z tym czułem. Zaglądałem do Romka, mówiłem mu: „No i co powiesz teraz?”. Po tych dwóch tygodniach Romka wywalili z roboty.

Może wydobyłby mnie z czyścica, a może nie. Bo to był dopiero czyściec.

Jak sądzisz, kiedy wpadłeś w chorobę?

– Od dziecka obcowałem z wieloma alkoholikami, ludźmi, których kochałem: dziadkiem, ojcem, wujkami. Nauczyłem się od nich pić aż do odcięcia świadomości. Piłem tak na imprezach, w towarzystwie. I to już nie podobało się mojej żonie.

Ale w 2000 roku, gdy odszedłem z „Gazety Wyborczej”, przeszedłem do kolejnej fazy picia.

Dlaczego odszedłeś? Nikt cię z „Wyborczej” nie wyrzucił.

– Po 11 latach w „Gazecie” było mi ciężko. Czułem się odstawiony na boczny tor, bo piłem o pływaniu i lekkooletyce. W dziale sportowym królowała piłka nożna. Kierowałem działem sportu warszawskiego, ale to mnie męczyło. Teraz inaczej na to patrzę, ale wtedy miałem wielkie ambicje. Pragnąłem robić karierę. Tymczasem nie widziałem dla siebie perspektyw. Wydawało mi się, że w „Gazecie” będę się już tylko zwijał.

Wykorzystałem okazję. Dostałem propozycję od Adama Giersza. Był prezesem Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki podlegającego Ministerstwu Edukacji Krystyny Łybackiej. Sądziłem, że chce mnie w urzędzie, żebym wykazał się swoją wizją sportu i miał jakąś sprawczość. Że będę jego prawą ręką.

A on chciał mieć kogoś do przeglądu mediów, pisanie przemówień i odpowiadania na listy, artykuły itp. Nie powiem, dobrze mi to wychodziło. Z czasem nawet jak Łybacka miała gdzieś wystąpić, to prosili mnie, że bym pisał jej przemówienie, bo ona odrzucała ich kolejne wersje. A moich nie odrzucała, więc podawali je jako swoje. Na przykład: „Stop tabliczkom o zakazie gry w piłkę”. To moja robota. Wtedy wszędzie były takie tabliczki, nawet przed domem Kaziemierza Górskiego.

To była praca na godzinę, może dwie. I nie codziennie. Najgorsze było właśnie to, że osiem godzin musisz siedzieć na dupie, czy jest coś do zrobienia, czy nie. Przychodziłem do biura o siódmej rano. Siedziałem i się nudziłem.

Wtedy zaczęły się kłopoty?

– Pewnego razu załatwiłem dziennikarzowi PAP Jurkowi Jakobschemu pieniądze z urzędu na delegację na jazd AIPS, międzynarodowej organizacji dziennikarzy sportowych. W ramach podziękowania przywiózł mi półtoralitrową butelkę whisky. Zacząłem sobie popijać w mojej pakamerze w ministerstwie. Czułem się jak James Bond w godzinach pracy ze szklaneczką na dobry humor. Wchodziło idealnie.

Następne butelki już sam kupowałem – krupnik najbardziej mi wtedy pasował. Zresztą, cokolwiek. Nikt nie zauważył, przynajmniej tak mi się wydawało. Piłem drinka albo dwa, nie upijałem się. Ale wszedłem w rytuał. Rano przeglądałem prasę, a potem



• **Trener Tuszyński w czasie zajęć na pływalni w Ośrodku Sportu i Rekreacji Dzielnicy Śródmieście na ul. Polnej 7 w Warszawie**

siedem godzin czekałem na robotę, z którą mógł ktoś przyjść, ale na ogół nie przychodził.

Dlaczego nikomu nie powiedziałeś o tym, co się z tobą dzieje?

– Chyba dlatego, że czułem wstyd. Nisko zawieszone, ciężkie uczucie. Jak masz poczucie wstydu, to niełatwo poprosić o pomoc. Nadal miałem wiarę, że wszystko samo się jakoś ułoży.

Nie myślałeś, żeby uciec stamtąd?

– Kiedyś poproszono mnie, żebym był członkiem zespołu przygotowującego strategię sportu do 2012 r. Fajne! Profesorowie, teoretycy i dwóch fachowców z urzędu, w tym ja. Zebrałiśmy się, dysktowaliśmy do godziny 17. O 17 prowadzący spotkanie, szef tej grupy, powiedział: „No dobrze, panowie, następne spotkanie za dwa miesiące”.

W urzędzie miałem małe i krótkie chwile satysfakcji. Napisałem przemówienie sejmowe dla ówczesnego senatora Grzegorza Łato. Osiem stron. Dalem mu je do ręki, mówiąc: „Panie Grzegorzu, może pan przeczyta, żeby wiedzieć, o czym to jest”. A Łato na to: „Dobrze będzie”. I było. Andrzej Kraśnicki, który zastąpił Giersza, jak później został szefem PKOl, mówił, że nikt mu tak pięknych przemówień nie pisał.

W urzędzie dostałem mocno po kieszeni. Żeby dostać podwyżkę, trzeba przejść drogę zawodową, odpowiednie zaszerzega-

tarze, opinie i załoga, którą trzeba było zmusić do wypełniania gazety.

Czy to nie wtedy zmarł twój ojciec Janusz Tuszyński? Pamiętna postać. Był redaktorem technicznym i jednym z najważniejszych ludzi w pierwszych latach istnienia „Gazety Wyborczej”.

– Umarł niedługo po rozpoczęciu przeze mnie pracy w „Życiu Warszawy”. Wydawało mi się wtedy, że świat się zawalił. Ojciec miał zaledwie 62 lata. Żle się poczuł, karetka zawiozła go do szpitala, lekarze stwierdzili żółtaczkę, dwa tygodnie później nie żył. Dla niego praca w „Wyborczej” była całym życiem. Miał wielką charyzmę, to on stworzył dział techniczny „Gazety” w 1989 r.

Dwa lata przed śmiercią przeszedł lekki udar. Chciał wrócić do pracy. Przyjechał do niego wydawca Piotrek Niemczycki i powiedział ojcu, że powinien przejść na wcześniejszą emeryturę, bo dalsza praca będzie dla jego zdrowia bardzo ryzykowna. Od tego czasu trawiła go postępująca depresja, na którą cierpiał do śmierci.

Ale ja wiedziałem, że tak naprawdę ojciec się zapił. Jeszcze jakiś czas przedtem i potem sam powtarzałem bzdury, które on mówił: „Nie jestem alkoholikiem, tylko pijakiem, bo piję, kiedy chcę, a alkoholik pije, bo musi”.

Romek wybijał mi z głowy te banialuki, ale kiedy go zabrakło w redakcji, ja dostałem inną robotę. Przygotowywałem dodatki regionalne. Jakość tekstów była okrop-

na. Zaczęły się kwasy między nami, potem awantury, z tłuczeniem sprzętów. Dzieci były przerażone. Ona to robiła z bezsilności. A ja potrzebowałem tylko alkoholu, żeby się wyciszyć, trwać w marzeniach o wielkości.

Czyli żona cię nie przekonała do zrobienia czegoś z piciem, a przekonał kolega z pracy?

– Wiecie, kim jest żona dla pijaka. Żona mu zawraca gitarę. Czepia się, nie rozumie. A Romek trafił w sedno: jesteś alkoholikiem. Musisz się leczyć. Broszury musiałem przeczytać przy nim.

W opisie choroby zauważyłem podobieństwa do tego, co się ze mną dzieje. Miałem doskonale tradycje alkoholowe – dziadka i ojca, który się zapił chwilę wcześniej. Trafiło to wreszcie do mnie. Ale nie tak, żeby było trwałe. Bo jak Romka zabrakło, to dupa. On był lepikiem, dzięki któremu się trzymałem. Był szeryfem.

No więc wróciłeś do picia...

– Popłynąłem porządnie. Bo jak się wraca do picia, to nie zaczyna się od kieliszeczka, tylko od etapu, w którym się skończyło. Wróciłem do mistrzowskiej formy pijackiej.

W „Życiu” współpracowałem z działem sportowym. Raz po pracy popiliśmy całą grupą. Wsiadłem w samochód, było już późno i ...rozbilem go doszczętnie pod domem. Wjechałem na czerwonym świetle na skrzyżowanie z totalną zaćmą, uderzyłem w inny samochód, który prawidłowo jechał na zielonym. Kierowca poczuł ode mnie alkohol. Wezwał policję. Była 2 w nocy.

To było miesiąc po śmierci ojca. Następnego dnia w Jabłonnie była msza za niego. Byłem roztrzęsiony. Po powrocie do domu powiedziałem żonie, że idę na terapię.

Dotrzymałeś słowa?

– Następnego dnia zadzwoniłem do Romka. Umówiliśmy się, żeby obgadać moją terapię. Po drodze kupiłem małąkę wódki. Stałem na ulicy, przytknąłem do ust, upiłem odrobinę. Coś we mnie wstąpiło. Tak mi nie smakowała, że w akcie buntu wyrzuciłem ją do kosza.

To był poniedziałek w listopadzie 2004 r. Jak się okazało, był to ostatni łyk alkoholu, jaki wziąłem przez następnych 11 lat.

Stefan, 11 lat? Co się stało, że znowu wpadłeś po tak długiej przerwie?

– Zaraz.

Romek dał mi kontakt do swojego terapeuty. Zadzwoniłem. „Dobrze, proszę pana, ale ja przyjmuję w czwartki” – usłyszałem. „Oj, do czwartku to się może dużo zdarzyć” – pomyślałem w strachu.

Dwie godziny później zadzwonił telefon. „Wie pan co, coś mi nie dawało spokoju po naszej rozmowie. Niech pan przyjdzie jutro rano” – powiedział terapeuta.

Poszedłem na pierwsze spotkanie. I przez godzinę płakałem. Nie mogłem wydusić z siebie słów. Z czasem terapia bardzo mi się spodobała.

Dużo wtedy pisałem prac. Na przykład: „Opisz dziesięć zdarzeń, w których zagrażałeś swojemu życiu pod wpływem alkoholu”. Codziennie prowadziłem dzienniczek uczuć. Opisywałem w nim swoje emocje. Bo do tej pory jako alkoholik mogłem powiedzieć o sobie, że albo dobrze się czułem, albo źle. Przeważnie źle. Dobrze tylko po alkoholu. Na nowo uczyłem się nazywać uczucia, przy czym zauważyłem, że znam dużo więcej negatywnych.

Raz w tygodniu były zajęcia indywidualne, też raz w tygodniu w 16-osobowej grupie. I raz w miesiącu był trzydniowy wyjazd do Konstancina, do siostr. Tam pisałem po kilka prac dziennie. W sumie terapia trwała siedem miesięcy. To było fantastyczne, dotąd z osobami z grupy mam kontakt. Nie wszyscy się utrzymali w trzeźwości, w tym ja. Z tej szesnastki chyba tylko dwóch nie wróciło do picia. Minęło już ponad 20 lat.

Organizm bardzo się buntował po odstawieniu picia. Dostałem okropnych bólów brzucha. Przez miesiąc byłem na zwolnieniu lekarskim, dostawałem zastrzyki prze-

Odwoziłem dzieci do szkoły przecież. Na trzeźwo. A potem również po setce wódki

nie. Kształcić się dodatkowo, bo podwyżki są systemowe. To trwa latami. A ja wytrzymałem w sumie dwa.

Piłem już pod koniec potężnie. Niecałe dwa lata od popijania drineczka w robocie do codziennego chłania 0,7 litra.

Kiedy w 2003 r. dostałem propozycję od Romka Kurkiewicza, żebym dołączył do „Życia Warszawy”, był to dla mnie łyk świeżego powietrza. Liczyłem na przełom. Miałem w „Życiu” robić wydarzenia, czyli najważniejsze strony – od drugiej do dziewiątej. Trzy kolegia dziennie, praca od 9 rano do północy. Przeważnie byłem nawet wcześniej, bo nie mogłem spać i wstawałem o 4-5 rano.

Taki wycisk miałem co drugi dzień. Czułem się niepewnie, bo do objęcia rozumem były wydarzenia z Polski, ze świata, komen-

ta – nie mogłem na siebie patrzeć, że to robię. Po co? – myślałem. To nie był upadek z deszczu pod rynnę, to był upadek z deszczu do rynsztoka. Chciałem robić karierę, a mój potencjał się marnował. Załamałem się totalnie.

Choroba alkoholowa tylko czyha na szparę w uchylonych drzwiach, w którą wstawi nogę. Śmierć ojca, odejście Romka z pracy, w robocie zmiany na gorsze. Wróciłem do picia.

Żona nie reagowała?

– Ula zauważyła, że piję za dużo już wcześniej, ale gdy byłem w UKFIT, zrobiło się bardzo źle. Przyjeżdżałem każdego dnia na bańce, nie było ze mną rozmowy, nie dało się ze mną wyjść do znajomych, do kina, z dziećmi. Miałem ochotę tylko dopić coś i iść spać, zalegnąć.

ciwbólowe, bo ból był nie do zniesienia. Je- go fale powtarzały się co trzy godziny i trwa- ły tyle samo. Oczekiwanie na ból też by- ło straszne. Później się okazało, że to przez uchyłki w ściśniętych od permanentnego stresu jelitach.

Od momentu, gdy wywaliłem butel- kę do kosza, nie miałem ani jednego dnia, w którym czułem przymus kupienia alko- holu. Zachowywałem się jak wariat, ow- szem, wściekałem się na byle co, czułem się nieszczeniwy albo nie wychodziłem z łóż- ka z powodu stanów lękowych. Na terapii uczą, co robić, gdy przymus cię dorwie, ale ani razu nie musiałem się uciekać do sposo- bów typu: wypij duszkiem półtora litra wo- dy. Przychodziły głody, ale w formie lęków i innych ciężkich stanów psychicznych.

A jak sobie radziłeś w codziennym życiu? Musiałeś przecież zarabiać. Bez alkoholu. – Zaczęło się lepiej układać. Dostałem spa- dek po ojcu. Po czterech miesiącach terapii miałem kupę pieniędzy, zwolniłem się z „Ży- cia Warszawy”. Ale potem straciłem wszyst- ko w najgłupszy sposób.

To znaczy, początkowo było nawet bar- dzo dobrze. Przeczytałem w prasie notatkę, że Bioton, firma biotechnologiczna, będzie inwestować za granicą i produkować tam insulinę. Kupiłem sporo akcji i w kilka dni zarobiłem 1,2 mln zł. Ale na terapii powtar- zano, żeby nie angażować się w giełdę, bo można wpaść w inne uzależnienie – od ha- zardu. Wycofałem się.

Założyłem z kolegą firmę i kupiłem za pół bańki autobus. Jeździł nim ten kole- ga. Namówił mnie, bo sam jeździł TiR-ami i miał tego dość. Rozmawialiśmy o bizne- sie, ja miałem hajsu jak lodu, a jak mój dwu- letni syn Janek usłyszał, że tata mógłby być właścicielem takiego wielkiego autobusu, no to co było robić... Sprowadziliśmy z Mo- nachium piękną trzyosiową setrę. Firma do- tąd działa, choć ja się z niej wycofałem. Ko- lega spłacał część inwestycji, na co przysta- łem, po 2-3 tys., jak miał z czego.

Aha, do tego kupiłem jeszcze salon fry- zjerski. To była kompletna kłapa z nieuczci- wymi współnikami. Finansowo – becz- ka bez dna. 18 tys. samego czynszu. Wrobił mnie w to kolega sportowiec, lyźwiarz figu- rowy. Ledwo się wykaraskałem z tego bizne- su, oczywiście z dużą stratą, dzięki prawni- kowi. Bardzo się tego wszystkiego wstydzi- łem, że okazałem się frajerem.

Na terapii dostałem narzędzia, jak sobie radzić bez alkoholu, natomiast nikt mnie nie uczył, jak żyć w poczuciu winy za tak bezsensownie zmarnowane pieniądze. Mo- gły być kapitałem na długie lata dla rodziny.

Jaki wpływ miało twoje picie na synów? – Tego do dziś nie wiem. Na pewno duży. Janek miał dwa lata, Paweł miał 13 lat, jak poszedłem na terapię. Mój alkoholizm największy wpływ miał na średniego sy- na Daniela.

Paweł otrzymał przy urodzeniu trzy punkty. Był pod nieustanną opieką Uli i mo- ją. Pracowaliśmy ciężko, żeby się dobrze rozwijał. Nie zaniedbałem tego. A to było dziecko, które nie mogło się nauczyć jednej linijki wiersza na pamięć. Żeby miał gdzie trenować pływanie, klub dla niego założy- łem z kolegą Marcinem Kozaczukiem. By- łem już wtedy trenerem, UKS Żoliborz był przeznaczony dla dzieci, które niekoniec- nie muszą w przyszłości zdobywać meda- le i być wyczynowymi sportowcami. Tam nauczył się dobrze pływać, biegać i jeździć na nartach.

Nagle w gimnazjum w Pawle odbloko- wało się pożądanie wiedzy. Na zawodach zobaczyłem, jak tłumaczy koleżance za- danie z chemii o wartościowościach. Po- szedł do liceum Mickiewicza, bardzo do- brego, mógł się dostać do każdego, okazał się wybitny z informatyki i z niej jako jedy- ny w szkole zdawał maturę.

Trudno mi powiedzieć, jak na dzieci wpływało moje picie. Ale mogę powiedzieć, jak na mnie wpływało picie mojego ojca.

Zaczęło się od fajnych momentów. Przy- chodziło do nas dużo ludzi, po wódce było

wesoło. Tak to widziałem jako dziecko. Al- kohol jest tak niebezpieczny, bo na począt- ku picia jest znacznie bardziej fajnie niż na końcu. I tak było ze mną i z moim ojcem. Czasem wstydzilem się za niego, kiedy pił, i przysięgałem, że swoim dzieciom nigdy tego nie zrobię.

Kiedyś trenowałem Bartka Kizierow- skiego, wielokrotnego olimpijczyka. Miał startować w Polsce, przyleciał specjalnie z USA. Poprosiłem ojca, żeby przyjechał na krajowe mistrzostwa, bo czułem, że po- może mi wesprzeć Bartka, który wówczas miał trudne relacje z polskim środowi- skiem pływackim. Ale ojciec tak chłnął na zawodach, że było mi strasznie wstyd. Od rana już był wstawiony, już odgrywał pre- zesa, siedział rozwalony na dwóch krze- selkach, miał szeroki gest. To była poraż- ka, choć „Kizier” ustanowił dwa rekor- dy Polski.

Wstydzilem się za ojca, ale widziałem też, że nawet pod wpływem alkoholu nie zawala obowiązków, i byłem trochę dumny z siebie, że i ja taki jestem. Odwoziłem dzie- ci do szkoły przecież. Na trzeźwo. A potem również po setce wódki. Byłem najgorszy. Robiłem złe rzeczy. Robiłem, co mogłem, żeby ukrywać to, że piję, przed dziećmi, ale wątpię, by się to udawało.

Zacząłem sobie popijać w mojej pakamerze w ministerstwie. Czułem się jak James Bond w godzinach pracy ze szklaneczką na dobry humor. Wchodziło idealnie

Przestałeś jednak pić na długie 11 lat. – Po moich koszmarnych biznesach pra- cowałem w „Dzienniku”, a potem w „Pol- ska The Times”, gdzie byłem sekretarzem redakcji. Wszyscy mnie tam znali, więc na- wet nie pisałem CV. Płacili tyle, ile zapropo- nowałem. Praca była szalona. Nawet po no- cach. Zdarzało się, że przywozili mnie tak- sówką z domu do roboty o 1 w nocy, bo ktoś nie mógł sobie poradzić.

Potem przyszedł kryzys na media papie- rowe. Pierwszy raz zostałem bezrobotnym w 2008 r. Uratował mnie były kolega z „Ga- zety Wyborczej” Jurek Ciszewski. Zatrud- nił w swojej firmie PR, z sukcesami, trzeba przyznać, choć to nie była moja bajka.

Wtedy odezwał się ponownie Adam Giersz, który został ministrem sportu i szu- kał ludzi do organizowania i opieki nad gru- pą wybitnych sportowców w ramach Klu- bu Polska. To był znów prawdziwy sport, do którego zawsze mnie ciągnęło. Było super. Harowaliśmy, ale z satysfakcją. Pracowa- łem w Klubie Polska, w piśmie fachowym „Forum Trenera” byłem redaktorem naczel- nym.

Jednocześnie założyłem firmę pływac- ką Stefsport. Sam byłem pływakiem, ciągnę- ło mnie do wody i do pływania zawsze. Żo- na sprzedawała karnety na basen w Aninie, ja uczyłem pływać – alkohol już był bardzo daleko ode mnie. Firma się rozwijała. Do te- go zostałem trenerem w UKS Wilanów, któ- ry założyłem, i w szkole nr 48 w Warszawie. Mnóstwo świetnej roboty.

Właśnie skończyłem 50 lat, co uczci- łyśmy wspaniale: kino, Cirque de Soleil, kon- cert. Obchody trwały ze trzy dni. I pojecha- łem szczęśliwy na zawody do Giżycka z mo- imi pływakami. Czułem, że w moim ży- ciu wreszcie wszystko jest na swoim miej- scu: nie piłem ponad 10 lat, miałem zawod-

ników, których kształtowałem, rodzina by- ła zadowolona.

I właśnie tego dnia, 7 listopada 2014 r., Paweł miał wypadek samochodowy.

Jak to się stało? – Miał z kolegą firmę, tworzył strony inter- netowe. Wynajmowali mieszkanie w Weso- łej. Szedł z zakupami z Lidla lokalną, wąską ulicą. Była mżawka, godzina 19, ciemno. Potracił go prawie 80-letni kierowca. Je- den świadek zeznał, że widział, jak Paweł le- ci na wysokości drugiego piętra. Samochód musiał jechać szybko, ale tego nie udało się sprawdzić, bo nie hamował. Paweł ude- rzył głową w słupek łączący szybę przed- nią z boczną po stronie kierowcy. W proce- sie, który umorzono, biegły stwierdził, że nie było winy kierowcy. Sugerował, że Pa- weł wbiegł na jezdnię. Jak to wbiegł? Z tor- bą z zakupami, chłopak, który ważył wte- dy 130 kg?

Był w stanie krytycznym. Kiedy pojecha- łem do niego, nie miał części czaszki.

Ale o jego wypadku dowiedziałem się do- piero po zawodach, bo Ula nie zadzwoni- ła do mnie. Wiedziała, że mam pod opieką 30 dzieci.

Oprócz uczuć, które z pewnością czuł- by każdy ojciec w takim przypadku, wpa-

– Rodzina padła, ale ja się trzymałem. Za- pracowywałem. Jeździłem na treningi na Polną, do Anina, do Wilanowa. Do Łomia- nek do Instytutu Sportu. Ludzie się dziwi- li, że dają radę i jeszcze jestem w stanie żar- tować z dziećmi. To była maska, udawa- nie siły.

Po roku od śmierci Pawła pojechałem na obóz. Wszyscy w domu leżeli, brakowało pieniędzy na terapię, na wszystko, nie mia- łem z czego brać. I na tym obozie kolega podszedł z piwem. Nie miałem na nie ochoty. Ale zlapałem, wypilem jednym haustem i poczułem wielką ulgę.

Jak poszedłem w tango po tych 11 latach, to dwa dni nie mogli mnie na obozie do- cucić. Potem nastąpiło 10 miesięcy najbar- dziej destrukcyjnego chłania w moim życiu, bo nie dla jakiejś uludy przyjemności, ale po to, żeby skończyć, nie wiedzieć, odciąć się, zabić pamięć. Utyłem 30 kg.

Janek był wtedy na terapii na Banacha, wezwano mnie tam i zagrożono odebra- niem praw rodzicielskich. Moje chłanie jed- nak miało na niego wpływ.

Przerażony tym zapisałem się na tera- pię stacjonarną w Otwocku. Nie wiedziałem wtedy, że będę tam wracał.

Za pierwszym pićiem miałem wspar- cie ze szkoły, w której pracowałem jako trener. Ojciec mojego zawodnika prowa- dził za mnie treningi według rozpiski, któ- rą wysyłałem mu z ośrodka w Otwocku. Dzieci do mnie dzwoniły. Aleksander, któ- ry teraz ze mną trenuje, miał osiem lat. Za- dzwonił: „Wie pan, co dostałem od Święte- go Mikołaja? Takie same słuchawki, jakie ma Michael Phelps”. Po ośmiu tygodniach wyszedłem z terapii, czując, że jestem kró- lem świata.

Jak długo trwał ten stan? – Nie posłuchałem terapeutów i rzuciłem się w wir pracy, a w domu nadal trwał smu- tek. Po dwóch miesiącach kupiłem sobie dwie butelki 0,7 wódki i ją wypilem. Półto- ra litra. Piłem, zasypiałem, załatwiałem się w łóżko, zasypiałem. Nic nie poradzę, je- stem tylko ciężarem dla rodziny, myślałem. Czułem, że muszę się zapić na śmierć.

W szkole zaczęły się rozmowy nie o po- mocy i wspieraniu, tylko znacznie mniej przychylne. Wiedziałem, że zawodzę lu- dzi. W domu, jak zapilem, to trudno opo- wiedzieć, co się działo, bo to nie była wście- kłość. Ja im odebrałem siły. Ula była w de- presji, a jak jeszcze piłem, to była katastrofa. Nie wstawała wtedy z łóżka. A ja piłem. Żad- nej przyszłości.

Myśli samobójcze zabijałem wódką. Pół litra w siedem minut. Potem nie piłem przez dzień lub dwa i znów chciałem się za- bić. Kojarzyłem fakty, które dla mnie wy- glądały tak: kiedy choć na chwilę poczułem się lepiej, a już – nie daj Boże – zupełnie do- brze, to był zwiastun tragedii. Śmierć Pawła spadła na mnie, gdy byłem szczęśliwy. Nie chciałem być szczęśliwy, bo panicznie ba- łem się konsekwencji.

Ja jednak miałem żyć. Pomyślałem, że spowiedź to jedyny sposób, żeby nie po- pełnić samobójstwa. U spowiedzi po tych dwóch miesiącach picia byłem kilkanaście razy. Ksiądz, wbrew moim obawom, zawsze był cierpliwy, wspierał, doradzał, pomagał.

Po kolejnej spowiedzi usłyszałem głos. Wiem, jak to brzmi i jak zostanie odebrane, ale muszę to tutaj powiedzieć. To był głos Jezusa, który chciał mi pomóc, zaprzysiężnić się ze mną. Wcześniej byłem wierzący, ale schematycznie, szablonowo, jak wielu z nas. Z tym głosem trafiałem na kolejną terapię.

Czyli wróciłeś do Otwocka... – Raz na zajęciach posadzono mnie na- przeciwko mężczyzny, któremu w ramach ćwiczeń miałem prawić komplementy. To trudne. Trudno je mówić, jeszcze trudniej je przyjmować. Potem trzeba było sobie wyobrazić, że ten sam facet naprzeciwko jest nieprzyjacielem i mam mówić do nie- go asertywnie o tym, co mi się nie podoba w jego zachowaniu w stosunku do mnie. Wymyśliłem sobie, że ten człowiek – widziałem go wtedy pierwszy raz w ży-

ciu – będzie moim oszukańczym wspólnikiem od salonów fryzjerskich. Od słowa do słowa zacząłem mówić do niego tak, jakby był tym 80-latkim, który potrafił Pawła. Ten biedny mężczyzna siedział i słuchał w przerażeniu, a na koniec we łzach powiedziałem, że mu wybaczam. „Uuu, bracie”, powiedział w zamyśleniu.

Jak na filmach nagle z czarno-białego obrazu świat stał się kolorowy. Poczułem się wreszcie lepiej. Zrzuciłem ciężar. Głos poprowadził mnie dobrze. Wtedy się nawróciłem.

Otwork to miejsce, które wyzwalało cię z kłopotów, ale po terapii trzeba było wracać do życia. Skoro wracałeś, piłeś między terapiami.

– Dwa czy trzy dni przed ostatnią terapią, mocno nieświeży, niedotrzeźwiał, wyjeżdżałem z garażu i policja mnie w tym momencie zatrzymała. Miałem 0,52 promila. To dla mnie był wtedy normalny stan, stan naszczenia. Zabrali mi prawo jazdy, do dziś nie odzyskałem, nie próbowałem nawet, bo uznałem, że jestem niebezpieczny.

Ciągnąłem treningi. Ale znów piłem. W szkole podpisałem in blanco zwolnienie z pracy. Dyrektorka miała je w szufladzie. Gdybym pojawił się pijany na lekcji, zwolniłaby mnie od ręki. Miałem tam fajnych chłopaków, dwóch świetnych pływaków, którzy bardzo się wybijali w swoich rocznikach. W wieku 12-13 lat nie mieli sobie równych w Polsce.

Musicie wiedzieć, że mam duszę trenera, ta praca to moje życie.

Zawsze wiedzieliśmy.

– Praca trenera – jak u mojego ojca w „Gazecie Wyborczej” – była dla mnie wszystkim. Ale przyszedł moment, kiedy moi chłopcy poszli do liceum. Zaczęli trenować na pół gwizdka. Przychodzili zmęczeni. Pojechaliśmy na ich pierwsze mistrzostwa seniorów w grudniu 2021 r., pierwsze po pandemii. Podczas pandemii miałem z nimi aż 110 różnych treningów, byłem dumny, że wytrzymaliśmy razem w dobrej formie.

Na tych mistrzostwach Alek tak bardzo źle popłynął, że się załamałem. A jak ja się załamywałem, to znałem tylko jeden sposób, żeby się z tego załamania wydostać. Jak tylko chłopcy wyjechali z zawodów, kupiłem butelkę i wytrąbiłem całą. Przestraszyłem się tego, co zrobiłem, ale nie tak bardzo.

W kwietniu 2022 r. miałem jechać z jednym z moich chłopaków na zawody

na Cypr. A już byłem w takich lękach, że wiedziałem, że nie dam rady. Że narąbię się tam, że zrobię wstyd. Piłem i się bałem. Przyszedłem po południu na basen prowadzić trening. Byłem nietrzeźwy i miałem ze sobą wódkę. Kierownik ratowników wyrzucił mnie z basenu. Poczułem się jak szmata i tak się po tym urąbałem, że nie byłem w stanie przyjść na trening następnego dnia. Z basenu zadzwonili do szkoły, klubu. Poinformowano związek pływacki, że jestem w ciągu. Wywalili mnie ze szkoły, z klubu, zewsząd.

Znów byłem w Otworku. Wyszedłem i poszedłem do nowej pracy, w której czułem się obco, niewiele umiałem. Zapilem,

Mówił mi: „Ja ciebie, Stefan, rozumiem. Nie piję od 30 lat. Miało być tak pięknie. To czemu jest tak do dupy?”.

On mnie wyciągnął z dna. Mówił o rzeczach inaczej. Że nie jestem złołem, który nic tylko robił fatalne interesy, pil i krzywdził rodzinę. W jego słowach było dużo boga – wyższej istoty niezwiązanej z religią, tylko z siłą wszechświata, źródłem miłości. Nie umiałem tego zrozumieć, ale chciałem uwierzyć.

Staszek też cały czas nie czuł się dobrze ze sobą i cały czas czegoś szukał. Zaczęliśmy szukać razem. Muszę mieć coś pod ręką, na ratunek. Znaleźliśmy NLP. Terapię neurolingwistyczną. Przystawienie myśli z czar-

Zaczęły się ciężkie awantury,
z tłuczeniem sprzętów. Dzieci
były przerażone. Ona to robiła
z bezsilności. **A ja potrzebowałem
tylko alkoholu, żeby się wyciszyć,
trwać w marzeniach o wielkości**

Ula zabrała mnie na odwyk do Drewnicy. Tam mnie nie przyjęli, przepisali relanium. Przerwałem picie. Ale też oglądałem wyniki moich chłopaków, których oczywiście trenował już ktoś inny. W czerwcu mieli mistrzostwa, świetnie popływali. Że to w dużej mierze moja robota, wiedzieliśmy tylko ja i oni. Bo ich rodzice zadzwonili i powiedzieli, żebył posuwał zdjęcia z nimi z Facebooka.

Trzy lata temu znów – nie wiem, który raz – wróciłem do miejsca, w którym chciałem skończyć z życiem. W akcie desperacji zadzwoniłem do mojego pierwszego terapeuty, tego, którego polecił mi Romek Kurkiewicz. Poszliśmy razem do parku Skaryszewskiego. Kazał położyć mi się na ławce. Zamknąć oczy. Zaczął mówić o naturze, o liściach. Nie czułem się tak dobrze od sześciu lat, gdy zobaczyłem szczura przebiegającego pod ławką.

nych na białe. To praca z myślą, programowanie umysłu. Stworzyli ją informatycy, którzy uznali, że mózg jest twardym dyskiem, do którego można załadować odpowiedni program.

Można takie oprogramowanie aktualizować lub fragmenty algorytmu usunąć. Można myśl przyciszyć jak informację w radiu. W moim przypadku to działa. Wreszcie wyeliminowałem z siebie oprogramowanie, które można nazwać „tożsamością alkoholiaka”, czyli trwania w świecie, w którym alkohol jest podmiotem, poradziłem sobie z żalobą. Jestem nadal blisko Jezusa, umiem znaleźć w sobie pokój, radość i miłość, choć sytuacja w domu nadal bywa ciężka.

Mogłeś jeszcze raz wrócić do pracy z pływakami?

– Byłem przekonany, że w Polsce jestem skreślony. Rzadko kto odpowiadał na moje SMS-y, maile.

Wysyłałem moje trenerskie CV po całej Europie. Omal nie wylądowałem w Irlandii, Norwegii, Szwajcarii. Zawsze jednak czegoś brakowało.

O tym, że wrócę do pracy z zawodnikami, z którymi wcześniej pracowałem, w ogóle nawet nie marzyłem. Odnowiłem jednak relacje z ojcem Aleksandra. Odezwał się, bo chciał dla swojego kolegi załatwić odwyk w Otworku. Jak się odezwał, to – mimo poczucia winy – postanowiłem uczyć się tej nadziei, tej szansy. Załatwiłem ten Otwork.

W grudniu Alek został wystawiony do sześciu konkurencji w tak zwanej Lidze SMS-ów. Ten nadmierny wysiłek go wykończył, rozchorował się. Wtedy jego ojciec powiedział „dość”. Zadzwonił, czy nie przygotowałbym jego syna do mistrzostw Polski, gdzie mógłby walczyć o minimum na mistrzostwa Europy i świata juniorów i może miejsce na jakiejś uczelni amerykańskiej. Po kilku dniach dołączyli inni.

To jest moja praca marzeń. Kształuję sportowo osoby, które mają przed sobą kariery, może wielkie. Byliśmy na trzech obozach, w tym ostatnio w Font Romeu we Francji. Ryzyko było duże, bo po raz pierwszy trenowałem kogoś w warunkach wysokogórskich, a to wymagająca metoda. Szliśmy na banque. Na razie jestem bez kasy, ale nie wahałem się podjąć tego wyzwania ani chwili.

Nie udało się nam osiągnąć minimów na MEJ i MŚJ podczas mistrzostw Polski seniorów na przełomie kwietnia i maja. Alek jako junior zajął jednak czwarte miejsce na 200 m zmiennym.

Zbudowało mnie, kiedy jego ojciec powiedział ostatnio: „Stefan, bez względu na wyniki na tych mistrzostwach dziękuję ci. Aleksander znów jest radosnym człowiekiem”.

Rodzice jeszcze raz mi uwierzyli. Jeden z nich zauważył, że od czasu, gdy pracowałem z ich chłopakami wcześniej, bardzo się zmieniłem. Fakt, przestały mnie przerażać polecane listy, których kiedyś nie otwierałem miesiącami, bo mogły być w nich rachunki nie do zapłacenia, wezwania, Bóg wie, co jeszcze złego.

Trenerki nigdy nie zaniedbałem, uczyłem się, gdy byłem przez rok na bezrobociu. Rozmawiałem z zawodnikami, czytałem książki, rozmawiałem z fizjologami. Wiedziałem już, że jak nie będę trenerem, to nikim nie będę. Wierzę, że wszystko, co najgorsze, jest za mną, no ale nigdy nie masz pewności. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376846



wyborcza.pl

Wyborcza.
Mobilizacja!Sprawdź na
wyborcza.pl/fakty

18 maja idziemy na wybory

GDY MYŚLĘ O SŁOWIE „wolność”

Ścisły jest związek niektórych znaczeń słowa „wolność”
z niektórymi znaczeniami słowa „prawda”.



Izydora Dąbska*

Wolność, podobnie jak jej odpowiedniki w innych językach, należy do tych słów-kluczy, słów-zawołań czy hasel, które w ciągu dziejów i w różnych środowiskach zyskiwały wciąż nowe odniesienia semantyczne, denotujące treści znaczeniowe bardzo nieraz różne. Zazwyczaj jednak – gdy o wolność w odniesieniu do człowieka i jego spraw chodzi – mieszczą się w tych treściach prócz neutralnego wskazywania na pewną kategorię ontyczną także wyraźne elementy aksjologiczne.

„O nomen dulce libertatis!”
[„O słodkie imię wolności!”] – woła Ciceron w mowie przeciw Werresowi. On też w tym samym tekście nazywa wolność rzeczą świętą, a kie-

dy indziej najsłodsza (czwarta mowa przeciw Katyni). Filon Aleksandryjski zaś w obszernym traktacie, w którym rozwija stoicką teorię wolności, zacytowawszy wiersz Eurypidesa: „Imię wolności nade wszystko cenne” („eleutheria gar onoma pantos axion”), dodaje, że poeta nie tylko czcił wolność, ale także samo jej imię uczynił wzniosłym.

„Liberté, liberté chérie” – głosiła Wielka Rewolucja Francuska, „Za naszą i waszą wolność” bił się żołnierz polski, a w „Warszawianie” śpiewano: „Kto przeżyje, wolnym będzie./ Kto umiera, wolnym już!”.

W wolności wewnętrznej od strachu i fałszu widzieli stoicy warunek szczęścia i głosili, że „jedynie mędrzec jest całkowicie wolny” (Diogenes Laertios). A w „Diatrybach” Epiktet nazywa wolność rzeczą piękną i cenną („ouk oidas oti kalon ti e eleutheria esti kai axiologon”).

Jeżeli zaś niekiedy w tekstach dotyczących wolności brzmi nuta ujemnej oceny, to zwykle dzieje się to wtedy, gdy mowa o sytuacjach, w których

pozory wolności bierze się za wolność samą („złota wolność szlachecka”, „liberté des moeurs” itp.).

•
Prawdziwa wolność bez okreśników modyfikujących jawi się natomiast we wspomnianym zakresie jako wartość dodatnia. Chyba że ktoś – jak Heidegger czy Sartre – dopatrywać się w niej będzie tragicznej osłony egzystencji ludzkiej stojącej się w ciągłych swych aktach wyboru z nieuchronną równocześnie świadomością, że to stawianie się jest wyciem ku śmierci.

Poza tym jednak nie należy zapominać o różnych sposobach posługiwania się terminem „wolność” i orzecznikiem „wolny”, w których wspomniany moment aksjologiczny się nie pojawia.

Gdy taksówkarz wystawia kartę „wolny” albo gdy napis głosi „wolne pokoje”, albo gdy w maszerującym plutonie pada komenda: „Prawa wolna!”, albo gdy w fizyce mowa o „wolnym spadaniu ciała”, orzecznik „wol-

ny” nie zawiera w swej treści elementów aksjologicznych.

(Warto może zwrócić uwagę na to, że chodzi wówczas najczęściej nie o wolność osoby ludzkiej. Wtedy gdy w niektórych nieosobowych zwrotach ją się ma na myśli, na przykład gdy mowa „o wolnym od pracy dniu” – wolność od pracy przysługuje wszak ludziom w określonym czasie – często znów jawi się owo wartościujące za-barwienie sensu).

Co prawda nie jesteśmy w tych przypadkach na ogół skłonni mówić o „wolności” („prawej strony jezdni”, „mieszkania”, „taksówki” itp.), lecz o „wolnych” danych obiektach. Ale warto zauważyć, że ekolog, obserwując jakiś gatunek zwierząt „żyjących na wolności”, nie nadaje temu słowu sensu wartościującego, lecz czysto opisowy. I podobnie nawet wtedy, gdy idzie o niekończące się spory indeterministów z deterministami na temat „wolności” ludzkiej woli, nie zawsze jego przedstawiciele wiążą z tym terminem sens aksjologiczny.

• **Marsz Koalicji Antyfaszystowskiej z okazji Święta Niepodległości. Warszawa, Plac Unii Lubelskiej, 11.11.2024.**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Abstrahując więc na razie od tego wartościującego aspektu terminu „wolność”, należy przede wszystkim – w myśl starej, często powtarzanej zasady, iż „initium doctrinae est consideratio nominis” [„rozpoczynając jakąś naukę, trzeba rozpatrzyć jej nazwę”; sformułowanie Kazimierza Twardowskiego] – rozważyć różne znaczenia, jakie w różnych kontekstach przyjmuje słowo „wolność”, i zapytać, co łączy czy zbliża te różne znaczenia, tworząc z nich – by użyć określenia Wittgensteina – jedną rodzinną znaczeniową.

Otóż wydaje się, że czy to mówimy o wolności jako przeciwstawieniu niewolnictwa (było to, jak twierdzą niektórzy, pierwotne znaczenie słowa „wolność”), czy o wolności słowa, wolności sumienia, wolności wewnętrznej, wolności fizycznej czy politycznej, zawsze mamy do czynienia z terminem racjonalnym, to zna-

**Tak jak miłość jest
zawsze miłością czegoś
lub kogoś,
tak wolność jest
zawsze wolnością
od czegoś:
od więzów, przemocy,
gwałtu, ucisku,
zakłamania, strachu**

czy takim, do którego znaczenia należy odniesienie jego desygnatu do innego przedmiotu, resp. [odpowiednio] innych przedmiotów.

(Ten relacyjny charakter terminu „wolność” miał zapewne na myśli Kazimierz Twardowski, gdy w wykładzie „Etyka i prawo karne wobec zagadnienia wolności woli” powiedział: „Wyróż »wolny« jest (...) wyrazem względnym w znaczeniu logicznym”, co objaśniał dalej, mówiąc, że „względne są wyrazy i pojęcia, które mogą być określone tylko ze względu na jakieś inne pojęcie”).

Tak jak miłość jest zawsze miłością czegoś lub kogoś (Boga, mądrości, ojczyzny, kobiety itp.), a odległość odległością od czegoś (od miasta, szczytu, znaku regulacyjnego itp.), zawsze wolność jest wolnością od czegoś: od więzów, przemocy, gwałtu, ucisku, zakłamania, strachu, determinacji przyczynowej, ograniczeń itp.

Wolność od czegoś przeciwstawiano niekiedy wolności do czegoś czy wolności ku czemuś. Wydaje się jednak, że wolność „od” jest korektywna względem „wolności do” czy „wolności ku”. Naród wolny od okupacji wroga czy tyrańskiej władzy jest wolny ku realizowaniu swej suwerenności państwowej i stanowieniu prawa.

Wolność nauki od nacisków ideologicznych i administracyjnych jest wolnością do właściwej sobie funkcji poszukiwania i przekazywania prawdy; wolność słowa jest zarazem wolnością do publicznego głoszenia

własnych poglądów i przekonań; wolność od więzów jest zarazem wolnością do nieskrępowanego poruszania się; wolność od opłaty – wolnością do korzystania z darmowego świadczenia itp.

Słowo „wolność”, będąc terminem relacyjnym, jest też terminem ściśle związanym w swych funkcjach z kategorią modalną możliwości. Wolność bowiem jest niezbędnym warunkiem możliwości pewnych aktów, sposobów bycia, zachowań. Człowiek korzystający z wolności słowa, może – gdy spełnione są inne warunki (na przykład potrzebne ku temu zdolności) – publikować swoje poglądy.

Człowiek wolny od przesądów rasistowskich może, gdy zaistnieje tego potrzeba, stanąć w obronie krzywdzonego przez rasizm bliźniego – gdy inne warunki, choćby własna odwaga, nie zawiodą. Wolne od lokatorów mieszkanie może być wynajęte, gdy zezwoli na to biurokratyczne przepisy.

Niektórzy teoretycy wprost utożsamiają wolę z możliwością działania, co przy bliższej analizie wydaje się pewną nieścisłością. Okazuje się bowiem, choćby z powyższych przykładów, że aby mieć możliwość działania, nie wystarczy być wolnym od określonych ograniczeń. Wolność jest niezbędnym warunkiem, by móc w pewien sposób działać, lecz ową możliwość warunkują ponadto jeszcze inne czynniki. Tylko przy absolutystycznym rozumieniu terminu „wolność” wyraz ten denotować [wyznaczać] może pełnię możliwości.

Takim granicznym pojęciem absolutnej wolności jako nieskrępowanej niczym, nieograniczonej możliwości operują niektóre teologiczne jej koncepcje w odniesieniu do Boga jako bytu absolutnie wolnego. Wolność natomiast w rozumieniu potocznym czy teoretycznym w zakresie spraw ludzkich nie oznacza zazwyczaj nieograniczonej możliwości, lecz warunek konieczny możliwości określonych zachowań czy poczynañ.

Naturalne niejako redukowanie pojęcia wolności do modalnej kategorii możliwości nie wyklucza w pewnych teoriach prób charakteryzowania wolności również za pomocą modalnej kategorii konieczności. I nie chodzi tu jedynie o trudny dla deterministów problem godzenia pojęcia wolności woli z powszechną zasadą przyczynowości, lecz przede wszystkim o próby odwoływania się do pojęcia konieczności dla określenia sensu terminu „wolność”.

Do takich prób należy wspólnie rozwijana przez niektórych egzystencjalistów teoria wolności jako konieczności ciągłego wybierania przez podmiot form jego stawiania się i działania, do takich prób należy też stoicka, często później podejmowana (na przykład przez Spinozę) teoria wolności wewnętrznej w ramach metafizycznej koncepcji koniecznych praw świata, do którego przynależą „wolna” istota ludzka, partycypując w rozumnej naturze, w Logosie wszechrzeczy.

Poznanie owych praw, które pozwala odróżnić dziedzinę rzeczywistości od nas niezależnych od strefy nam podległej, któ-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Herbert

Potęga smaku

Pani Profesor Izidorze Dąbskiej

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór
mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia*

*Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszono
slano kobiety różowe płaskie jak oplatek
lub fantastyczne twory z obrazów Hieronima Boscha
lecz piekło w tym czasie było jakie
mokry dół zaulek morderców barak
nazwany pałacem sprawiedliwości
samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce
posyłał w teren wnuczęta Aurory
chłopców o twarzach ziemniaczanych
bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach*

*Zaiste ich retoryka była aż nazbyt parciana
(Marek Tulliusz obracał się w grobie)
łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy
dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu
składnia pozbawiona urody koniunktiwu*

*Tak więc estetyka może być pomocna w życiu
nie należy zaniedbywać nauki o pięknie
Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać
kształt architektury rytm bębnow i piszczałek
kolory oficjalne nikczemny rytuał pogrzebów*

*Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu
książęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie*

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo
choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała
głowa*



Utwór z tomu Zbigniewa Herberta „Raport z obłąkanego Miasta i inne wiersze” (1983), tutaj za: Herbert, „Wiersze zebrane”, oprac. edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2011.
FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

ra tworzy nasze życie wewnętrzne, wiedzie zdaniem stoików do zrozumienia istoty wolności. Polega ona na zachowaniu, wbrew wszelkim czynnikom zewnętrznego przymusu i wydarzeniom, które los na nas zsyła, możliwości życia poddanego li tylko nakazom rozumu, a to znaczy życia w prawdzie i sprawiedliwości. Tylko o takim człowieku, o mędrцу powiedzieć można, że jest wolny.

Charakteryzując go („O najwyższym dobru i złu”), Cyceon między innymi powiada: „Recte solus (dicitur) liber nec dominationi cuiusquam parens nec obediens cupiditati, recte invictus cuius etiamsi corpus constringatur, animo tamen vincula inici nulla possint” [„Słusznie jego tylko jednego uważa się za wolnego, niepoddanego żadnej władzy ani nieulegającego żądzy; słusznie

**– Mędrca słusznie się ma za niezwykłego,
bo choćby skrępowano jego ciało, żadnych więzów
nie da się nałożyć na jego ducha**

CYCERON

ma się go za niezwykłego, bo choćby skrępowano jego ciało, żadnych więzów nie da się nałożyć na jego ducha”; przeł. Wiktor Kornatowski].

Istotą wolności bowiem jest mądrość: „Sapientia quae sola libertas est” [„mądrość, która jest jedyną wolnością”] – pisze w liście 37. Seneka. Ona bowiem uwalnia nas od głupoty podległej namiętnościom.

Wolność w rozumieniu stoików to wolność od strachu, w szczególności od strachu przed cierpieniem i śmiercią, wolność od pożądań, wolność od fałszu, a zarazem wolność do panowania nad własnym życiem wewnętrznym, wolność do poznawania i głoszenia prawdy. Akt sądzenia jest aktem wolności, aktem naszego zgadzania się na pojawiający się w wyróżnionym przedstawieniu stan rzeczy.

Oto znamienny ustęp z „Diatryb” Epikteta: „Z natury przysługuje ci możliwość wolnego, nieprzymuszonego wyboru (...) Czyż ktoś może cię zmusić, byś nie uznawał prawdy? Czy ktoś może cię zmusić, byś akceptował fałsz? Nikt przecież”.

Aktem wolności jest moralne zachowanie się człowieka, szczególnie – zdaniem stoików – doniosła dziedzina naszego życia. W obu wypadkach tym, ku czemu jesteśmy wolni, jest prawda utożsamiana często przez stoickich filozofów z najwyższą wartością moralną. Ona decyduje o tym, że wolność wedle stoików jest warunkiem możliwości działań rozumnych w ramach konieczności właściwej naturze człowieka i całej rzeczywistości, której on jest częścią. Rozum tworzący istotę bytu z konieczności wyznacza stan naszej wolności.

Obie te próby, egzystencjalistyczna i stoicka, określania wolności za pomocą kategorii konieczności, o tak odmiennym wydźwięku aksjologicznym, wiążą się z pewnymi stanowiskami metafizycznymi, odbiegając przez to pod niejednym względem od potocznego rozumienia słowa „wolność” określanego zazwyczaj tylko za pomocą modalnej kategorii możliwości.

Nawiązując do zasygnalizowanego na wstępie rozważań aksjologicznego charakteru wielu znaczeń terminu „wolność”, przypatrzymy się nieco bliżej, w jakich to wypadkach on się pojawia.

Przed wszystkim pojawia się on wtedy, gdy podmiotem wolności jest już to osoba ludzka, już to ludzka społeczność (naród, państwo) i gdy wolność „od” jest warunkiem możliwości realizowania pewnych wartości.

Wydaje się, że dwa szczególnie czynniki decydują w tym wypadku o aksjologicznym aspekcie znaczenia wyrazu „wolność”, gdy denotuje on warunek możliwości ich realizowania. Chodzi mianowicie o odpowiedzialność moralną, którą ponosi każdy, gdy działa jako istota wolna i świadoma, oraz o prawdę.

Związek wolności z odpowiedzialnością był i jest przedmiotem wyczerpujących analiz etyków i filozofów prawa. Rzadziej bierze się pod uwagę podstawowy – jak mi się wydaje – związek denotacji słowa „wolność” z denotacjami słowa „prawda”. Zwią-

zek ten przybiera różną postać w zależności od tego: po pierwsze, o jaki sens słowa „prawda” chodzi, po drugie, jaka jest natura owej relacji.

O jednym powiązaniu, na które zwrócili uwagę stoicy, była już mowa. Podstawową wolnością człowieka jest myśl tej koncepcji jest wolność od fałszu w znaczeniu błędu, a zatem możliwość trafnego rozpoznawania i akceptowania prawdy w znaczeniu prawdziwego o rzeczy sądu.

W tym rozumieniu wolność jest warunkiem poznania. Poznanie zaś odsłaniające rzeczywisty stan rzeczy, czyli prawdę w znaczeniu ontologicznym, jest dobrem istoty rozumnej, a w konsekwencji wolność jako warunek nabiera wartości instrumentalnej środka osiągnięcia naczelnej wartości, jaką jest prawda.

Ale wolności ludzkiej towarzyszyć też może fałsz jako świadome naruszanie wartości prawdy, fałsz w sensie kłamstwa narzucanego człowiekowi przez innych, w szczególności przez wroga, przez nieodpowiedzialną władzę, przez propagandę polityczną itp.

Wolność od fałszu w tym rozumieniu i równoczesna możliwość demaskowania go i głoszenia prawdy jest podstawą moralności społecznej. Nie ma społecznej moralności bez prawdy w sensie negacji kłamstwa obliczonego na ujarznienie ludzi przez uniemożliwienie im wydawania prawdziwych sądów o sytuacji ich społecznego bytu.

Zakłamanie życia społecznego wyrażające się między innymi w używaniu słów bez pokrycia lub w dowolnym zmienianiu ich znaczeń celem wprowadzenia w błąd, a tym samym oglupianiu ludzi, narusza podstawową wolność człowieka jako istoty rozumnej.

Bywa, że kłamstwo godzi w samą treść słowa „wolność”, w zgodne z rzeczywistością rozumienie zwrotu „być wolnym”. Odczuwał to Czesław Miłosz, gdy pisał o zniewoleniu: „Przeklina lud, a błazny mu śpiewają./ Że nigdy nie był tak jak dzisiaj wolny” („W praojcach swoich pogrzebani”).

W tym kontekście prawda rozumiana jako negacja kłamstwa jest wartością moralną, chroniącą w życiu społecznym wolność ludzi do życia w prawdzie w rozumieniu pierwszym – możliwości wydawania prawdziwych sądów.

I jeszcze w jednej postaci jawi się relacja wolności i prawdy, nadając terminowi „prawda” aksjologiczny sens. Chodzi mianowicie o użycie słowa „wolność” na oznaczenie tego, co nazywa się niekiedy autentycznością czy rzetelnością moralną osoby ludzkiej, o „zgodność tego, co z wierzchu, z tym, co w środku”, jak mówi Platon w „Fajdro-sie”, o wierności swojej, za słuszną uznanej linii życia. Tak pojęta prawda zakłada wolność od samozakłamania, od udawania przed sobą czy przed innymi, że się wierzy w coś, w co się nie wierzy, zakłada wolność od koniunkturalności i kompromisów grożących utratą godności osobistej i wierności swym przekonaniom.

W jakiej mierze możliwe jest, by człowiek był wolny? Czy w niektórych ze swych licznych znaczeń słowo „wolność” nie jest nazwą pustą?

Jakakolwiek na to pytanie pada odpowiedź teoretyków, zarówno tych, co po kantowsku usuwają wolność ze świata zjawisk, głosząc jej przynależność do świata rzeczy samych w sobie, jak i tych, którzy akceptują ogólnie jej ograniczenia czy niebycie, faktem pozostaje, że wolność osoby ludzkiej i wolność społeczeństw jawi się od wieków w świadomości człowieka jako nieodzowny warunek ludzkiej godności; faktem jest, że na ogół ludzie nie chcą bez niej, a przynajmniej bez dążenia do niej żyć, i że niejeden gotów jest za nią życie swe oddać. Tak samo jak na ogół nie chcą żyć w fałszu i niejeden gotów jest za prawdę umierać, choćby świadom był, że w pełni osiągnąć jej nie może.

Być może są to ci sami ludzie, co potwierdzałoby tezę o ścisłym związku niektórych znaczeń słowa „wolność” z niektórymi znaczeniami słowa „prawda”. ●

Z cyklu: za pięć trzynasta

Hamlet nieprzystawalny do rozhuśtanego świata

Spektakl Jana Englerta grany jest w czasach, kiedy poza teatrem krew się leje naprawdę. Zwłaszcza nazajutrz po morderstwie na UW, kiedy oglądam przedstawienie, krwawość historii z krwawością świata nie tylko się kojarzy.

Jarosław Mikołajewski

Żeby wystawiać Hamleta – pisał Jan Kott po obejrzeniu spektaklu Jakuba Rotbauma w Teatrze Polskim we Wrocławiu w 1958 roku – trzeba mieć coś do powiedzenia o Szekspirze i o współczesności”. Dodałbym, że także o sobie, skoro arcydramat o duńskim księciu tak bardzo jest nasączony prywatnością, liryzmem.

No właśnie: „o duńskim księciu”... Czy na pewno o duńskim księciu? O czym, o kim jest Hamlet? – jest to pytanie, które słyszę od kiedy oglądam kolejne jego wystawienia, włącznie z tym, które na pożegnanie z Teatrem Narodowym wypracował właśnie Jan Englert, w roli reżysera.

Jeżeli pytanie „o czym” ma sens w kontekście dramatu tak złożonego, nieprzewidywalnego, odkrywającego dalekosiężne, nieobliczalne lektury, jak Hamlet, to tylko dla smaku społecznej rozmowy, która lepiej, żeby toczyła się wokół przekładów, aktorów, wizji reżysera, interpretacji dylematu „być albo nie być” (Kott twierdzi, że lepsze byłoby tu „Czy być, czy nie być”, choć – pisze ten gigant krytyki teatralnej - tego „być albo nie być” „nie sposób (...) zmienić”; a ja pytam: „właściwie dlaczego?”).

Krew i śmierć

Spektakl Jana Englerta grany jest w czasach, kiedy poza teatrem krew się leje naprawdę. Zwłaszcza nazajutrz po morderstwie na UW, kiedy oglądam przedstawienie, krwawość historii z krwawością świata nie tylko się kojarzy. Krew Laertesa, krew Hamleta, krew Ofelii (obecna tu poprzez przejmujące i trafnie wprowadzoną czerwoną szarfę), krew pani Małgorzaty, nakładają się na siebie, miesza się w wyobraźni widowni sztuki i widowni świata. Nawet krew i śmierć zlekceważonego Poloniusza dodają coś tutaj od siebie. Kiedy chłopcy – obaj dobrzy, serdeczni, choć inaczej uwikłani – podnoszą na siebie rapiery, przechodzi dreszcz przerażenia i buntu. Martwi Hamlet i Laertes stają się „Braćmi w przeciwnych pałazach”, jak mawia przy innej okazji Pier Paolo Pasolini, poeta.

Dopóki nikt nie zada mi niechcianego pytania „o czym jest Hamlet”, powiem w jakie układa się we mnie znaczenia i poruszenia. Pierwszym więc jest ta „przyjaciół-bójcza walka, w której dokona się, jak świat światem, cierpka tragedia rodzaju ludzkiego” (Tprquato Tas-so). Ci, którzy zasługują na siebie

nawzajem jako przyjaciele i bracia, toczą ze sobą absurdalną walkę na śmierć, niepotrzebną nikomu, nawet szekspirowskiej narracji, gdzie trupów jest więcej niż nadto.

Atut młodości

Z ożywieniem oglądałem Hugo Tarresa, jeszcze studenta warszawskiej Akademii, obdarzonego wielką swobodą ruchu, a zwłaszcza wymowy. I jego obecność na scenie jest samo w sobie ważnym i pięknym posunięciem reżysera. Choć wciąż mam w pamięci rolę Krzysztofa Szcze-

Krew Laertesa, Hamleta, Ofelii, krew pani Małgorzaty, miesza się w wyobraźni widowni sztuki i widowni świata

paniaka, który dzięki dojrzałości, samoświadomości i wyszkoleniu mniej się szamotał, a bardziej wysnuwał z siebie słowa i gesty. Co to znaczy? A to, że jeśli Hamlet Tarresa jest samotny, Hamlet Szczepaniaka był jeszcze bardziej samotny. Piękne w spektaklu Englerta jest wykorzystanie gitary, postawionej przez księcia na pudle, gryfem do góry, i kołyszącej się jak odwrócone wahadło zegara. Przejmujący znak osobistego rozdygotania, niepewności.

Jan Englert znakomicie wykorzystuje atut młodości swoich aktorów. Przejmująco bolesną kreację porzuconej Ofelii stworzyła Helena Englert, która najpierw skacze Hamletowi na szyję, zkochana i szczęśliwa, aż stopniowo pogrąża się w otchłań niezrozumienia, z czasem szaleństwa. Dlaczego oszalała Ofelia? – to pytanie równie dobre co „o czym jest Hamlet?”, choć prostsze. Zaryzykujmy, ale nie za bardzo (przecież widzimy co się tutaj dzieje). Tym, co łamie dziewczynę, jest nagła i niespodziewana przemiana ukochanego. Szczęśliwa Ofelia nie dość, że staje się zmrożonym kwiatem wiosennym, odrąconą kochanką, to Hamlet używa przy tym słów obraźliwych, nieczułych, zanurzonych w jakiejś obcej, niepojętej rzeczywistości, w kulturze przemocy. Ponadto – o czym dowiadujemy się subtelnie z gestu królowej Gertrudy kładącej dłoń na brzuchu dziewczyny – chyba jest w ciąży.

Wina Herberta

Pozostają dość chłodny wobec innych wątków i scen. Choćby wobec pomysłu, że znakomicie, wstrze-mięźliwie tkany przez Przemysła-wa Stippę, wszechobecny Horacio, jest piątą kolumną Fortynbrasa. Mam zresztą jakiś problem z za-

kończeniem dramatu „Hamlet”, i chyba wiem dlaczego, przez kogo.

Winny nazywa się Zbigniew Herbert ze swoim „Trenem Fortynbrasa”, który dopowiada mi z pamięci ten spektakl. Czy w kraju, w którym ludzie chodzący do teatru znają Herberta na wrywki, byłoby nadużyciem takie perskie oko puszczone w kierunku widzów? Czy w spektaklu Fortyn-bras nie mógłby wypowiedzieć się Trenem?

O czym jest Hamlet

Podsumujmy więc i powiedzmy wbrew sobie, o czym jest Hamlet. Otóż Hamlet, dramat Williama Szekspira, jest o odpowiedzialności. Jak miotacz kamyka wrzuconego do stawu jest odpowiedzialny za rozkołysany stateczek z gazety, tak (wiadomo, że bardziej: w przykładzie o stateczku chodzi mi tylko o mechanizm) odpowiedzialni za kryzys mentalno-duchowy młodego księcia są Gertruda i Klaudiusz. To oni popełniają zbrodnię, której konsekwencji nie są w stanie przewidzieć.

To ona, zbrodnia, zabicie ojca, będzie dla Hamleta tym wielkim kontrastem i niedającą się pomyśleć sprzecznością, tym skandalem, który uniemożliwi chłopcu jednoczesną żalobę i uczestnictwo w pieszczotach matki, w ogólnym rozbawieniu. To oni, głowiący się nad przyczyną szaleństwa Hamleta, uwolnili nieprzystawalność księcia do rozhuśtanego świata.

Chłopcu nie mieści się w głowie nie tylko to, że ktoś inny, zabójca, sprawuje władzę po zamordowanym przez siebie ojcu, i śpi z jego żoną. On nie rozumie, że świat ma czelność się kręcić. Że można żyć pomimo. A w dodatku kochać, czego ofiarą jest niewinna Ofelia, źle wprowadzona przez Hamleta w jego rozdarcia. Elsynor się bawi, zamordowany ojciec przychodzi, żeby przypomnieć o sobie i poinformować. I od tej pory nic już nie może być zwykłe, jak dotychczas.

Czy nie mam uwag do spektaklu? Mam, dramaturgiczne, ale rozpraszające. Dlaczego, kiedy na scenie spotyka się grupa ludzi młodych, lub zawodowa komitywa grabarzy, ich żarty i śmiechy muszą rozbrzmiewać tak dętwo? Często w spektaklach eksplozje wesołości – w odróżnieniu od żalobnych szepców – są sztuczne, niedopracowane. Piosenki – śpiewane z głowy, nie z partytury. Ten sztuczny nastrój pozostaje w uszach także wtedy, gdy padają najciekawsze, najbardziej wyważone słowa. Wysłowione monologi. Ale pomimo rozmaitych uwag, które czasem źle świadczą o samym recenzencie, ten Hamlet jest uczcą i zaproszeniem do stołu. Jan Englert jakoś to jednak połączył. ●

William Shakespeare. „Hamlet”, Teatr Narodowy, przekład Stanisława Barańczaka, reżyseria Jana Englerta

*Izydora Dąmbska

• 1904-83, filozof, logic, należała do lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej. Ukończyła filozofię na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, była uczennicą Kazimierza Twardowskiego. Zajmowała się m.in. historią filozofii, semiotyką, metodologią nauk i teorią poznania.

• W latach 1957-64 profesor UJ, w 1964 r. usunięta ze względów politycznych z zakazem wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego, pracowała następnie w IFiS PAN.

W czasie II wojny światowej działała w AK, organizowała i prowadziła we Lwowie tajne nauczanie. W PRL-u uczestniczyła w akcjach wolnościowych organizowanych przez opozycję demokratyczną, m.in. podpisywała listy protestacyjne, przystąpiła też do niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych.

• Zbigniew Herbert zadedykował jej wiersz „Potęga smaku”.

Tekst za: Izydora Dąmbska, „Mądrość i prawda”, edycję

naukową materiałów źródłowych opracowali Radosław Kuliniak, Mariusz Pandura, Łukasz Ratajczak we współpracy z Barbarą Judkowiak. Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2023. Pierwotnie opublikowany w „Znaku” nr 7/1981.



Z PROF. LLOYDEM LLEWELLYNEM-JONESEM,
AUTOREM MONOGRAFII „PERSOWIE.
EPOKA WIELKICH KRÓLÓW”,
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

KASPER KALINOWSKI: Jako Europejczycy, gdy myślimy o starożytnej Persji, prawie za każdym razem mijamy się z prawdą i opieramy na mitach. Dlaczego?

PROF. LLOYD LLEWELLYN-JONES: Myślę, że wynika to z olbrzymiego szacunku, jakim darzymy klasyczne źródła greckie. Tak bardzo zależy nam na postrzeganiu siebie jako spadkobierców cywilizacji grecko-rzymskiej, że po prostu zignorowaliśmy to, co w swojej książce określiłem „wersją perską”. W praktyce przez 2500 lat uprawialiśmy jednostronną narrację, która miała na celu zdyskredytowanie Wschodu i gloryfikowanie Zachodu.

Ale jeśli spojrzymy na źródła perskie, których pojawia się coraz więcej, natrafimy na cywilizację, która była równie wyrafinowana, a w okresie swej świetności nawet potężniejsza niż Zachód.

Jak jako ekspert od starożytnej Persji ogląda się hollywoodzkie produkcje w rodzaju „Aleksandra” czy „300”?

– Rozumiem, że pod wieloma względami produkcje filmowe i telewizyjne rządzą się własnymi prawami. Problem polega na tym, że ciągle tworzą nowe mity i legendy. Niczym się w tym nie różnią od tego, co robili starożytni Grecy, pisząc np. tragedie o wojnie trojańskiej.

W tych przypadkach mamy do czynienia z mitologią Aleksandra Wielkiego czy Kserksesa, która nie ma nic wspólnego z historią. Filmowi „300” ze swoimi wielkimi nosorożcami zdecydowanie bliżej do „Władcy pierścieni”. Zresztą Spartanie w tym filmie są równie dziwni. Dlatego nie dziwi mnie, że Irańczycy mieszkający w USA protestowali przeciwko tej produkcji. W czasie, kiedy ukazał się film, populistyczny sprzeciw wobec mniejszości irańskiej za oceanem się nasilił.

Trudno o zmianę tak mocno utrwalonych wzorców myślenia. Dlatego cieszę się, że na moim Uniwersytecie w Cardiff, gdzie wykładam historię starożytnej Persji, studenci mają szansę na zobaczenie przeszłości od nieznanej i pomijanej strony – na podstawie źródeł wschodnich.

Dla Zachodu wojny persko-greckie to jeden z mitów założycielskich. Czym były dla Persów?

– Marginalnym wydarzeniem gdzieś na zachodnich obrzeżach wielkiego imperium, które nikogo nie interesowało. Dla Persów nic ważnego się nie wydarzyło. Dla Kserksesa cała kampania zakończyła się nawet częściowym sukcesem. Spalił przecież doszczętnie siedzibę wroga – Ateny.

Dla Greków stało się to jednak decydującym momentem historii. Wtedy nagle narodziła się idea Grecji. To kolejny mit, w który chyba chcemy wierzyć. Zapominamy więc o szczegółach, jak choćby tym, że nie wszyscy Grecy dołączyli w tym czasie do Aten i Sparty, aby walczyć z Persami. Po tym, co zrobiły im Ateny czy Sparta, wiele greckich państw-miast po prostu wołało rządy perskie. Coś takiego jak zjednoczona Grecja walcząca przeciw Persji nigdy nie istniało.

Może taka interpretacja historii to część ludzkiej natury? Dobrze posiadać mity o dawnej chwale i wielkości.

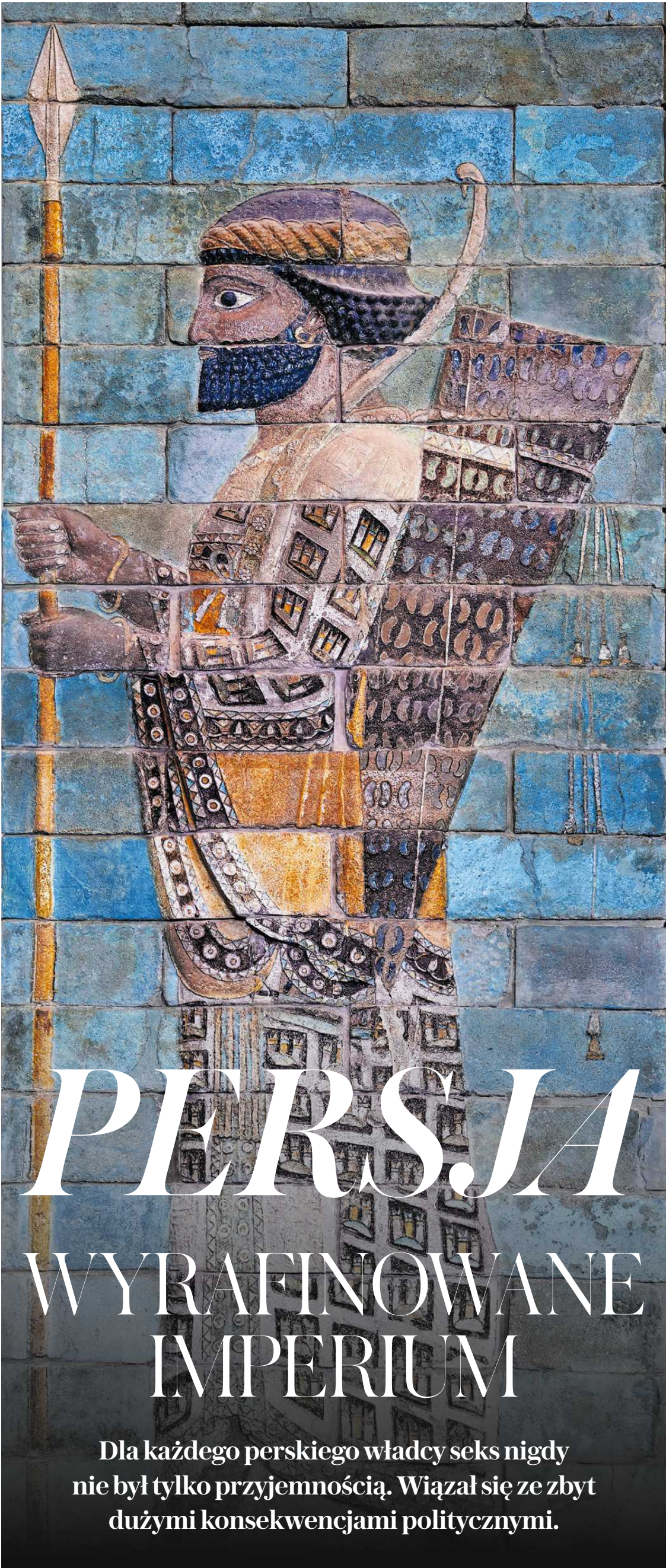
– Dokładnie tak. Obserwujemy to przez całą historię. Również współcześnie. Spójrzmy na Trumpa i jego zwolenników. To ludzie, którzy wierzą, że ponownie wkroczą w jakiś nowy złoty wiek, o którym mówili już starożytni Grecy. Jego zwolennicy mają obsesję i są całkowicie zaślepieni w tym, co robią. Nie wiedzą również nic o historii.

Mimo to postrzegają Trumpa jako silnego człowieka, który ich tam zaprowadzi. Dokładnie to samo robił Mussolini. To chyba sposób, w jaki funkcjonuje historia ludzkości.

Kiedy czytałem twoją książkę, pomyślałem o Putinie. Uczenie się historii Persji od Herodota można porównać do nauki historii Polski z rosyjskich podręczników?

– Ależ oczywiście. To równie zniekształcony przekaz, który ma wychwalać wielkość jednej strony oraz obciążać winą za wszystko i demonizować drugą.

Dla mnie chyba najgorszym błędnym przekonaniem jest to, że tak wielu ludzi wciąż myśli, że



• Detal z procesji łuczników (515 p.n.e.) z pałacu szachinszacha Dariusza I Wielkiego (522-486 p.n.e.) w irańskim mieście Suza, jednej ze stolic starożytnej Persji. Zbiory w Luwrze FOT. PAUL WILLIAMS / ALAMY STOCK PHOTO

Persowie byli jednym z arabskich plemion. Do tego wyznającym islam.

– W pełni się z tym zgadzam. Wielu ludzi wciąż nie potrafi oddzielić starożytnej Persji od islamu. Nie przeszkadza im, że mamy do czynienia ze społeczeństwem przedislamskim, powstałym tysiące lat przed islamem. Ale czy powinno nas to dziwić? Przecież większość ludzi nie potrafi wskazać różnicy między Iranem a Irakiem.

Zachód stworzył własną wizję Wschodu, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To albo kraina przygód, czyli Wschód pelen tancerek, magii, drogich dywanów i rozkoszy, albo Wschód terroryzmu, broni i islamskiego fundamentalizmu. Dlatego postanowiłem napisać tę książkę. Chciałem oddać Persom sprawiedliwość. Spędziłem dużo czasu w Iranie i kocham ten kraj. To mój drugi dom. Moim największym marzeniem jest to, że kiedy irański reżim upadnie, a jestem przekonany, że to się wydarzy, młodzi Irańczycy znów będą mogli pisać własną historię.

To jedna z pierwszych książek opartych wyłącznie na perskich źródłach. Napisanie jej 30 lat temu nie byłoby chyba możliwe.

– Tak. W ciągu tych 30 lat przeszliśmy długą drogę w oddawaniu głosu samej Persji. W tym czasie przetłumaczono wiele tabliczek z pismem staroperskim lub elamickim. Te same wydarzenia postrzegane są zupełnie inaczej.

Tożsamość perska przetrwała próbę czasu? Irańczycy wciąż czują się ich potomkami?

– Myślę, że w dużej mierze czują się Persami. Rzeczą, z którą na pewno się nie identyfikują, jest islam. Cyrusa wciąż postrzegają jako swojego ojca. Dlatego 29 października został nazwany przez Irańczyków Wielkim Dniem Cyrusa. Nie jest to oficjalne święto, ale rząd nie może tego powstrzymać, więc kilkanaście lat temu wręczył przebranemu za Cyrusa aktorowi najważniejsze odznaczenie państwowe.

To powód, dla którego cały czas powtarzam studentom, że historia starożytna nie jest martwa. Jeśli spojrzysz na współczesny świat, znajdziesz wiele miejsc, gdzie to, co wydarzyło się np. 3000 lat temu, pozostaje w pełni aktualne.

Rozmawiając o Persji, nie sposób pominąć haremu. Pierwsze skojarzenia: taniec brzucha, złoto, erotyzm, są poprawne? Tym był harem?

– Pełnił przede wszystkim funkcję polityczną. Dopiero w drugiej kolejności służył przyjemności władcy. To, co działo się w haremie, było niemal miniaturową wersją całego imperium. Dla każdego władcy Persji seks nigdy nie był tylko przyjemnością. Wiązał się ze zbyt dużymi konsekwencjami politycznymi. Dobrze oddaje to fakt, że gdy nałożnica rodziła władcy syna, ich relacja się kończyła – unikano rodzonych braci.

Persowie nie zawracali sobie głowy ustaleniem zasad dziedziczenia. Dlatego każda kobieta w haremie miała szansę wypromować swojego syna na króla i oczywiście stać się najpotężniejszą kobietą w Persji.

Historia Persji przyćmiewa „Grę o tron” czy dramaty Szekspira. Choć na ogół żeniono się z kuzynkami czy siostrami przyrodnimi, można było np. poślubić biologiczną siostrę. Przecież takie potomstwo wciąż było królewską krwią.

Jednak żaden perski władca nigdy nie ożenił się z cudzoziemką. Krzyżowano się wśród wąskiej grupy arystokracji.

W Europie to samo robili Habsburgowie i ich linię pustoszyły liczne choroby i fizyczne dolegliwości jak słynna warga Habsburgów. To samo pewnie spotkałoby dynastię Achemenidów, ale upadła zbyt szybko.

A kobiety w państwie Persów? Miały jakiegolwiek prawa?

– Wszystko zależy od tego, co nazwiemy prawami. Kobiety w Persji miały więcej wolności, niż większość z nas sądzi. Dotyczyło to jednak wyłącznie zamożnych kobiet. Matki królów i ich żony posiadały własne majątki i podróżowały samodzielnie, gdzie chciały. Część z nich doszła do olbrzymich fortun. Jednak nie mogły pełnić oficjalnych funkcji, więc w języku staroperskim nie ma określenia na królową. Królowa to po prostu „żona króla”.

Niestety, wiemy bardzo niewiele o kobietach z klasy robotniczej i ich życiu, praktycznie nie pojawiają się w źródłach.

Przez dzisiejszy Iran przetoczyli się później Mongołowie, Turcy czy Brytyjczycy, wszyscy tam byli i w pewnym sensie wszyscy zostali podbici przez cywilizację perską, która wyraźnie na nich wpłynęła

A król królów? „Władca czterech stron świata” podlegał jakimukolwiek prawu?

– Nie, to on był prawem.

Wróćmy do braku zasad dziedziczenia. Nie destabilizowało to państwa? Brzmi jak gotowy przepis na wojnę domową.

– To właśnie w pewnym sensie doprowadziło do upadku imperium – walka między braćmi i ich matkami o władzę. Ale to nic wyjątkowego. Wystarczy spojrzeć na harem osmański, harem chińskiej dynastii Qing w Zakazanym Mieście czy harem Mogolów w Indiach. Kobiety nie pełnią oficjalnych funkcji i nie mają oficjalnej władzy, a mimo to mogą sprawować władzę i wywierać wpływ przez inne, nieformalne i subtelne formy kontroli.

Wspomniałeś, że imperium perskie było wyrafinowane bardziej niż imperium rzymskie?

– Było o wiele bardziej wyrafinowanym mechanizmem. Rzymianie mieli drogi, ale nie rozwinęli systemu transportu. Perski zaś być cudem epoki, zdecydowanie najlepszym w całym starożytnym świecie. To złożona sieć dróg, stacji dla koni, wykorzystanie rzek i morza. Nawet Herodot był pod wrażeniem perskich usług pocztowych. System poczty kurierskiej, o wiele szybszy od rzymskiego, łączył najważniejsze miasta. Drogi były strzeżone, bezpieczne i pełne stacji do wymiany koni. Zatrudniano również robotników, którzy nie tylko naprawiali nawierzchnię, ale również tępil skorpiońy i węże.

Najważniejszą różnicą między imperium perskim a rzymskim nie była infrastruktura. Ważniejszy był fakt, że Persowie nigdy nie narzucali podbitym ludom własnego języka, religii ani nawet architektury. W przypadku dowolnego miejsca w imperium rzymskim, od Wielkiej Brytanii po Niemcy i Syrię, łatwo jest zidentyfikować miejsca, które należały do Rzymian. Podobnie w przypadku dawnego imperium brytyjskiego – w Indiach czy Malezji od razu dostrzeżesz ślady kolonialnej przeszłości, brytyjską architekturę, biurokrację czy język. Persowie nigdy tego nie robili. Tak długo, jak płacono im podatki, można było w zasadzie cieszyć się niezależnością.

Nie możemy ich jednak romantyzować. Ich historia jest pełna krwi i ludobójstw.

– Żadne imperium w historii nie było czymś dobrym, one rosną przecież przez podboje i terror. Ale gdybym musiał wybrać imperium, pod którego rządami miałbym żyć, wolałbym perską wolność niż bardziej opresyjny sposób rządzenia Rzymian czy Brytyjczyków w XIX wieku.

Tu zupełnie inne państwo niż Rzym. Persowie długo nie mieli miast ani stolicy.

Dopiero gdy zaczęli podziwiać podbite miasta takie jak Babilon czy staroegipskie Memfis zaczęli wznosić własne ośrodki. Było to imperium bez stolicy. Powiedziałbym, że Persja była imperium perypatetycznym, zmieniającym stolicę. Persowie to przecież potomkowie nomadów, nawet ich władcy mieszkali w namiotach, bo nieustannie się przemieszczali zgodnie z pogodą. Latem

władca przebywał na północy w chłodniejszych górach Ekbatanu, a zimą w Babilonie czy Suzie, wiosnę zaś w Persepolis lub Pasargadach.

Nawet słynne Perspepolis nigdy nie stało się oficjalną stolicą, choć wielu ludzi myśli inaczej. Było po prostu centrum ceremonialnym.

Często powtarza się opinię, że Persepolis wznosili nie niewolnicy, ale wolni ludzie, którym płacono za pracę. To prawda?

– Nie sądzę, żeby to było takie proste. W języku elamickim mamy słowo „kurtas”, które można przetłumaczyć jako robotnicy, którzy otrzymywali zapłatę w racjach żywnościowych i zakwaterowaniu za wykonaną pracę. O wiele bardziej trafnym przetłumaczeniem tego słowa jest jednak „niewolnik”. Racje żywnościowe zaspokajały tylko ich podstawowe potrzeby, to nie był odpowiednik pensji.

Istniały również dowody na rodzaj programu „hodowli” niewolników, państwowy program prokreacyjny. Niewolnice były łączone z mężczyznami i tworzyły kolejne pokolenie niewolników. Racje żywnościowe kobiet w ciąży zwiększano, a w przypadku młodych mam były podwajane, ale tylko po narodzinach chłopca, co być może wiele mówi o perskim poglądzie na hierarchię płci w niższych warstwach społecznych. Do tego zachowała się historia o Aleksandrze Wielkim, który po podboju Persji spotkał okaleczonych greckich jeńców wojennych.

W każdej starożytnej cywilizacji mamy do czynienia z niewolnictwem. Dlaczego Persja miałaby być inna?

Przejęliśmy od Persów ubiór. Obaj jesteśmy ubrani w spodnie. Co powiedzieliby na to starożytni Grecy?

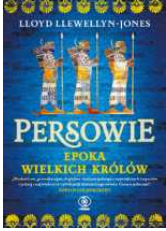
– Na pewno pomyśleliby o koniach i hordach barbarzyńców. Cywilizowany człowiek w Grecji nie zakrywał w ten sposób nóg. To Persowie stworzyli pierwsze ubrania przypominające te, które nosimy współcześnie. Powód był prosty. Były po prostu praktyczne, gdy tyle czasu spędzało się w siodle.

Tylko dlaczego tak potężne imperium upadło tak szybko?

– Persowie pojawili się nagle, w ciągu życia jednego pokolenia stworzyli potężne państwo. Aleksander Wielki wymazał ich z historii również szybko. Był geniuszem na polu bitwy, pojawił się znikąd i po prostu umiejętnie poderżnął gardło Persji, która szybko się wykrwawiła. Najgorszym błędem, jaki popełnił Dariusz, było niesłuchanie zachodnich doradców, którzy mówili: „Nie pozwól Aleksandrowi postawić stopy w Azji Mniejszej”. Za późno wysłał tam wojska. Nie było żadnego procesu upadku, z perskich źródeł wiemy, że imperium funkcjonowało sprawnie. Do tego stopnia, że jak podkreślają niesamowite dokumenty odkryte w Baktrii, na terenie współczesnego Afganistanu, koniec panowania Dariusza przeszedł płynnie w panowanie Aleksandra. Wszystko działało tak perfekcyjnie, że nie było sensu czeegokolwiek zmieniać.

Może lepiej zadać inne pytanie: nie dlaczego imperium upadło, ale dlaczego w ogóle trwało tak długo? To naprawdę o wiele bardziej interesująca kwestia. Upadek imperium był szokiem dla wszystkich. Zapominamy również, że w pewnym sensie Aleksander nie podbił Persji. W jakiś sposób to ona podbiła Aleksandra. Chciał uczynić Babilon swoją stolicą i żyć jak król królów. Nawet ubierał się w perskie stroje, wprowadził wschodni zwyczaj proskynesis – padnięcia na twarz przed władcą, co oczywiście szokowało jego ludzi.

Przez dzisiejszy Iran przetoczyli się później Mongołowie, Turcy czy Brytyjczycy, wszyscy tam byli i w pewnym sensie wszyscy zostali podbici przez cywilizację perską, która wyraźnie na nich wpłynęła. Wydaje się, że jest coś w tamtejszej kulturze, co jest silniejsze niż tożsamość któregoś z jej zdobywców. Dla mnie to naprawdę fascynujące. ●



Lloyd Llewellyn-Jones

„Persowie. Epoka wielkich królów”
Wydawnictwo Rebis

Lloyd Llewellyn-Jones

• Pochodzi z Cefn Cribwyr w Walii, profesor historii starożytnej na Uniwersytecie w Cardiff, wykładał na Uniwersytecie Edynburskim. Spędził sporo czasu w Iranie i jest znawcą dziejów i kultur Persji, Bliskiego Wschodu i Grecji. Dyrektor Programu Starożytnego Iranu Brytyjskiego Instytutu Studiów Perskich.

CHINY 1980

**„Uprasza się gości zagranicznych o nieopuszczanie domu pracy i wypoczynku bez przewodnika”.
Ewa Kuryluk w Pekinie.**

Ewa Kuryluk, Wojciech Szot

Był maj 1980 roku, gdy Ewa Kuryluk, słynna malarka i przyszła autorka autobiograficznego cyklu powieści, znalazła się w Chinach. Dzisiaj, po niemal pięciu dekadach, artystka wróciła do tej wyprawy podczas porządkowania archiwum swoich fotografii.

Ewa Kuryluk: Zbliżał się Pierwszy Maja 1980 roku, gdy prawie pusty samolot pakistańskich linii lotniczych, podchodził do lądowania w Pekinie. Za oknem pochmurnie, w umyśle dyskusyjnie — myślałam. Pesymistka we mnie niepokoiła się. Rewolucja Kulturalna dopiero co się skończyła. Optymistka podkreślała, że od 9 września 1976 roku, gdy zmarł Mao, upłynęło już tyle czasu, ile od zgonu Stalina do Października '56, więc odwilż na całego.

W centrum Pekinu, na wielkim placu wisiały portrety Lenina i Stalina, zapewne z okazji zbliżającego się święta. A gdzie reszta wodzów proletariatu — pomyślałam.

Nim poszłam do pierwszej klasy w roku śmierci Stalina, jego wizerunek pojawiał się na Pierwszego Maja na placu Trzech Krzyży w kolejności, którą pamiętam do dziś. Pierwszy — od Wiejskiej — wisiał Marks, za nim Engels, Lenin, Stalin i Mao, a na końcu, nie dochodząc do Alej Ujazdowskich (wówczas Stalina), Ho Chi Minh.

Radość widziałam w Chinach jedynie u ojców, matek i par z dzieckiem. Pod trzydziestkę, w wyświechtanych drelichach, rodzice prowadzili pociechy w strojach wykonanych własnymi rękoma: w śpioszках zrobionych na drutach z różnokolorowej welenki, w szydełkowych kaftanikach ze skrzydełkami ważki, kapturkach z uszkami zajączka, kapelusikach w kwiatki. A ledwie wyjrzało słońce, otwierali nad główkami pastelowe parasolki.

W Pekinie, Nankinie czy Szanghaju widywałam częściej jedynek niż jedy-naczki, bo płody płci żeńskiej usuwano pręcej. Lecz na początku nie miałam o tym pojęcia. Jak i o tym, że przy wyjściu z fabryk wkładano robotnicom pod język pigułki antykoncepcyjne. Jednak na wsi władzy szło gorzej i widziałam tam sporo „nielegalnych” dzieci. ●

wyborcza.pl

● Cały fotoreportaż wraz z autorskim komentarzem Ewy Kuryluk na: Wyborcza.pl/Alehistoria



● Nankin. „Święta droga stoni” w Mauzoleum Ming Xiaoling. Kuryluk: „Dowiedzieliśmy się, że »druk map i planów miasta został wstrzymany z uwagi na bezpieczeństwo kraju«, a rowery są tylko z przydziału”. Słynną nekropolię zdewastowały Czerwone Brygady hunwejbiniów i rozgrabili okoliczni mieszkańcy FOT. EWA KURYLUK



◀ Nankin. Fryzjer strzyże małą klientkę w bramie kampusu uniwersyteckiego FOT. EWA KURYLUK

► Pekin. „Chodniki trafiają się rzadko. Pie-szych mało, rowerzystów przybywa bliżej centrum” FOT. EWA KURYLUK

► ASP w Nankinie. „Pozwolono mi sfotografować studentów. Studentek nie było” FOT. EWA KURYLUK





• Nankin. „Po obiedzie podszedł do nas z miłym uśmiechem okularnik w spranym mundurku (cztery kieszenie) i jasnych spodniach. Przedstawił się po angielsku jako profesor Feng Duan z wydziału fizyki”. Z lewej profesor, z prawej jego żona, w środku Helmut Kirchner i Ewa Kuryluk

FOT. ARCHIWUM EWY KURYLUK



▲ „Przydzielono nam sympatycznego przewodnika z niezłą znajomością angielskiego. W drodze do grobowców Ming poprosił o pamiątkowe foto naprzeciwko bumelanta śpiącego na kamiennym koniu. Ja sfotografowałam bumelanta”

FOT. EWA KURYLUK

◀ Park w Pekinie. „Radość widziałam w Chinach jedynie u ojców, matek i par z dzieckiem”

FOT. EWA KURYLUK

▼ Pekin. „Za Mao panował głód, ale w naszym obozie nie zmuszali do jedzenia papieru — szeptał starszy mężczyzna. Przewodniczący uważał, że papier można jeść”

FOT. EWA KURYLUK



Krystyna Naszkowska

„Jeśli opiszesz swoją wieś, to opiszesz cały świat” – napisał Lew Tolstoj w powieści „Śmierć Iwana Iljicza”. Kiedy to pisał, czyli w połowie XIX wieku, była to bez wątpienia prawda. Wtedy na wsi rosyjskiej, a i polskiej, mieszkało ok. 80 proc. społeczeństwa i większość mieszkańców nosa ze swojej wsi nie wychylała. Była więc ona ich całym światem.

Stanisław Pigoń – wybitny literatury – roznawca – z pewnością znał ten cytat z Tolstoja, co nie znaczy, że kierował się nim, próbując opisać Kombornię, rodzinną wieś na Podkarpaciu, w której się urodził w drugiej połowie XIX wieku.

Chciał po prostu rzetelnie oddać świadectwo swoim czasom, uchwycić dynamikę przemian wsi polskiej w XIX i XX wieku. I prawdopodobnie dodać ducha dzieciom chłopskim, pokazać, że nawet ktoś, kto urodził się w kurnej chacie, może wejść na salony. On sam był tego przecież najlepszym przykładem.

Wyszła z tego niezwykle barwna opowieść, szczerza, przyciągająca autentycznością. Zaczął pisać swoje wspomnienia w listopadzie 1939 roku, kiedy wraz z grupą 183 pracowników i naukowców Uniwersytetu Jagiellońskiego został aresztowany i wywieziony do obozu Sachsenhausen. To była jego recepta na straszną rzeczywistość.

„Z Komborni w świat” doczekało się kilku wydań i jest to lektura, która w miarę upływu czasu tylko zyskuje.

W KURNEJ CHACIE

Pigoń we wspomnieniach próbuje pokazać nam tę swoją wieś, jakby była całym światem. Jest tu jej szczegółowa topografia, dowiadujemy się, ilu i w jakich latach mieszkało tu gospodarzy, ilu było kmieci, ilu małorolnych, a ilu bezrolnych zdanych na pracę zarobkową u innych. Przedstawia codzienne życie mieszkańców, pisze o stosunkach społecznych i gospodarczych, o majątkowym rozwarstwieniu i konfliktach, opisuje sposoby uprawiania roli, narzędzia rolnicze, domy oraz ubiory kobiet i mężczyzn. Jest też uważne obserwowanie przemian na wsi.

W czasach dzieciństwa i młodości Pigionia cała praktycznie wieś złożona była z tzw. kurnych chat – z wyjątkiem plebanii, szkoły i dworu. On sam w takiej chacie się urodził i spędził w niej dzieciństwo. Kurna chata, o czym dziś wielu nie wie, to chata bez komina. A to oznaczało, jak brawurowo opisuje Pigoń, chodzenie po izbie mocno pochylonym – bowiem tylko na jakiś metr nad ziemią dym z paleniska, który rozchodził się po pomieszczeniu, nie zalegał na tyle gęsto, by nie drażnić oczu i gardła. Skutek tego zalegania dymu był taki, że ściany pokryte były grubą warstwą czarnej sadzy, którą od czasu do czasu, zwykle około Wielkanocy, próbowano zeskrobywać. Na kolor ścian to jednak nie miało bynajmniej wpływu. Bielenie ścian wapnem nic nie dawało – sadza się tylko rozsmarowywała po ścianie.

Stopniowo jednak wieś się unowocześniała i tuż przed II wojną światową większość chat miała kominy, a w 1947 roku zburzono w Komborni ostatnią kurną chatę.

ORKISZ Z WYŻSZEJ PÓŁKI

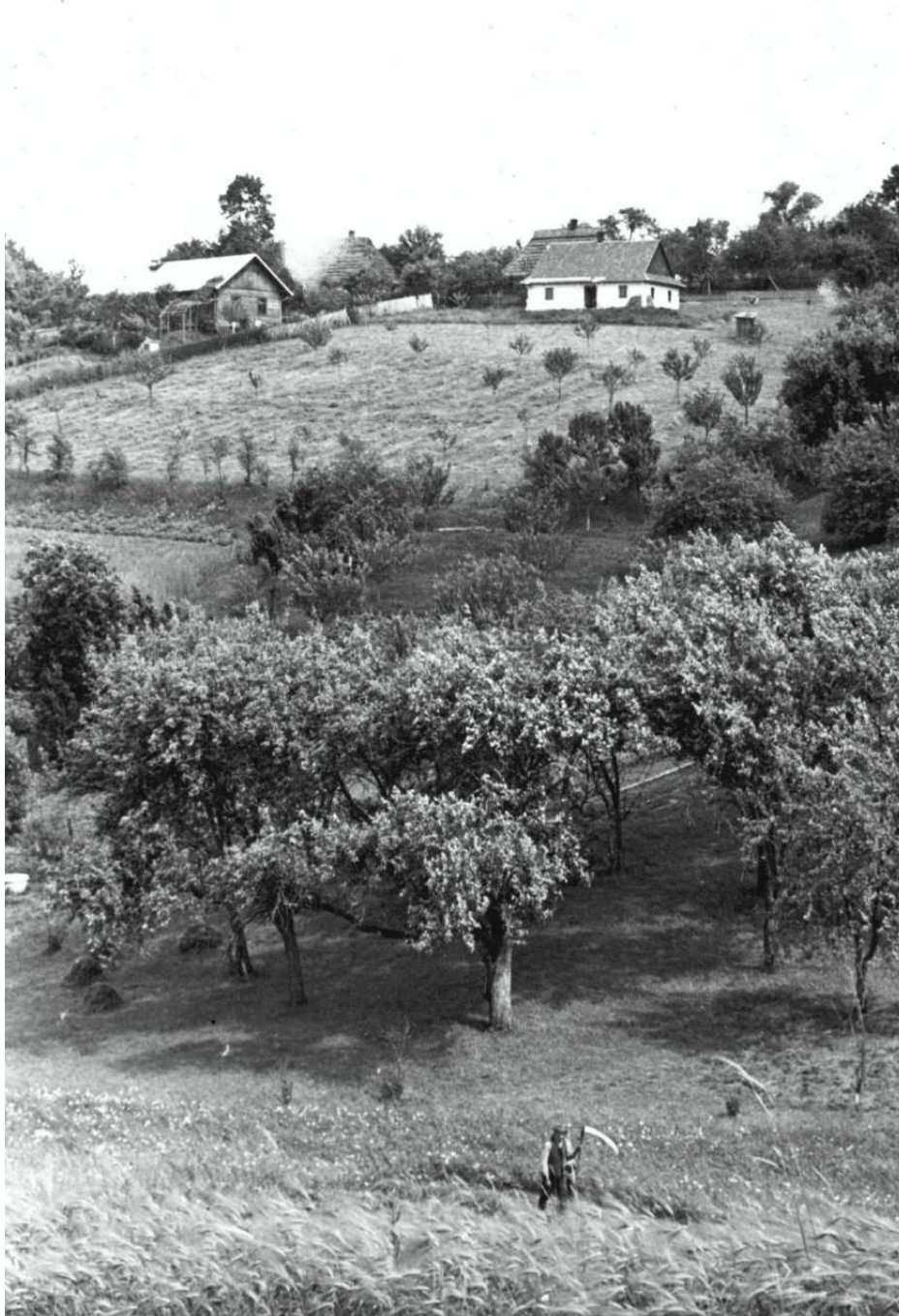
Pigoń opisuje, jak w czasach jego dzieciństwa siano na wsi pszenicę orkiszową, która wówczas była głównym składnikiem pożywienia, a „dziś – pisze to jako uzupełnienie do wspomnień w 1947 roku – jest zupełnie zapomniana”.

Gdyby dożył 2025 roku (zmarł w 1968), mógłby się przekonać, jak historia kołem się toczy. Dziś bowiem ta zapomniana kiedyś pszenica orkiszowa wróciła do łask klientów. Orkiszowa mąka i pieczony z niej chleb uchodzi za coś z tzw. wyższej półki. Kupują go ludzie zwykle zamożniejsi, dbający o swoje zdrowie i właściwą dietę.

Wież,

CZYLI CAŁY ŚWIAT

Gdy ojciec Stanisława Pigionia zapytał plebana, czy kształcić syna, ten mu poradził: „A po co chłopcu wychodzić poza stan, w którym go Pan Bóg postawił?”. Na szczęście nie posłuchał.



• **Wież Kombornia na Podkarpaciu, zdjęcie wykonane w czasie drugiej wojny światowej. Nie było już tam wtedy kurnych chat** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Orkisz – pokarm biednych chłopów z Komborni – trafił na stoły miejskich elit.

Albo takie placki owsiane. Pigoń wspomina je jako wyjątkowo mało smaczne, „ościste”, jedzone z konieczności, bo po prostu owies był od pszenicy znacznie tańszy. Dziś, po latach karmienia nim koni, owies też przeżywa swój wielki come back jako pożywienie dla ludzi.

Pewnie Pigionowi by do głowy nie przyszło, by pić mleko owsiane do kawy – dziś to absolutnie zwyczajny napój w miejskich kawiarniach, wręcz snobistyczny, symbol dbania o zdrowie, a dla wegan wręcz niezbędny.

Opis, kiedy nagiego małego Stasia Pigionia, który czegoś niedomaga, miejscowa znachorka wsunęła na łopacie do pieca chlebowego, przypomina zupełnie bajkę o Jasiu i Małgosi. I tylko przeraźliwe wrzaski chłopca zmusiły matkę do interwencji i przerwania tego medycznego eksperymentu, który Bóg wie jak mógł się skończyć.

PO RADĘ DO PLEBANA

Zmieniały się chaty, zmieniały obyczaje i zmieniał się ustrój wsi. Wieś zbliżała się do miasta i wraz z tym następowało rozluźnienie więzów rodowych i sąsiedzkich. Wspomina Pigoń, jak respektowane były kiedyś związki pokrewieństwa, nawet bardzo dalekie, które w miarę upływu czasu się rozluźniały.

„Dalszemu nawet krewnemu dzieci mówiły »Stryku« i całowały go w rękę, dorośli przyjaciele i dobrzy sąsiedzi tytułowali się nawzajem »krzesny«, co oznaczało raczej rówieśnika, a nie było różnoznacne z »krzesnoojcem«, tj. ojcem chrzesnym”. I podsumowuje: „Sprawdzone do czynników najprostszych dzisiejsze społeczeństwo wiejskie opiera się nie na rodach, nawet nie na rodzinach, ale na jednostkach”.

Na te zmiany na wsi wielki wpływ miała emigracja za chlebem, głównie do USA, a potem powroty emigrantów. „Siaki taki po paroletnim pobycie w Ameryce, zarobiwszy nieco grosza, zakupował grunt, budował i urządzał dom na wyższym poziomie komfortu mieszkaniowego, a dzięki nabytej na obczyźnie rzutkości i wyrobieniu umysłowemu wkraczał między zasiedziały gospodarzy i kmieci. Budował się nowy układ społeczny wsi”.

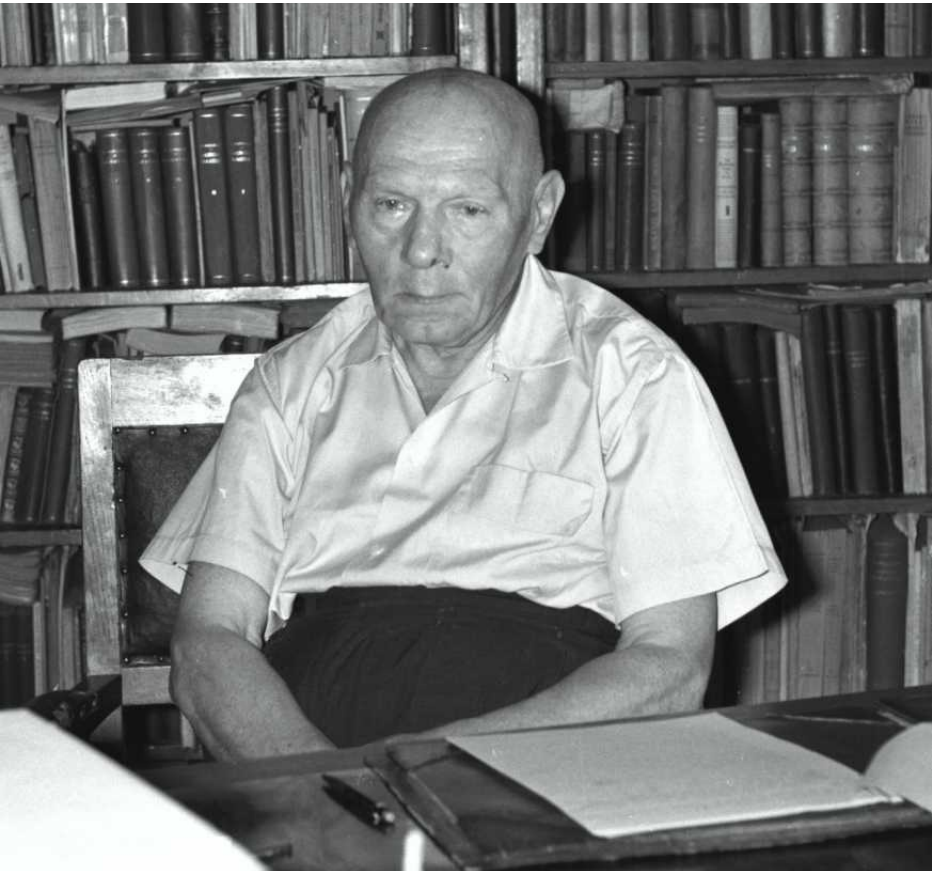
Za to do rozwoju wsi wedle Pigionia nie przykładał się dwór ani plebania. Nawet wręcz przeciwnie, to były koła hamulcowe. Kiedy nauczył się w wiejskiej trzyklasowej szkółki zachęcał ojca Pigionia, wiejskiego kowala, by posłał syna na dalsze kształcenie do miasta, bo warto w zdolnego chłopca inwestować, ojciec szukał porady u plebana. Szukał, gdyż posłanie dziecka do szkoły oznaczało dla biednego chłopca duży wydatek, i to na lata. Otóż pleban miał swoje zdanie na ten temat: „Po co chłopcu wychodzić poza stan, w którym go Pan Bóg postawił?”.

Na szczęście kowal nie posłuchał i już przed wojną Pigoń został profesorem dwóch uniwersytetów – Wileńskiego i Jagiellońskiego.

ŻAŁ DO CHŁOPSKICH SYNÓW

Ostatni dziedzic Komborni zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym, potem dwór dewastowali żołnierze Armii Czerwonej. Po wojnie uznano, że stojący na końcu wsi nie nadaje się do wykorzystania na dom użytkowy dla gromady. Wtedy Pigoń ze smutkiem prognozował, że „za kilka lat zostaną z niego ruiny i tylko może pamięć”. Tu się pomylił. Dziś we dworze jest hotel ze spa otoczony pięknym parkiem i stawami.

Pomylił się też w swoich przewidywaniach światopoglądowych dotyczących mieszkańców wsi. Uważał, że polska wieś stoi na progu wielkiego religijnego kryzysu – kończy się stara religia, potulna i naiwna. Prorokował, że wieś się od religii i księży



• **Stanisław Pigoń (1885-1968), jeden z najwybitniejszych znawców twórczości Adama Mickiewicza, przed wojną rektor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, po 1945 roku wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim** FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

odwróci. Jak bardzo? To będzie zależało od tego, „czy starczy tam świątłych i świątobliwych bezinteresownych i ofiarnych księży – przeciętny pleban wiejski nie dorasta dziś do tak trudnego zadania”.

Raczej do dziś przeciętny wiejski pleban nie dorasta do tak trudnego zadnia. Za to, jak wynika z raportów o stanie polskiej wsi, które co dwa lata są publikowane przez Polską Akademię Nauk, nadal mieszkańcy wsi, a zwłaszcza rolnicy deklarują się jako osoby wierzące, przestrzegające katolickiego obrządku, uznające autorytet swojego proboszcza, którego słuchają także w sprawach politycznych. Żadna inna grupa społeczna nie jest tak podatna na sugestie i zalecenia Kościoła i tak wobec tego Kościoła bezkrytyczna jak rolnicy.

Autor tych wspomnień ma żal do takich jak on chłopskich synów, którzy „przeszli na wyższy poziom kultury”, że tak mało chłopskie wartości reklamują. „Tyle tysięcy, dziesiątki tysięcy synów chłopskich wsiąkło w miasto, w duchowieństwo, szkoły, urzędy, a tak mało ich tam widać, tak z rzadka ujawniają rzetelność charakteru, obowiązkowość, surowe poczucie odpowiedzialności, wytrwałość i zawziętość w trudzie, to znaczy: wartości urobione w stanie chłopskim przez wieki twardych wymogów pracy na roli, a mogące im dać powagę i własny autorytet oddziałujący na otoczenie”.

POLAK WE MNIE OBUDZONY

Pigoń, charyzmatyczny nauczyciel kilku pokoleń polonistów, historyk literatury, opisywał swoją wieś rzetelnie, ale wyraźnie miał pewną skłonność do usprawiedliwiania „swoich” chłopów. Opowiada, jak w czasie rabacji galicyjskiej dwór w Komborni został splądrowany przez chłopów z okolicznych wsi. „Komborscy przyszli na samym końcu. Mają – wyrozumowali sobie – zabierać obcy, niechże i swoim coś się okroi. Bądź co bądź nie oni zaczęli ten rabunek”.

I bardzo szczerze o byciu Polakiem na tej Podkarpackiej wsi. „Świadomości narodowej z domu naturalnie nie wyniosłem, nie mogłem wynieść. Ojciec jej nie miał, jak zresztą nikt z jego rówieśników. Ci nawet, co wyjechali do Ameryki, tęsknotę odczuwali do ojcowizny, do swojej wsi, nie do Polski, nawet nie do jej ułamka – Galicji. Objawy uświadomienia narodowego wśród chłopów z mojego dzieciństwa bywały tylko wyjątkowe”.

I nagle w nagrodę od nauczyciela za pilność w nauce dostał „Pana Tadeusza”. „Wówczas nie zadawałem sobie sprawy z wagi tego spotkania z książką. Było ono decydujące pod jednym, nie byle jakim względem: obudziło we mnie Polaka”. Tu dom rodzinny i wieś, w której słowo „Polska” nie padało, a tu nagle: „jakieś obłęzenie, wspomnienie o Trzecim Maja, Napoleon, jenerałowie, legiony. Słowa wolność i Ojczyzna”.

MY WSZYSCY Z CHAMÓW

Trudno się od tych wspomnień oderwać. To niby nie takie dawne czasy, ale jakże już odległe, czytamy tu historię. Ale pewne sprawy są zdumiewająco aktualne. Na początku lat 40. XX wieku Pigoń pisał: „To już nie jest chłop stający z czapką w ręce godzinami przed plebanią, przed łada surdutowcem. Dziś czuje się pewny w godności swojej, pożąda szacunku, nawet może z naddatkiem. Tymczasem nasza inteligencja i półinteligencja miejska nie odczyła się jeszcze traktowania chłopą z góry. Gdy tylko może bluźnie mu w oczy obelgą chamstwa”.

Dziś na wsi polskiej mieszka już tylko 40 proc. ludności. Do tego większość mieszkańców z rolnictwem niewiele ma wspólnego – polska wieś się zurbanizowała. Mamy na wsiach sieć wodociągów, kanalizacji, mamy gazociągi. Jest internet, są dobre drogi, mieszkają tu lekarze, nauczyciele, przedsiębiorcy. W połowie polskich wsi nie ma już ani jednej krowy, zniknęły przyzagrodowe chlewiki z paroma świnią. Podział na wieś i miasto staje się coraz bardziej archaiczny. Lata, a nawet dziesiątki lat minęły, a niektóre sprawy są jakby niezmiennie. I jeśli dziś czytamy komentarze internautów pod tekstami dotyczącymi jakichkolwiek decyzji rolników, to pełno w nich „obelg chamstwa” i „traktowania z góry”. Choć przecież współczesna inteligencja miejska w znacznym stopniu wywodzi się ze wsi, ale jakoś o tym nie chce pamiętać. ●



Stanisław Pigoń

„Z Komborni w świat. Wspomnienia z młodości”

Wyd. Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie im. Stanisława Pigiona

Okruchy historii

„Żona” „Chrina”

W kwietniu 1947 roku bezpieka oskarżyła niewinną kobietę, że jest kochanką zabójcy generała Karola Świerczewskiego.



W filmie „Ogniomistrz Kaleń” (1961) Ewy i Czesława Petelskich jedną z wyrazistych drugoplanowych postaci jest żona sotennego UPA „Bira”. W rzeczywistości chodzi o Stepana Stebelskiego „Chrina”, dowódcę sotni, która 28 marca 1947 roku zabiła w Bieszczadach gen. Karola Świerczewskiego.

Już w pierwszej scenie swoją urodą zwraca uwagę Kalenia, który z miejsca niemal się jej oświadcza. Jego prostoduszne zaloty nie mają szans powodzenia, lecz wywołują u niej mieszaninę życzliwości i pobażania. Rozumiejąca bezsens walki partyzanckiej kobieta myśli tylko o wydostaniu się z matni i instynktownie wyczuwa, że ogniomistrz nie jest jej wrogiem. Piękna, niebezpieczna, tajemnicza, w czasie akcji „Wisła” zręcznie wymyka się z rąk wojska i Urzędu Bezpieczeństwa. Tyle film.

Prawda o „żonie” „Chrina” wyłaniająca się z lektury dokumentów jest inna. 27 kwietnia 1947 roku w sztabie Grupy Operacyjnej „Wisła” gruchnęła wieść, że żołnierze zatrzymali w wiosce Łukowe żonę zabójcy gen. Świerczewskiego Annę Jaremovicz. 30 kwietnia 1947 porucznik Aleksander Dworak z Informacji przesłuchiwał kilku jej sąsiadów. Osenkowski zeznał, że według Panczyszyna często u niej bywają banderowcy, w tym sam sotenny: „Czy [...] im coś dawała, nie wiem. Przypuszczam, że raczej banderowcy jej przynosili wszystko”. Łukowski słyszał od innych, że jeśli coś się jej stanie, to UPA spali wieś. Inni też powtarzali tylko plotki.

Samą Annę Jaremovicz, 25-letnią wdowę z dwójką malutkich dzieci, protokolarnie przesłuchiwali funkcjonariusze UB w Sanoku i w obozie w Jaworznie. Przyznała, że kilkakrotnie dawała przechodzącym do niej upowcom żywność, jednak kategorycznie zaprzeczała, by cokolwiek wiązało ją z „Chrinem”: „Banderowcy przechodzili do mnie często, ale który z nich był »Chrin«, nie wiem i nie był wcale moim kochankiem”.

Konsekwentnie trzymała się tej wersji w czasie kolejnych przesłuchań. 17 czerwca w Jaworznie sformułowano akt oskarżenia. Kobiecie zarzucono współpracę z UPA, podkreślając przy tym: „sam dowódca sotni »Chrin«, jeden z najgorszych morderców i faszystów, był kochankiem oskarżonej”. Wtedy za mniej-

sze przewiny dostawało się wyrok śmierci.

25 sierpnia 1947 roku w Krakowie odbyła się rozprawa sądowa. Składowi sędziowskiemu przewodził porucznik Stanisław Sieracki, oskarżonej bronił doktor Stefan Kosiński. Kobiecie wniesionej z powodu paraliżu kończyn na salę rozpraw na noszach po raz pierwszy pozwolono swobodnie opowiedzieć swoją historię.

W grudniu 1945 do jej domu w Kalnicy przyszło pięciu upowców, których poczęstowała chlebem i mlekiem. Parę tygodni później wieś została spalona i kobieta decyzją Urzędu Ziemskiego dostała dom w Łukowem. Czytamy w zeznaniach: „ludność miejscowej wsi odniosła się do mnie niezyczliwie”, bo „otrzymałam ten dom po Ukraińcach” wysiedlonych do ZSRS. Do wioski, w tym do jej domu, kilkakrotnie przychodzili upowcy po żywność. Zabierali ją bez pytania, „oponować nie mogłam, gdyż jako kobieta, a przy tym Polka byłam bezsilna. Bandyci z moich zapasów zabierali tłuszcz i chleb”. I dodała: „W chwili aresztowania byłam zupełnie zdrowa, a wskutek bicia zostałam sparaliżowana. Aresztowana byłam 27 IV ’47, a sparaliżowana zostałam 30 IV ’47 r. w Kulusznm”.

Mówiła dalej: „Por. Informacji WP, który mnie przesłuchiwał, zaproponował mi oddanie mu się, na co ja się stanowczo nie zgodziłam. Wtenczas to ów porucznik powiesił mnie za nogi do góry. Było to w nocy”. Jak oprzytomniała, była już sparaliżowana. Słyszała, jak oficerowie zastanawiają się, co z nią zrobić. Oddać rodzinie czy może zastrzelić? W końcu wysłano ją do sanockiego aresztu UB.

„W czasie transportowania mnie do Sanoka posyłali do mojego wagonu żołnierzy WP, aby oglądali kochankę »Chrina«. Żołnierze ci, przechodząc do mnie, plułi na mnie [...]. Ja nie mogłam temu zaprzeczyć ani się bronić, ponieważ ów porucznik, który doprowadził mnie do kalectwa, zagroził mi zastrzeleniem [...]. A ja przecież nie znalazłam żadnego »Chrina« ani innych bandytów”.

Te szokujące zeznania wywarły tak duże wrażenie, że kobietę jeszcze tego samego dnia zwolniono i oczyszczono z wszystkich zarzutów. Zalecono też wszczęcie śledztwa przeciwko por. Dworakowi. Nie wiemy, jak ono się potoczyło, nie znamy też dalszych losów skrzywdzonej kobiety. Możemy tylko być pewni, że dla niej „Ogniomistrz Kaleń”, jeśli kiedykolwiek go zobaczyła, był naigrywaniem się z cierpienia, jakiego doznała. ●

Prof. Grzegorz Motyka

– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

WSPÓŁCZUJĄCY ANTYSEMITYZM

Postawa księdza Józefa Kruszyńskiego wobec Żydów i Zagłady może być kluczem do zrozumienia wielu Polaków, którzy, będąc antysemitami, nie mogli się pogodzić ze zbrodniami nazistów.

Andrzej Brzeziecki

Już wiele lat temu Jerzy Giedroyc stwierdził, że Polska historia jest zakłamana jak żadna inna. Rację ma chyba jednak prof. Maciej Górny z Instytutu Historii PAN, który twierdzi, że nasza przeszłość jest tak samo zmitologizowana i zakłamana jak każda inna. Zdaniem Górnego Polska może się za to pochwalić wyróżniającą ją tradycją kontestowania władzy, bo na przykład w Niemczech etos urzędniczy sprawia, że pracownicy uniwersytetów z lojalności wobec państwa siedzą raczej cicho.

Jednym z historyków, którzy z pewnością nie siedzą cicho, jest badacz Holocaustu Dariusz Libionka, pracownik Państwowego Muzeum na Majdanku i profesor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Libionka od lat publikuje swoje prace, bierze też udział w polemikach historycznych.

Jego książki poświęcone polskiemu antysemityzmowi przed II wojną światową i zachowaniu Polaków po 1 września 1939 r. wobec Żydów dają gwarancję wiarygodności. I chyba to tak przed laty rozwścieczyło neonazistów i ludzi negujących jakikolwiek udział Polaków w Zagładzie, że aż dwukrotnie malowali swastyki na samochodzie historyka, wrzucili mu do domu minibombę i okleili Lublin plakatami wymierzonymi w niego. Libionka ma mocne nerwy, twardy charakter i robi swoje.

MAKABRYCZNE PROROCTWO

Najnowszy dowód jego profesjonalizmu znalazłem w obszernym tomie „Oto widać i oto słyszać. Świadcowie Zagłady w okupowanej Polsce” wydanym przez IFIS PAN. Publikacja zawiera kilkanaście tekstów, spośród których kilka, jak Tadeusza Epszteina o ziemianach wobec Zagłady, Anny Wylegały o polskich i ukraińskich świadkach Holocaustu na wsi dystryktu Galicja czy właśnie Libionki – zwraca szczególną uwagę.

Tekst lubelskiego badacza traktuje nie o całej grupie społecznej, lecz jednym człowiekiem – księdzu profesorze Józefie Kruszyńskim. Była to postać nietuzinkowa – znawca Starego Testamentu, rektor KUL

w latach 1925-33 i antysemita, dla którego „Protokoły Mędrców Syjonu” były świętą prawdą. W latach 1940-45 kierował jako wikariusz generalny diecezją lubelską. Po wojnie, choć nadal związany z KUL, osiadł we Włocławku, gdzie zmarł w 1953 r.

Przez wiele lat prowadził zapiski, ich obszerne fragmenty były nawet drukowane, ale te kluczowe, dotyczące lat wojny, czekały blisko osiem dekad, aż dotrze do nich Libionka. Czekają w paczkach we Włocławku, ale jakoś historycy Kościoła, badacze Zagłady albo dziejów Lublina nie zwrócili na nie uwagi.

Dzięki ks. Krzysztofowi Kamińskiemu, dyrektorowi Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku, oraz siostrze Bernadecie Żabierek Libionka zdołał odczytać kilka tysięcy stron zapisków prowadzonych na wszelkim dostępnym papierze – blankietach druków, rachunkach za wino mszalne i dokumentach wystawianych przez okupanta. Dzięki tej benedyktyńskiej pracy wiemy więcej o codzienności Lublina w czasie wojny. Spuścizna ks. Kruszyńskiego to jedno z najważniejszych źródeł z okresu okupacji.

Ksiądz Kruszyński już długo przed wojną głosił, że Żydzi nienawidzą chrześcijan za to, że nie mają własnego państwa i muszą się tulać po świecie, co jest jedynie ich winą, gdyż odrzucili Objawienie. Cieszył się z rozwoju antysemityzmu w świecie, a nawet makabrycznie prorokował, że „fale antyjudajizmu w wieku XX zapiszą się niezatartymi śladami na polu odżyźnienia krajów i narodów chrześcijańskich”. Był zwolennikiem izolacji Żydów na gruncie towarzyskim oraz kulturalnym, popierał numerus clausus na uczelniach.

Żydzi księdzu Kruszyńskiemu kojarzyli się w dużej mierze z marksizmem, ale co ciekawe, także niemiecka ideologia wydawała mu się w przedziwny i talmudyczny sposób zaczerpnięta od Żydów. Hegel i Nietzsche byli jego zdaniem intelektualnymi dłużnikami Żydów, Hitler zaś odpowiednio skarykaturowany miał wyraźnie semickie rysy. W tym kontekście przywoływał proroctwo franciszkanina Ludwika Rocca z połowy XIX wieku głoszące, że 90 lat po jego śmierci „bękart żydowski” poprowadzi Niemców do wojny...



• Ksiądz profesor Józef Kruszyński (1877-1953), rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w latach 1925-33, bibliista, tłumacz Starego Testamentu, autor kilkunastu antysemitycznych książek

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



• Dr hab. Dariusz Libionka, historyk, badacz Zagłady na ziemiach polskich, pracuje w Państwowym Muzeum na Majdanku i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

LITOŚĆ I PODZIW ANTYSEMITY

Niemieckie zbrodnie brzydziły księdza Kruszyńskiego. Gdy w kwietniu 1941 r. był świadkiem wysiedlenia Żydów z Lublina, pisał: „Aż litość patrzeć. Długo tak stałem, nie mogąc przejść”. Widok idących udręczonych Żydów targał nerwami duchownego do tego stopnia, że Niemców przyrównywał do zwierząt. Akty przemocy, których dopuszczał się okupant wobec Żydów, bulwersowały duchownego, ponizanie ich zaś i dehumanizowanie były dlań dziełami szatana. Kruszyński współczuł Żydom i był przekonany, że inni Polacy także im współczują.

Libionka zauważa, że liczne informacje o losach Żydów podawane przez księdza Kruszyńskiego były nieprecyzyjne czy wręcz mylne, na przykład miejsce ich rozstrzeliwań, ale przecież w swej ogólnej istocie – prawdziwe. Niemcy mordowali Żydów na masową skalę i to oburzało księdza, budziło jego sympatię powstańcy walczący w getcie warszawskim. Innym razem oburzał się na polskich robotników pracujących w Majdanku, którzy za jakąkolwiek usługę świadczoną więźniom (np. przekazywanie listów) kazali sobie słono płacić. Libionka

zwraca uwagę, że Kruszyński nie idealizował postaw Polaków i potępiał współpracę z Niemcami przy mordowaniu Żydów.

Wszystkie te ciepłe uczucia wobec Żydów – od litości po sympatię i podziw – nie kłóciły się z nadal wyrażanym przekonaniem, że Żydzi to nienawidzący wszystkich naród szachrajów, a poza tym mściwy i okrutny. Kruszyński w zadziwiający sposób godził potępienie dla zbrodni Niemców z dalej nieskrywanym antysemityzmem.

Podobny stosunek mieli na ogół polscy ziemianie, co wykazał w tomie „Oto widać i oto słyszać” Tadeusz Epsztajn. Píše on, że nawet te nieliczne rodziny ziemiańskie, które podejmowały trud i ryzyko ukrywania Żydów, pozostały przy swoich uprzedzeniach wobec nich, a zdarzało się, że tych poglądów nie ukrywano przed nimi. „Spora część ziemiaństwa przeżyła Zagładę w pewnej neutralności, przerażona okrucieństwem okupanta, a jednocześnie niezangażowana w pomoc dla ofiar zbrodni”.

Także niektórzy polscy i ukraińscy mieszkańcy galicyjskiej wsi opisani przez Annę Wylegałę, którzy sami Żydów nie mordowali ani im nie pomagali, patrzyli z przerażeniem na rozgrywane się sceny. Na wsi przemoc była elementem życia, ale upodlanie ofiar już nie. Stąd więcej świad-

kowie Zagłady, choć sami Żydów mogli nie lubić, to jednak – bywało – im współczuli.

NIE POTRAFIŁ ODMÓWIĆ NIEMCOM

Co innego jednak prości chłopci, a co innego wykształcony duchowny, przedwojenny rektor uniwersytetu i znawca Starego Testamentu. Poglądy Kruszyńskiego głoszone przed wojną odbiły mu się zresztą solidną czkawką podczas okupacji. Niemcy zmagający się właśnie na froncie wschodnim wymyślili, że autorytet polskiego księdza może posłużyć do nagonki na Żydów jako komunistów, i złożyli mu propozycję nie do odrzucenia – napisania tekstu w „Nowym Głosie Lubelskim”.

Tekst na temat bolszewizmu jako doktryny żydowskiej faktycznie Kruszyński napisał, za co spotkała go krytyka w „Biuletynie Informacyjnym” Komendy Głównej AK. Dotyczyła ona jednak współpracy z okupantem, a nie treści artykułu.

Niemcom jednak było mało i zaczęli żądać kolejnych wystąpień atakujących żydokomunę, na co Kruszyński ochooty już nie miał, zwłaszcza że było widać, iż niedługo w Lublinie rządzić mogą komuniści. Odkrycie grobów w Katyniu Niemcy chcieli wykorzystać propagandowo. Kruszyński uważał jednak, że nie godzi się mówić o Katyniu, nie wspominając o Majdanku czy Oświęcimiu.

Nie umiał się jednak Niemcom sprzeciwić – skończyło się na odczytaniu pod koniec maja 1943 r. kazania dostarczonego przez hitlerowców. Przy czym zabroniono Kruszyńskiemu informować o rzeczywistym autorze tekstu. W ten sposób wszedł na grząski grunt, gdzie każdy ruch pogarszał tylko jego sytuację. Lawirował, brak mu było jednak charakteru arcybiskupa Stefana Sapiehy, który potrafił Niemcom się postawić. Gdy domagali się oni mszy katyńskiej, lubelski duchowny twierdził, że może odprawić mszę w intencji wszystkich polskich ofiar wojny – zarówno żołnierzy, jak i więźniów obozów. Gdy wydawało się, że osiągnięto w tej sprawie porozumienie, w ostatniej chwili propaganda okupanta zawężyła znaczenie polskich ofiar jedynie do tych poległych w walce z bolszewizmem.

Msza znów naraziła duchownego na krytykę ze strony Państwa Podziemnego. Co więcej, gdy już nie miał ochooty na podobne akcje, gadzinowy „Nowy Głos Lubelski” zaczął w tekście wielbiącym Hitlera za rozwiązanie kwestii żydowskiej chwalić Kruszyńskiego, przywołując jego przedwojenną antysemitką publicystykę. Trudno o bardziej kłopotliwy kontekst.

INNI UKRYWALI ŻYDÓW

W jego zapiskach sporo jest więc samousprawiedliwiania się, usprawiedliwiał także Polaków, którzy bali się pomagać Żydom ze względu na drakońskie kary. Nie wszyscy jednak potrzebowali takiego usprawiedliwienia. Kruczyński nawet nie wiedział, że pod jego nosem, bo w kurialnej kuchni, schroniła się uciekiniarka z warszawskiego getta, ani że jego najbliższy współpracownik, Jan Poddębniak, pomógł uciekinierom z getta w zdobyciu lewych papierów, lubelski ksiądz Jan Fiuta wystawiał zaś Żydom metryki chrztu, dzięki czemu wielu z nich z pewnością ocalało, a i sam musiał się ukrywać.

Kruszyński miał opinię człowieka nieumiejącego dochować tajemnicy, więc ludzie z jego otoczenia w trosce o los Żydów, ale może także samego Kruszyńskiego, nie informowali go o wszystkim.

Gdy Lublin został oswobodzony od Niemców, Kruszyński, obserwując nowe władze oraz ocalałych z Zagłady Żydów, którzy zjawiali się w mieście, znów zaczął w nich widzieć przede wszystkim wrogów Polski i Polaków. Działania komunistów nosiły według niego przede wszystkim „piętno żydowskie”.

Zrozumienie przedziwnego światopoglądu księdza Kruszyńskiego stanowić może klucz do zrozumienia postaw wielu Polaków w czasie Zagłady. ●

Historia krzepi

Prezydenta powinni wybierać obywatele

Pojawiające się pomysły, by wrócić do przedwojennej metody i wybór głowy państwa powierzyć Zgromadzeniu Narodowemu, są nedorzeczne.

Natęcz



• Pierwszy prezydent Polski Gabriel Narutowicz opuszcza gmach Sejmu po zaprzysiężeniu 11 grudnia 1922 roku. Pięć dni później zamordował go endecki fanatyk Eligiusz Niewiadomski

FOT. PAP / CAF /
REPRODUKCA



Łatwość, z jaką tzw. planktonowi kandydaci na prezydenta RP zgromadzili 100 tys. podpisów, wywołała dyskusję o potrzebie zmiany zasad wyboru głowy państwa. Najdalej posunął się Leszek Miller, oświadczając: „Najwyższy czas, żebyśmy wrócili do dobrych wzorców międzywojennych i wprowadzili zasadę wyboru prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe, a nie w głosowaniu powszechnym”.

Historyk nie podziela tej propozycji, i to z paru powodów. Pamięta, że w pracach nad konstytucją marcową z 1921 r. lewica domagała się wyboru prezydenta przez wszystkich obywateli. Uważała, że skoro konstytucja zgodnie z zasadami demokracji „władzą zwierzchnią” czyni „naród”, czyli ogół obywateli, to właśnie oni winni decydować o obsadzie najwyższego urzędu w państwie. Przeniesienie tego na posłów i senatorów osłabi autorytet prezydenta, bo nieuchronnie skończy się partyjnymi targami i intrygami. Jednak właśnie takie rozwiązanie przeformowała prawica wsparta przez posłów centrum.

Myli się Leszek Miller, twierdząc, że okazało się to „dobrym wzorcem”. Już wybór przez parlament pierwszego prezydenta, którym w grudniu 1922 r. został Gabriel Narutowicz, doprowadził do gigantycznej awantury, która zepchnęła Polskę na krawędź wojny domowej. W wyniku własnych błędów dominująca na prawicy Narodowa Demokracja wybory przegrała i w V turze głosowania po-

konana została przez większość złożoną z lewicy, centrum i mniejszości narodowych.

Endecy nie pogodzili się z porażką i przenieśli walkę polityczną poza Sejm, paraliżując stolicę demonstracjami i burdami ulicznymi. Na elekta runęła lawina hejtu odsądzająca go od czci i wiary.

„Na naród polski – grzmiała masowo kolportowana odezwa – spadła niezaprzeczona hańba! Prezydent Rzeczypospolitej wybrany został głosami żydowskich mniejszości narodowych! Żydostwo i masoneria sięgnęły po najwyższe dostojerstwo Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Nie spoczniemy jednak, póki w Polsce nie stanie rząd i Prezydent oparty o zdecydowaną większość polską w państwie”. Rozpalenie emocji i nienawiści doprowadziło do tragedii. Tydzień po wyborze endecki fanatyk zamordował prezydenta.

Taki rozwój wydarzeń nie byłby możliwy, gdyby głowa państwa pochodziła z powszechnych wyborów. Endecji nie opłacałoby się kwestionowanie decyzji większości społeczeństwa. Za to głosowanie parlamentarne oprotestowała, bez najmniejszego wahania argumentując, że jest ono sprzeczne z oczekiwaniami obywateli. Endecy nie mogliby też opowiadać o elekcje wyssanych z palca bzdur, bo miliony Polaków dobrze poznałyby go w czasie wielotygodniowej kampanii poprzedzającej powszechne głosowanie.

Co więcej, szybko się okazało, że pozbawiając w konstytucji obywateli prawa wyboru prezydenta, endecy ukręcili bicz na własną skórę. W trzy i pół roku po zamordowaniu Narutowicza, w maju 1926 r., Piłsudski dokonał zamachu stanu i zbrojnie obalił endecki rząd. Protestując przeciwko złamaniu konstytucji i pogwałceniu praworządności, prezydent Stanisław Wojciechowski podał się do dymisji.

Autor puczu wykorzystał to do stworzenia pozorów zalegalizowa-

nia ustrojowego gwałtu. Nie rozpędził parlamentu, który odsadzał wcześniej od czci i wiary, tylko pozwolił posłom i senatorom wybrać nową głowę państwa. Część z nich, w obawie przed konfrontacją z triumfującym zamachowcem, choć wcześniej popierała endecki rząd, teraz dołączyła do zwolenników Piłsudskiego i zagłosowała za jego wyborem na prezydenta.

Ten, aby upokorzyć znienawidzony parlament, wyboru nie przyjął, tłumacząc, że nie chce mieć nic wspólnego z posłami splamionymi odpowiedzialnością za zabójstwo Narutowicza.

Nie zraziło to parlamentarzystów i już następnego dnia wybrali oni na prezydenta wskazanego przez zamachowca Ignacego Mościckiego, który okazał się mario-netką w rękach swego protektora pomagającą mu dalej łamać konstytucję, niszczyć demokrację i ustanawiać system autorytarny.

Takiej operacji nie dałoby się przeprowadzić, gdyby prezydent wybierali wszyscy obywatele. Piłsudski dobrze wiedział, że większość społeczeństwa nie akceptuje zbrojnego przejęcia przez niego władzy. Dlatego przecież nie rozpi-sał zapowiadanych wyborów parlamentarnych, tylko poszedł drogą umacniania swojej władzy, w czym bardzo pomogło mu łatwe przejście prezydentury.

Pamiętając o tych złych doświadczeniach, nie kuśmy złego losu i nie wracajmy do wyboru prezydenta przez parlament. Lepiej idźmy jak najliczniej do urn wyborczych i sami zadecydujmy o przyszłości naszego kraju. ●

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



Naprzeciwko dość malowniczo wyglądających wojowników stoi równy szereg ciężkiej jazdy, zbrojnej w długie piki i pancerze. Myny owych wojowników – choć przecież wcale nie strachliwych – rzędną powoli. Tym bardziej, że oni na takich bitwach czy potyczkach korzystają najmniej.

Zabierają się w końcu, by rozejść się do swoich domostw, nie czekając nawet na negocjacje (cóż zresztą mogliby na nich skorzystać?) gdy nagle wśród zbrojnej cizby pojawia się grupa o pomalowanych na niebiesko twarzach, którzy, prócz zwyczajowego oręża, niosą ze sobą długie, drewniane żerdzie, ostro zestrugane na jednym końcu.

Konsternacja. Wśród piechurów słychać szmery, szept. „Czy to William Wallace?” „Eeee, niemożliwe, Wallace jest wyższy”.

Ale to jest William Wallace. A my jesteśmy na polach pod Stirling, gdzie za chwilę będziemy świadkami bitwy Szkotów z armią angielską. A zanim to nastąpi, wysłuchamy płomiennej mowy Wallace’a, zakończonej słynnym zdaniem, że „mogą odebrać nam życie, ale nigdy nie odbiorą nam wolności”.

„Braveheart”, opowieść o szkockim szlachcicu, który pod koniec XIII wieku stanął na czele antyangielskiego powstania Szkotów, miała oficjalną premierę 18 maja 1995 roku, 30 lat temu.

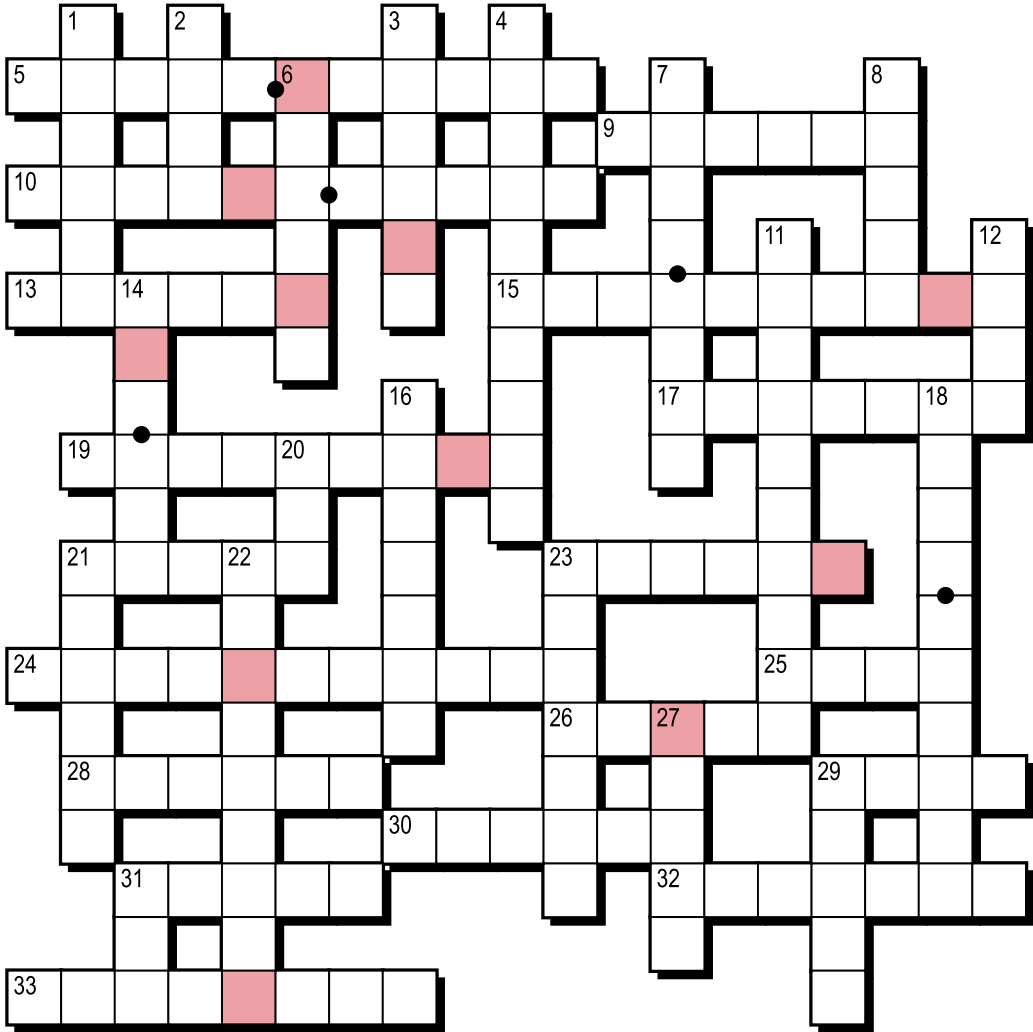
Mel Gibson, reżyser i odtwórca głównej roli, zgarnął Oscary za najlepszy film i reżyserię właśnie, a film triumfował też w kategorii zdjęcia, charakterystyka i dźwięk.

Do Polski „Braveheart” trafił we wrześniu 2015 roku. Pamiętam, jak wychodziłem z kina przepelniony szkockim patriotyzmem i niechęcią (eufemizm) do podstępnych Anglików. Do dziś lubię przypomnieć sobie tę niezwykłą opowieść, choć kilka razy rozmija się z prawdą historyczną, a gdy dobrze się przyjrzeć, to obuchy toporów szarżujących pod Bannockburn szkockich górali łopoczą na wietrze niczym chorągiewki.

Nic to, „Braveheart” jest dziełem kapitalnym. Zresztą, swego czasu przed meczem z Anglikami trener szkockiej kadry, Craig Brown, zabrał podopiecznych do kina na dzieło Gibsona, by podnieść ich ducha bojowego (nie pomogło, bo Szkoci przegrali, ale nic to).

Dzisiejszą „Weekendówkę”, z racji okrągłej, 30. rocznicy premiery, poświęcamy ni-niejszym Szkoci i Szkotom. I oczywiście rekomendujemy seansik „Braveheart”. Ja chyba się szuszę!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



KRZYŻÓWKA SZKOCKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) XVI-wieczna królowa Szkotów skazana na ścięcie
- 9) rzekomy lokator akwenu 7 pionowo
- 10) szkocki pisarz, autor powieści „Ivanhoe”, „Szkoccy purytanie”
- 13) wełniana tkanina w różnobarwną kratę, o wzorze innym dla każdego ze szkockich klanów
- 15) Anglia – lwy, Szkocja – ? (heraldyka)
- 17) szkocka posiadłość tytułem filmu z Danielem Craigiem w roli Jamesa Bonda
- 19) szkockie góry, najwyższe w Wielkiej Brytanii

- 21) Hebrydy, Szetlandy lub Orkady
- 23) Mel, zagrał Williama Wallace’a w filmie „Braveheart”
- 24) Maggie Reilly, Amy Macdonald albo Shirley Manson z grupy Garbage
- 25) powieść Kena Folletta, z akcją rozgrywaną się m.in. szkockiej wyspie
- 26) waleczne – w podtytule filmu „Braveheart”
- 28) ... ze Scone, głąz koronacyjny królów Szkocji
- 29) dawne królestwo, którego nazwę w XI w. zastąpiła Szkocja
- 30) odrobinę lekceważąco o sąsiadach Szkotów
- 31) ... III, od maja 2023 r. król Wielkiej Brytanii
- 32) ... Grahame, angielski pisarz pochodzenia szkockiego („O czym szumią wierzby”)
- 33) Szkocja dla Andy’ego Murraya, Jamesa Watta

Pionowo:

- 1) państwo z prowincją Nowa Szkocja
- 2) spódniczka w kratę, tradycyjny strój szkockich górali
- 3) król z dramatu Williama Szekspira „Makbet” (pisownia z literą „c”)
- 4) Szkot, podobnie jak Walijczyk
- 6) pierwiastek chemiczny o symbolu Sr; jego nazwa pochodzi od szkockiej miejscowości
- 7) najstynniejsze szkockie jezioro
- 8) na fladze Szkocji
- 11) jeśli nie podoba ci się pogoda, poczekaj minutę (... szkockie)
- 12) Alexander Graham, szkocki uczony, wynalazca telefonu
- 14) Anglia – Robin Hood, Szkocja – ?
- 16) cesarz rzymski, którego imię nosi wał w północnej Brytanii

Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 153 z 10.05:

Poziomo:

- 2) Cannes, 8) Romulus,
- 10) Europa, Europa, 11) Szkoci,
- 12) Stary Kontynent,
- 16) rzeczownik, 18) Grozny,
- 20) lew, 21) Lizbona, 22) Układ,
- 24) Grek, 25) matadorzy,
- 29) kappa, 30) Nizina, 31) Teatr Wielki, 35) pierwiastek,
- 37) Europe, 38) wino, 39) tulipany.

Pionowo:

- 1) Gorbaczow, 2) Cypryckizyk,
- 3) niebo, 4) Eurotunel, 5) kraje,
- 6) eurofundusz, 7) Zeus, 9) most,
- 13) Nikozja, 14) Nagroda,
- 15) Monako, 17) Odra,
- 19) flaga Unii, 22) Ukraińiec,
- 23) deputowani, 25) malarstwo,
- 26) Tatry, 27) Dania, 28) Real,
- 29) Kraków, 32) korona,
- 33) Ateny, 34) żuki, 36) kot.

HASŁO:

SKANDYNAWOWIE

- 18) demoniczna postać z dramatu 3 pionowo
- 20) owczarki szkockie i teriery szkockie
- 21) szkocka – to np. Johnnie Walker albo Ballantine’s
- 22) Nicola Sturgeon, Humza Yousaf i John Swinney
- 23) miasto, w którym Rangersi grają derby z drużyną Celticu
- 27) Tweed w południowej Szkocji
- 29) ... Lennox, szkocka wokalistka (Eurythmics)
- 31) gruby i ciepły, w szkocką kratę

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

